

# Hugh Lofting

## Opera Doktora Dolittle



**Kolejna, trzecia, powieść z cyklu o przygodach Doktora Dolittle i jego zwierzyńca, z którym doktor porozumiewa się językami zwierząt.**

## Sklep ze zwierzętami

Wkrótce potem, gdy członkowie starego cyrku Blossoma wybrali Jana Dolittle na swego nowego dyrektora, otrzymał on od kilku londyńskich właścicieli teatrów zaproszenia na występy gościnne w Londynie. Doktor Dolittle po haniebnej ucieczce Blossoma i sprzeniewierzeniu przez niego wszystkich pieniędzy, zarobionych w Manchesterze, musiał występować w różnych małych miastach, aby dotrzymać przyjętych zobowiązań. Następnie zaś dążył do tego, aby zarobić już teraz na własną rękę dużo pieniędzy i postawić cyrk z powrotem na nogi. Przez cały ten czas był zajęty w wolnych chwilach przygotowywaniem dobrych i oryginalnych numerów na Londyn, gdyż zależało mu bardzo na tym, żeby pierwszy występ jego trupy w dużym mieście był prawdziwym triumfem. Trupa cyrku składała się teraz z Mateusza Mugga, wicedyrektora, z Herkulesa-siłacza, z braci Pinto, akrobatów, z kłowna Hoppa, z Teodozji Mugg, nadwornej garderobianej i z Freda, nowego dozorca menażerii, którego doktor niedawno

zaangażował. Poza tym były naturalnie zwierzęta: lew, lampart i słoń — wielkie czworonogi, które stanowiły najważniejszą część menażerii. Następnie różne małe zwierzęta, jak: opos, którego Blossom pokazywał jako osobliwość pod nazwą Hurri-Gurri, dwugłowiec i węże. Wreszcie towarzysze doktora: pies Jip, świnka Geb-Geb, sowa Tu-Tu, kaczka Dab-Dab, biała mysz i jeszcze kilka innych zwierzątek.

Nie była to duża trupa, z czego Jan Dolittle był bardzo zadowolony, gdyż w ciężkich czasach, które nastąpiły po okrutnej ucieczce Blossoma, trudno było zarobić tyle pieniędzy, żeby starczyło chociaż na zakup żywności. Wszyscy członkowie trupy bez wyjątku zachowywali się jednak w tych trudnych warunkach bardzo rozsądnie.

Po wprowadzeniu przez doktora tak zwanego spółdzielczego systemu osoby występujące w cyrku nie otrzymywały wynagrodzenia, lecz dzieliły się wpływami z kasy. Często, gdy interesy szły źle, nikt nie dostawał pieniędzy i każdy musiał się zadowalać trzema posiłkami dziennie, ale nikt nie porzucał cyrku i nie narzekał. Wszyscy byli pewni, że Jan Dolittle wcześniej czy później wyprowadzi swą trupę na szersze wody, toteż pozostali mu wierni we wszystkich okolicznościach. I w końcu nadszedł dzień, w którym to zaufanie do doktora zostało wynagrodzone.

Pomysł przygotowania nowego widowiska na występy londyńskie przyszedł doktorowi Dolittle nagle i w dość osobliwy sposób. Jak wiele ważnych rzeczy, wynikł on ze zwykłego przypadku.

Pewnego wieczoru, gdy cyrk przybył do miasta

handlowego średniej wielkości, doktor z Mateuszem Muggiem i psem wyszli na spacer. Pracowali przez cały dzień nad ustawianiem cyrku i doktor nie miał dotąd czasu ani sposobności, żeby się rozejrzeć po mieście. Wałęsając się po ulicach, zaszli do oberży, przed którą stały stoły i krzesła. Był ciepły wieczór i doktor z Mateuszem usiedli, żeby napić się piwa.

Gdy tak odpoczywali i przyglądali się spokojnemu życiu miasta, usłyszeli śpiew ptaka. Był to niezwykle piękny, niekiedy potężny, a niekiedy znów łagodny, cichy i tajemniczy, ale wciąż zmieniający się głos. Ani jedna nuta nie powtarzała się w tym śpiewie.

Doktor napisał w swoim czasie książkę o śpiewie ptaków. Nasłuchiwał więc uważnie.

— Słyszysz, Mateuszu? — zapytał.

— Wspaniałe — powiedział karmiciel kotów — to musi być słowik, siedzi pewnie tam, na tych wielkich topolach koło kościoła.

— Nie — rzekł doktor — to nie słowik, to kanarek. Śpiewa także niektóre kawałki z repertuaru słowika, które musiał gdzieś usłyszeć, ale to z pewnością głos kanarka. Słuchaj, teraz naśladuje głos kosa.

Siedzieli jeszcze przez chwilę, a ptak naśladował w cudowny sposób śpiew najrozmaitszych ptaków.

— Wiesz co, Mateuszu — rzekł doktor — chciałbym mieć kanarka w moim cyrku. Są one bardzo miłymi towarzyszami, ale nigdy dotychczas nie kupiłem sobie kanarka, gdyż nienawidzę trzymania ptaków w klatce. Sprawa ma się jednak inaczej, gdy chodzi o ptaka urodzonego w niewoli. Pójdziemy wzdłuż ulicy, może uda nam się zobaczyć tego śpiewaka.

Doktor zapłacił za piwo, po czym wstali i poszli w stronę kościoła. Po drodze mijali wiele sklepów. Nagle doktor zatrzymał się.

Patrz, Mateuszu — powiedział — w jednym z tych sklepów sprzedają zwierzęta i tam właśnie siedzi kanarek. Nie znoszę sklepów ze zwierzętami. Biedne stworzenia są w nich okropnie zaniedbane. Właściciele trzymają ich zazwyczaj za dużo i czuć je zawsze tak nieprzyjemnie — mam na myśli sklepy. Nie wchodzę do żadnego z nich i, o ile da się tego uniknąć, omijam je z daleka.

— Dlaczego? — spytał Mateusz.

— Dlatego — odrzekł doktor — że od czasu gdy stałem się wśród zwierząt popularny, wszystkie te biedne stworzenia zaczepiają mnie i proszą, abym je kupił: ptaki, króliki, morskie świnki i tak dalej. Zawróćmy lepiej i obierzmy sobie inną drogę, abym nie musiał przechodzić obok tego sklepu.

Ale właśnie, gdy doktor chciał zawrócić, ptak znowu zaczął śpiewać swoim cudownym głosem. Doktor zawahał się.

— Śpiewa wspaniale — rzekł — po prostu cudownie.

— Dlaczego nie chce pan przejść prędko obok sklepu i rzucić okiem do wnętrza? — odezwał się Mateusz. — Może zobaczy pan ptaka nie wchodząc do środka.

— Tak, być może — rzekł Jan Dolittle i przeszedł szybko obok sklepu. Rzucił tylko jedno spojrzenie w głąb i oddalił się.

Gdy zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, Mateusz spytał go, czy zauważył, który to ptak.



— Tak — powiedział Dolittle — to ten zielony kanarek w małej drewnianej klatce przy drzwiach, przy którym jest cena: trzy szylingi. Wejść tam, proszę, Mateuszu, i kup go dla mnie. Na taką cenę mogę się jeszcze zdobyć. Na to, żeby samemu wejść, nie mogę się odważyć. Wszystkie zwierzęta w sklepie rzuciłyby się do mnie. Zdaje mi się, że białe króliki już mnie poznały. Wyreżcz mnie i pamiętaj: zielony kanarek w małej drewnianej klatce obok drzwi, ten, który kosztuje trzy szylingi. Oto pieniądze.

Mateusz Mugg wszedł więc z trzema szylingami do sklepu ze zwierzętami, a doktor czekał przed najbliższym domem.

Karmiciel kotów nie bawił długo, ale wrócił bez kanarka.

— Ptak, o którym pan mówił, panie doktorze, to samiczka, a samiczki nie śpiewają. Ten, któregośmy słyszeli, to jaskrawożółty kanarek. Chcą za niego pięćdziesiąt szylingów. To śpiewak konkursowy, najlepszy ze wszystkich kanarków, jakie kiedykolwiek mieli.

— To dziwne — powiedział doktor — czy się aby nie mylisz?

Zapomniał natychmiast o swoim zamiarze niepokazywania się zwierzętom w sklepie, podszedł do okna i wskazał znowu na zielonego kanarka.

— Oto ptak, o którym myślałem, czy pytał pan o niego? Ach, na litość boską, za późno, już mnie poznały!

Zielona samiczka przy oknie zobaczywszy, że sławny doktor na nią wskazuje, oczekiwała, że zaraz ją

kupi. Dawała mu już poprzez szybę znaki i skakała z radości po całej klatce.

Doktor, który nie był w stanie zapłacić pięćdziesięciu szylingów, zamierzał czym prędzej odejść, zostawiając małą zieloną samiczkę bardzo strapioną tym, że nie została kupiona.

Jan Dolittle nie przeszedł z Mateuszem nawet stu kroków, gdy znowu stanął.

— Nie ma rady — powiedział — muszę kupić tę samiczkę, nawet gdyby nie umiała śpiewać. To mi się zawsze przytrafia, gdy przechodzę w pobliżu takiego sklepu. Muszę zawsze kupić najnudniejsze i najmniej potrzebne stworzenie. Wejź tam jeszcze raz i, proszę, przynieś mi tego ptaka.

Mateusz Mugg poszedł więc jeszcze raz do sklepu i wrócił natychmiast z małą, nakrytą brązowym papierem, klatką.

— Musimy się pośpieszyć, Mateuszu — powiedział doktor — jest już czas na herbatę i Teodozja nie da sobie bez nas rady.

Gdy doktor wrócił do cyrku, odwołano go natychmiast do załatwienia ważnych spraw, związanych z przedstawieniem. Poprosił więc Mateusza, aby zaniósł ptaka do wozu cyrkowego, a sam zajął się aż do kolacji różnymi innymi rzeczami.

Gdy wreszcie wrócił do swego wozu, padł zmęczony na krzesło, a buchalterka Tu-Tu wciągnęła go od razu w rozmowę o finansach, nic więc dziwnego, że zapomniał zupełnie o kanarku.

Ale zaledwie rozpoczęła się ta nudna pogawędka o pieniądzach i liczbach, uwagę doktora przyciągnął



bardzo przyjemny dźwięk. Był to głos ptaka, który szczebiotał cichutko.

— Wielki Boże! — zawołał doktor. — A to co takiego?

Dźwięk rozlegał się coraz głośniejszy i w końcu zamienił się w najpiękniejszy śpiew, jeszcze piękniejszy od tego, który Jan Dolittle słyszał z oberży. Zwykłym uszom śpiew ten wydawałby się cudowny, ale dla doktora, rozumiejącego mowę kanarków i mogącego śledzić słowa tej pieśni, stał się on ponadto przeżyciem, które na zawsze zachował w pamięci.

Była to długa pieśń, pełna miłości, opiewała ona małe i duże przygody, a melodia jej była smutna i wesoła, dzika, porywająca i łagodna, piękniejsza od najpiękniejszego śpiewu najdoskonalszego słowika.

— Skąd pochodzi ten śpiew? — zapytał doktor zaskoczony.

— Z zakrytej klatki na półce — wyjaśniła Tu-Tu.

— Rzeczywiście — zawołał doktor — to ptak, którego dziś po obiedzie kupiłem!

Zerwał się i zdjął papier z klatki. Mały zielony kanarek przestał śpiewać i patrzył przez pręty klatki na doktora.

— Zdawało mi się, że jesteś samiczką — powiedział Jan Dolittle.

— Jestem samiczką — odparł ptak.

— A jednak śpiewasz?

— Dlaczegoż by nie?

— Przecież samiczki kanarków nie śpiewają.

Mały zielony ptak zaniósł się długim trelem pogardliwego śmiechu.

— Znowu ta sama stara, komiczna historia — powiedział. — To samczyki ją wymyśliły, te zarozumiałe stworzenia. Samiczki mają dużo lepsze głosy od nich, ale samczyki nie mogą się z tym pogodzić i nie chcą, żebyśmy także śpiewały — kłują nas dziobami jeśli odważymy się podnieść głos. Przed kilku laty powstał ruch, zwany „prawem samiczek do śpiewu”. Kilka kanarzyc zrzeszyło się, aby walczyć o nasze prawa, ale znalazły się zacofane ptaki, stare panny, które wciąż jeszcze upierają się przy tym, że śpiew to nie kobieca rzecz. Twierdzą, że miejsce samiczki jest w gniazdku i że śpiew należy tylko do samców. Wobec tego nasza akcja nie mogła zwyciężyć i ludzie wierzą po dziś dzień, że samiczki kanarków nie umieją śpiewać.

— Ale przecież to nie ty śpiewałaś w sklepie?  
— zapytał doktor.

— W tym sklepie i pan by nie potrafił śpiewać — rzekła kanarzyca — przecież tam panuje taki za-  
duch, że wprost dusimy się.

— A dlaczego teraz zaśpiewałaś?

— Bo uświadomiłam sobie, że pan, posyłając tamtego człowieka po raz drugi, chciał kupić głupiego żółtego samca, który przez całe popołudnie wyśpiewywał fałszywie swoje piosenki. Wiedziałam też, że mnie kupił pan tylko z litości. Dlatego chciałam panu z wdzięczności pokazać, co my, samiczki, potrafimy zdziałać w dziedzinie muzyki.

— To nadzwyczajne! — zawołał doktor. — Rzeczywiście w porównaniu z tobą tamten kanarek wydaje mi się zaledwie drugorzędną siłą śpiewaczą. Masz kontralt, nieprawdaż?

— Sopran, mezzosopran — poprawiła go kanarzyca. — Mogę brać najwyższe tony, jeśli chcę.

— Jak się nazywasz? — zapytał doktor.

— Pipinella — odrzekł ptak.

— Co to była za pieśń, którą śpiewałaś? — pytał dalej doktor.

— Była to historia mego życia.

— Przecież śpiewałaś ją wierszem?

— Tak, ułożyłam z niej wiersz tylko dla siebie. My, ptaki w klatkach, mamy mnóstwo wolnego czasu, gdy nie musimy wysiadywać jaj i karmić naszych młodych.

— Jesteś wielką artystką — rzekł doktor — poetką i śpiewaczką.

— I kompozytorką — dorzuciła Pipinella spokojnie. — Skomponowałam tę całą pieśń zupełnie sama. Zauważył pan pewnie, że nie wykorzystałam ani jednej ze znanych piosenek ptasich oprócz „pieśni miłosnej zięb” w tym miejscu, gdzie opowiadam, jak mój niewierny małżonek poleciał do Ameryki i zostawił mnie płaczącą na brzegu.

W tej chwili weszła Dab-Dab, aby oznajmić, że kolacja jest gotowa, ale ku przerażeniu Geb-Geb doktor nie tknął jedzenia, tak był przejęty swym nowym, interesującym gościem. Wyszukał w starej tece nie zapisany papier nutowy, na którym spisywał czasem melodie na flet, swój ulubiony instrument.

— Przepraszam — rzekł do kanarzycy — czy nie mogłabyś powtórzyć historii swego życia? Interesuje mnie ona niezwykle.

— Naturalnie — powiedział ptaszek — proszę, niech pan każe napełnić wodą moją miseczkę, woda

wylała się podczas przenoszenia; lubię sobie zwilżać gardło, gdy śpiewam tak długą pieśń.

— Bardzo chętnie — rzekł doktor i w pośpiechu, chciał bowiem dogodzić swemu gościowi, o mało co nie wpadł na Geb-Geb. — Oto woda. Czy mogłabyś śpiewać bardzo powoli? Chętnie zapisałbym nuty, a rytm jest trochę trudny. Zauważyłem również, że zmieniasz często tonację. Słowami nie chcę się w tej chwili zajmować, gdyż nie mogę zapisywać dwóch rzeczy jednocześnie. Może kiedyś będziesz na tyle uprzejma, że mi ją zaśpiewasz jeszcze raz. Służę ci w każdej chwili.

## Rozdział II

### Biały kot perski

Doktor zasiadł i zapisywał całe strony nut, podczas gdy zielona kanarzyca wyśpiewywała mu historię swego życia. Była to długa pieśń, trwała co najmniej pół godziny, tak że Geb-Geb kilkakrotnie przerywała ją żałośnie: „Ależ, panie doktorze, kolacja wystygnie”.

Gdy samiczka skończyła swoją pieśń, doktor schował starannie zeszyt, w którym zapisał nuty, podziękował kanarzycy i zamierzał sięść do kolacji.

— Może chciałabyś wyjść z klatki i zjeść z nami kolację? — zapytał.

— Czy tutaj są koty?

— Nie — powiedział doktor — w tym wozie nie ma ani jednego kota.

— W takim razie bardzo chętnie — rzekła kana-

rzyca — proszę, niech pan otworzy drzwiczki, a zaraz wyjdę.

— Możesz tak łatwo uciec przed kotem, masz przecież skrzydła do fruwania — powiedział Jip.

— Tak, jeśli się go spodziewam albo wiem, gdzie on się kryje, to mogę przed nim uciec — powiedziała kanarzyca, sfrunęła na stół i dziobnęła okruszynkę, leżącą przy talerzu doktora. — Ale gdy się ich nie widzi, koty są bardzo groźne, to jedyni naprawdę zręczni łowcy.

— No, no — warknął Jip — psy także potrafią dobrze polować.

— Przepraszam — rzekła kanarzyca — ale co się tyczy polowania, to psy w porównaniu z kotami są po prostu matołkami. Przykro mi, że cię obrażam, ale matołek to jedyne odpowiednie określenie w tym wypadku. Potraficie bardzo dobrze gonić kogoś i wywęszyć, nawet lepiej od kota. Ale złowić chytryością rozumu to zupełnie co innego. Czy widziałeś kiedy psa, siedzącego przez długie, długie godziny, cicho, bez ruchu, jak kamień i pilnującego jakiejś dziurki w oczekiwaniu na małą myszkę albo inne stworzenie? Czy widziałeś kiedy psa, który by się zdobył na podobną cierpliwość? Nie! Jeśli wy, psy, znajdziecie jakąś dziurę, zaraz szczekacie, piszczycie i drapiecie, tak że szczur albo inne stworzenie, które w niej siedzi, ani myśli wyjść. Nie, ja jako ptak wolałabym być zamknięta w pokoju pełnym psów, niż wiedzieć, że w domu znajduje się choć jeden kot.

— Czy masz złe doświadczenie z kotami? — zapytał doktor.

— Nie, co to, to nie — rzekła kanarzyca — raczej

cudze doświadczenie nauczyło mnie wiele. Mieszkałam raz w jednym domu z papugą. Pewnego dnia nasza właścicielka otrzymała w darze pięknego, jedwabistego, perskiego kota. Było to prześliczne stworzenie. Stara papuga powiedziała do mnie tego dnia, kiedy kot się zjawił: „Wygląda zupełnie przyzwoicie”.

„Polly — nie zgodziłam się — koty są kotami. Nie dowierzaj mu, nie należy nigdy wierzyć kotom”.

— Prawdopodobnie dlatego właśnie stały się takimi, jakimi są — zauważył doktor — poczucie, że komuś nikt nie wierzy, psuje fatalnie charakter.

— Ach, gdzież tam — powiedziała kanarzyca — nasza pani miała zaufanie do swego kota, zostawiła go nawet w nocy w jednym pokoju z nami. Moja klatka wisiała wysoko pod sufitem, mogłam się więc nie lękać, że mnie dosięgnie pazurami. Ale biedna stara Polly, najprzyzwoitsza papuga, jaka kiedykolwiek siedziała na pręcie (nie miała bowiem klatki, tylko jedno z tych wstrętnych stoisk dla papug: skrzyżowane dwa pręty i długi łańcuch, owinięty dookoła kostki), nie chciała wierzyć, że to miłe, białe, puszyste stworzenie może być niebezpieczne. Aż pewnego dnia kot wlaźł po pręcie na stoisko. Ale papugi potrafią walczyć, o ile walka utrzymuje się w granicach przyzwoitości, toteż kot dostał porządnie za swoje, bardziej niż się tego spodziewał. Odgryzła mu kawał ucha.

Powiedziałam do niej: „Teraz będziesz mi może wierzyła. Uważaj, bo wpadniesz jeszcze w jego pazury, gdy tylko nadarzy mu się sposobność. Przede wszystkim nie zasypiaj nigdy, gdy jest w pokoju. Boi

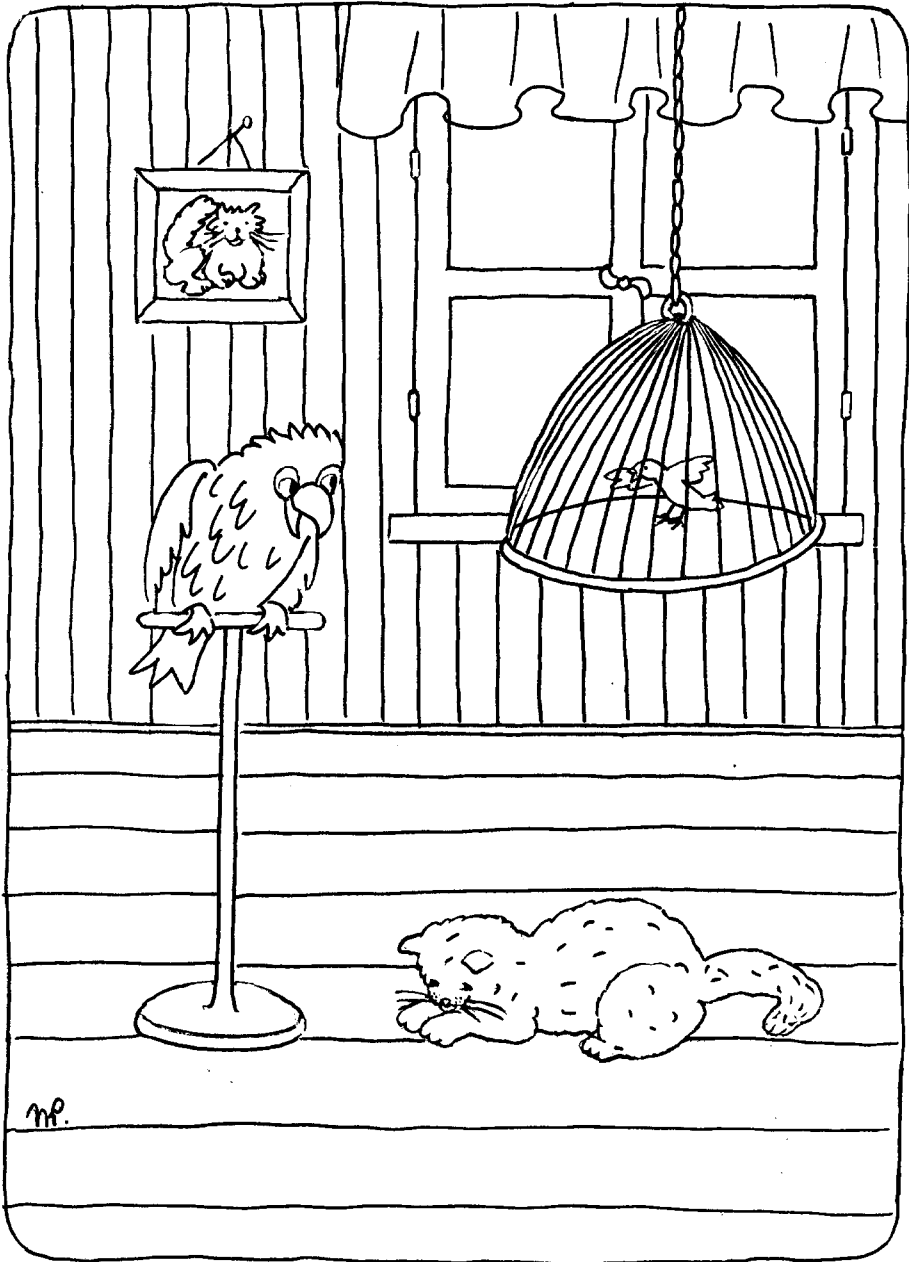
się siebie, dopóki na niego patrzysz, ale gdy tylko nie będziesz się miała na baczości, przestanie się bać. Skoczy, ugryzie cię w kark i koniec z tobą, Polly! Pamiętaj o tym, nie zasypiaj wtedy, gdy jest w pokoju".

Zielona kanarzyca zamilkła na chwilę i podskoczyła na stole, aby pociągnąć łyk mleka z miseczki Geb-Geb, co zresztą świnka uważała za niezwykłą zuchwałość. Potem ptak poostrzył sobie dziobek o solniczkę i mówił dalej:

— Nie umiem wam nawet powiedzieć, ile razy uratowałam życie tej łatwowiernej papudze. Z powodu swego podeszłego wieku lubiła ona przede wszystkim uregulowane życie. Przywiązywała dużą wagę do swoich codziennych drobnych przyzwyczajzeń, nie znosiła, gdy coś stawało na przeszkodzie w ich realizacji. Była przez cały dzień w złym humorze i marotna, gdy zapomniano przygotować jej kąpiel w sobotę wieczorem albo dać kawałek skórki pomarańczowej w niedzielę rano. Miała wśród innych przyzwyczajenie urządzania sobie co dzień poobiedniej drzemki. Przestrzegałam ją wciąż przed tym, gdyż groziło to zbyt wielkim niebezpieczeństwem przy nie zamkniętych oknach i drzwiach, przez które kot mógł się w każdej chwili przedostać. Ale jej zastarzałe, staropanieńskie przyzwyczajenia były silniejsze i chyba nie wyrzekłaby się swojej drzemki nawet wówczas, gdyby cały pokój był pełen kotów.

Kanarzyca dziobnęła znowu okruszynkę, schrupała ją w zamyśleniu i ciągnęła dalej:

— Myślałam sobie często, że w tej niezależności papugi jest coś bardzo pięknego. Miała swoje zasady,





których nic nie mogło zmienić. Tymczasem straszny kot czekał na sposobność. Bardzo często, gdy Polly drzemała siedząc na pręcie, widywałam go skradającego się po korytarzu albo wskakującego na stół, znajdujący się w pobliżu stoiska papugi. Wtedy gwizdałam przeraźliwie głośno i papuga budziła się; kot uciekał, ale przesywał mnie złym wzrokiem za to, że zepsułam mu zabawę.

Naszej pani nie przychodziło do pustej głowy, że kot może być tak niebezpiecznym towarzyszem. Pewnego dnia zapytał ją znajomy, czy nie boi się puszczać tej bestii wolno, skoro papuga nie siedzi w klatce.

„Ach, nie, Pusia nie zrobi kuku mojej ślicznej Polly, prawda, Pusiu?” — odpowiedziała pani.

A Pusia, ta jedwabista obłudnica, pocierała łebek o suknię pani, mruzczała i wyglądała tak, jak gdyby nie umiała zamącić nikomu wody.

Robiłam, co mogłam, ale przyszedł dzień, kiedy sama musiałam ulec tej białej diablidy. Starsza pani wyjechała w odwiedziny do przyjaciół na wieś, a służąca miała wychodne. Papudze i mnie wydzielono podwójne porcje pokarmu i wody, dom zamknięto, a klucz położono pod słomianką. Drzwi do saloniku, w którym przebywałyśmy, zostały zamknięte, tak że bezpieczeństwo mojej przyjaciółki wydawało się w tym dniu zapewnione. Około południa nadciągnęła burza i wiatr huczał przeraźliwie nad domem. Nagle drzwi wiodące do naszego pokoju otworzyły się. Okazało się, że nie były szczelnie zamknięte, tylko przymknięte.

„Nie zasypiaj, Polly! — zawołałam. — Kot może wejść w każdej chwili”.

Przez dłuższy czas nie wchodził i, gdy minęła godzina, pomyślałam, że z pewnością zamknięto go w innym pokoju i że mogę się przestać kłopotać. Po obiedzie Polly zasnęła mocno, a i ja poczułam się śpiąca i zdrzemnąłam się trochę. Śniłam o strasznych rzeczach — o ogromnych kotach, skaczących w powietrzu, o papugach, broniących się mieczami i widłami, o wszelkich możliwych okropnościach. W najstraszniejszej chwili najokropniejszego snu wydało mi się, iż słyszę jakiś łoskot, i obudziłam się. Na podłodze leżała Polly, martwa, a obok niej siedział na dywanie biały kot i zgrzytał szatańsko zębami.

Pipinellą wstrząsnął dreszcz, potarła dziobek prawą łapką, jak gdyby chciała zatrzeć wspomnienie tego straszego snu.

— Byłam zbyt przerażona, aby wydać głos — opowiadała dalej — i czekałam teraz na to, że okrutne stworzenie pożre moją biedną przyjaciółkę. Ale o tym kot ani myślał, nie zagryzł jej z głodu, dostawał przecież od pani trzy posiłki dziennie, najlepsze smakołyki, jakie tylko były w domu. Chciał jedynie mordować, mordować dla samej przyjemności mordowania. Przez trzy miesiące obserwował, czekał i obliczał, aż w końcu osiągnął cel. Teraz wyszczerzył jeszcze raz w moją stronę w triumfalnym uśmiechu zęby, pokręcił się w kółko i wybiegł za drzwi, zostawiając zwłoki biednej Polly.

Pomyślałam sobie, że nie ominie go tym razem kara, teraz starsza pani dowie się, kim właściwie jest Pusia. Morderczyni!

A potem stało się coś dziwnego. Przypomniały mi się słowa mojej matki: „Kotom pomaga sam diabeł.

Nie byłyby inaczej tak szatańsko mądre. Nie próbuj nigdy mierzyć się z kotem. Kotom pomaga diabeł".

Nie wierzyłam temu nigdy, ale po tym zdarzeniu musiałam przyznać, że tak jest. Proszę tylko posłuchać: gdyby drzwi były otwarte, każdy domyśliłby się, że kot wszedł i zamordował papugę, ale gdyby pozostały zamknięte tak, jak je zostawiła pani, nikt nie posądziłby o to słodkiej Pusi. I oto co się stało. Gdy kot wyszedł do przedpokoju, wiatr, huczący nad domem, zatrzęsł drzwiami naszego pokoju tak, że zaczęły się chwiać w jedną i drugą stronę i nagle zamknęły się z trzaskiem i hukiem, od którego cały dom zadrżał. Ostatnie spojrzenie, które rzuciłam do przedpokoju, padło na słodką Pusię, siedzącą na ziemi i szczerzącą do mnie triumfalnie zęby. Musi pan przyznać, że sam diabeł jej pomógł, bo gdyby wiatr zatrzęsnał drzwi chwilę wcześniej, zostałyaby zamknięta razem z nami w pokoju.

Naturalnie starsza pani po powrocie nie mogła zrozumieć, co się stało. Papuga leżała ze skrzyconym karkiem, martwa, na podłodze (kot postąpił bardzo delikatnie i sprytnie: jeden skok, jedno zatopienie zębów i... koniec), okna zamknięte, drzwi zamknięte!

W końcu przyszło starej, niemądrej kobiecie na myśl, że to pewnie jacyś chłopcy-nicponie zakradli się przez komin, zabili papugę i umknęli bez śladu. Tajemnica nie została nigdy wyjaśniona.

Pani zmartwiła się bardzo, biegała z płaczem po całym domu, ale było już za późno.

„Ach, Boże! — szlochała. — Na szczęście mam jeszcze mojego kanarka i moją słodką Pusię”.

A ta diablica łąsiła się do niej i mruzczała przymilając się o pieszczotę. Dostała też miseczkę mleka.

Tak, nie wierzcie nigdy kotom.

— Prawda, są to dziwne stworzenia — rzekł doktor Dolittle. — Ich upodobanie do mordowania nie z głodu daje się z trudem wytłumaczyć. Prawdopodobnie jest to związane z ich charakterem i nie należy nigdy nikogo sądzić, jeśli się nie zbada jego przyrodzonego usposobienia. Rzeczywiście, przeżyłaś ciekawe rzeczy, Pipinello. Gdy wyśpiewywałaś mi historię swego życia, byłem zbyt zajęty zapisywaniem melodii, żeby uważać na treść twojej pieśni. Czy nie zechciałabyś po kolacji powtórzyć mi jej jeszcze raz?

— Ależ bardzo chętnie — rzekła kanaryca — opowiem ją panu bez melodii.

— Tak myślę, że tak będzie najlepiej — przyznał doktor — będziesz mogła opowiedzieć wszystkie przygody bez zwracania uwagi na rymy i rytm. Geb-Geb, kiedy skończysz zajadanie słonecznika, poproś Dab-Dab, aby sprzątnęła ze stołu.

Rozdział III

## Życiorys ptaka

Tak więc przybycie małego zielonego kanarka zachęciło doktora Dolittle do napisania pierwszego z wielu życiorysów zwierząt. Myślał już dawniej o tym i często mawiał, że życie zwierząt, właściwie opisane, bywa pod różnymi względami bardziej interesujące niż życie tak zwanych wielkich ludzi. Miał

nawet pomysł stworzenia cyklu książek pod tytułem: „Wielkie zwierzęta dziewiętnastego stulecia” albo czegoś w tym rodzaju.

W swoim czasie Geb-Geb oburzona, że w Manchesterze nie chciano postawić jej pomnika, prosiła doktora, aby napisał jej życiorys, przekonana, że cały świat będzie go czytał. Ale zarówno doktor, jak i zwierzęta umiały już życiorys Geb-Geb na pamięć. Doktor twierdził nawet, że będzie to bardzo zabawna książka, lecz Geb-Geb, odkąd stała się sławną aktorką, nie chciała już być w ten sposób opisana.

— Życzę sobie poważnego życiorysu, na scenie jestem komiczna, bardzo komiczna, ale w moim życiorysie muszę wystąpić godnie, nie powinien na mnie pozostać ani cień śmieszności.

— W twoim życiorysie może być mowa tylko o jeździe, a bóle żołądka z przejedzenia stanowią w nim będą jedyne przygody — warknął Jip. — Przyznam się, że czytałbym już chętniej nawet życiorys okrągłego, gładkiego kamienia.

Ten dział przyrodniczych prac doktora nie został zatem rozpoczęty, dopóki kanarzyca Pipinella w niezwykłych okolicznościach nie zjawiła się w otoczeniu rodzinnym doktora Dolittle. Doktor twierdził, że Pipinella jest po prostu urodzona do tego, by opowiedzieć historię swego życia, gdyż miała cudowną pamięć do wszystkich szczegółów, które czynią życiorys żywym i zajmującym. Dolittle nie zapomniał więc o tym, aby w przedmowie do pierwszego tomu swoich „Życiorysów wybitnych zwierząt” wspomnieć, że całą tę książkę Pipinella sama dyktowała;

on przetłumaczył ją tylko z języka kanarków na język ludzki.

Czytelnicy uważali książkę za bardzo ciekawą, ale teraz jest ona, jak wiele innych dzieł doktora Dolittle, wyczerpana na rynku księgarskim i nie można dostać ani jednego egzemplarza. Stało się tak między innymi dlatego, że księgarze nie chcieli jej trzymać na składzie. „Ba — mówili — życie kanarka! Co to może być za życie, jeśli ktoś wszystkie dni spędził w klatce!”

Z powodu ich głupoty książki te sprzedawane były wyłącznie w sklepach ze zwierzętami i z pokarmem dla zwierząt oraz w podobnych podrzędnych miejscach. Zapewne dlatego dzisiaj tak trudno wyszperać tę książkę. W swoim ostatecznym opracowaniu pod tytułem: „Żywot śpiewaczki koloraturowej Pipinelli, kanarzycy sopranistki” historia ta zawierała wiele zdarzeń z życia ptaka, które miały miejsce, zanim przybył on do rodziny doktora Dolittle.

Doktor przejrzał razem z autorką rękopis kilkakrotnie i prosił ją, aby dodała jeszcze trochę szczegółów i drobiazgów, które, jak sądził, mogłyby zainteresować czytelników. W ten sposób powstała gruba książka. Nie mam tutaj dość miejsca, żeby przekazać wam wszystko, co doktor napisał, ale przynajmniej częściowo opowiem ją tak, jak to sama Pipinella opowiadała Janowi Dolittle i jego rodzinie.

Gdy Geb-Geb nareszcie przestała przerywać, Pipinella zaczęła:

— Wiele ludzi myśli może, że opis życia kanarka mieszkającego w klatce musi być nudną, jednostajną historią, ale w rzeczywistości życie ptaków w klat-

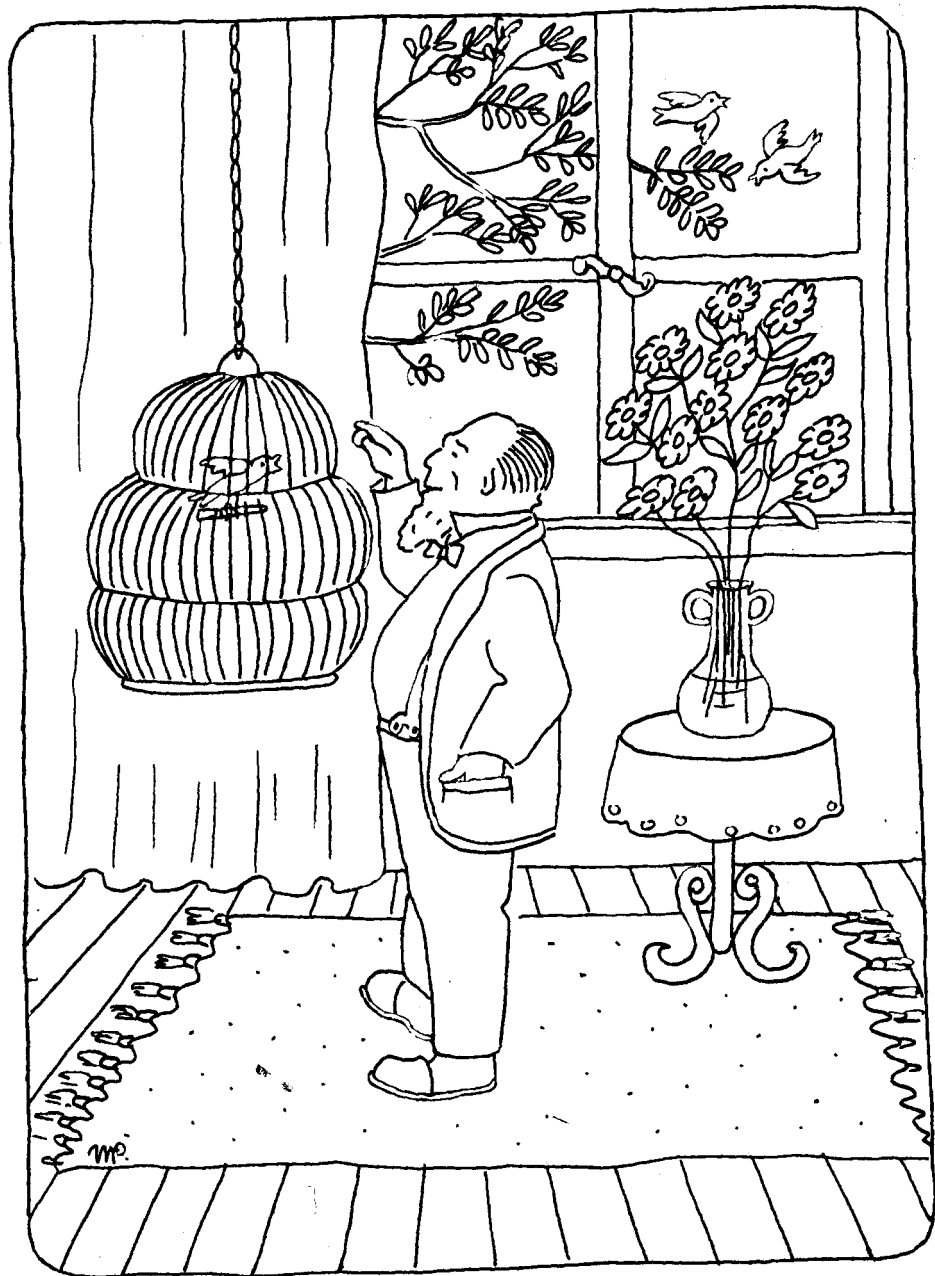
kach jest daleko bardziej urozmaicone i zajmujące niż życie ptaków przebywających na wolności. Wiele razy słyszałam dzikie ptaki opowiadające o swoim życiu i przeważnie były to historie nudne i jednostajne. A więc zacznym:

Urodziłam się w wielkiej klatce zbiorowej, w której prócz nas mieszkało jeszcze kilka rodzin. Moim ojcem był jaskrawożółty kanarek z gór Harcu, a moją matką zięba z bardzo dobrej rodziny. Rodzeństwo, a było nas sześcioro, trzech samczyków i trzy samiczki, miało to samo zabarwienie coja, to znaczy połączenie oliwkowozielonego koloru matki z żółtym ojca. Naturalnie zanim otworzyliśmy oczy, interesowało nas tylko to, czy dostaniemy dosyć pożywienia. Dobrzy rodzice — a nasi rodzice byli najtroskliwszą parą, jaką sobie można wyobrazić — dają swoim dzieciom, gdy te się wylęgna, około czternastu posiłków dziennie.

— Ach — westchnęła Geb-Geb. — Nigdy tyle nie dostawałam!

— Cicho bądź! Nie przerywaj! — zawołał doktor i zwrócił się do Pipinelli: — Wybacz, ale to interesowało mnie już od dawna. Skąd piskłeta wiedzą, zanim przejrzą na oczy, kiedy rodzice przynoszą im pożywienie? Zauważyłem, że otwierają dzióbki za każdym razem, gdy rodzice wracają do gniazda.

— Dzieje się tak chyba wskutek drgania powietrza. Rozpoznamy bardzo wcześnie, kiedy rodzice siadają na brzegu gniazda, i chociaż mamy oczy zamknięte, widzimy jednak cienie, które padają od nich, gdy staną między nami a światłem słońca.





— Dziękuję — rzekł doktor i zanotował coś szybko. — A teraz, proszę, opowiadaj dalej.

— Jak pan to może zauważył — mówiła Pipinella dalej — pisklęta, zaledwie wyjdą z jajka, od razu zaczynają piszczeć, szczebiotać i mówić. To stanowi wielką różnicę między pisklęciem a dzieckiem: wy widzicie, zanim zaczniecie mówić, a my mówimy, zanim przejrzymy.

— Ach — wtrąciła Geb-Geb — wasze mówienie nie może mieć wiele sensu i treści; o czym możecie mówić, gdy jeszcze nic nie widziałyście?

— To stanowi — powiedziała kanarzyca i zwróciła się z nieco wyniosłą miną do Geb-Geb — może najważniejszą różnicę między prosiętami a pisklętami. My rodzimy się z pewnym zasobem rozumu, a świnię, o ile zauważyłam, nie nabierają go nawet wtedy, gdy dorastają. Tak, ten pierwszy okres ślepoty jest bardzo ważny dla wychowania i rozwoju ptaków. Pytasz, o czym one mówią? O niewielu rzeczach. Ja i moje rodzeństwo zadawaliśmy sobie wzajemnie zagadki albo też staraliśmy się wyobrazić sobie, jak będzie wyglądał świat, gdy otworzymy nareszcie oczy. Znaczenie tego okresu ślepoty polega na tym, że gdy musimy obywać się bez siły widzenia, rozwijamy w sobie coś, co nazywamy naszym szóstym zmysłem. Bardzo trudno to wytłumaczyć. Ale Tu-Tu potwierdzi, że tak jest wśród ptaków. Jeśli mówimy o tym, że ptaki mają rozum i instynkt, to przez instynkt rozumiemy właśnie ten szósty zmysł.

— Wybacz — przerwał doktor — ale czy nie mogłabyś nam trochę więcej o tym opowiedzieć?

— Bardzo chętnie — rzekła kanarzyca — choć, jak

już powiedziałam, jest to trudne do wytłumaczenia. Mówiliśmy właśnie o tym, jak młode otwierają swoje dzióbki, gdy rodzice zbliżają się do gniazda. Tak, nie widząc i nie słysząc czujemy obecność rodziców, zanim znajdą się w gnieździe. W tym samym okresie rozwijają się mózgi ptaków. Słuchają bardzo uważnie, a że nie mogą widzieć, więc słuch ich staje się dużo bardziej wyostrozony, niż byłby wówczas, gdyby ich wzrok działał. Słuchałyśmy z największym natężeniem i starałyśmy się uczyć z dochodzących nas odgłosów, jak wygląda świat. Nasłuchiwałyśmy także myszy, skrobiących za tapetą i gałęzi drzew, uderzających o szyby w ogrodzie.

„Dzisiaj wieje ostry wiatr, prawda, tatusiu? — pytałyśmy. — Tyle gałęzi trze o szkło”.

„Tak, tak, dzieci — odpowiadał ojciec — to dmie wiatr północny. Tylko wiatry północne i północno-wschodnie przyciskają jaśmin do okien, inne rozdmuchują go po ogrodzie”.

Mogłyśmy więc po melodii, którą gałęzie drzew wygrywały na szybach, poznać, z której strony wieje wiatr i jaka jest jego siła. Ale większą część naszego wykształcenia zdobyłyśmy nie wiadomo skąd i jakim sposobem. I to jest może najlepsze wytłumaczenie owego szóstego zmysłu: umieć coś, nie wiedząc, skąd i jak przyszła ta wiedza. Naturalnie w wielu dziedzinach, na przykład w geografii, dzikie ptaki posiadają o wiele więcej wiadomości od nas. Geografii uczy ptaki ich szósty zmysł, a my, zamknięte w klatce, mamy niewiele sposobności do ćwiczeń w tym zakresie. Za to pod innymi względami przewyższamy je znacznie. Zwłaszcza na ludziach znamy się daleko

lepiej. Świat by się zadziwił, gdyby wiedział, jak trafnie kanarki urodzone w mieszkaniu potrafią ocenić ludzi. Muszę powiedzieć, że ja, jako dorosły ptak, dziwiłam się często sama sobie, skąd zdobyłam tyle wiadomości. Myślę jednak, że największą i może najważniejszą ich część nabyłam w owym czasie, gdy leżałam w gnieździe z zamkniętymi oczyma, starając się słuchem, węchem i wycuciem odgadnąć, jak świat może wyglądać.

— Bardzo dziękuję — rzekł doktor — to niesłychanie interesujące. Wybacz, że ci przerwałem, ale te sprawy są dla mnie, jako dla przyrodnika, niezwykle ważne. Proszę, opowiadaj dalej.

— Jest to bardzo wzruszająca chwila, gdy pisklęta po raz pierwszy otwierają oczy — ciągnęła dalej Pipinella. — Przeważnie nie śpi się już całą poprzedzającą noc, żeby nie zapaść i nie zostać wyprzedzonym przez siostry i braci, piszczących, że oni pierwsi zobaczyli świat.

My, rodzeństwo, również w odpowiednim czasie przejrzałyśmy, ale muszę przyznać, że byłam lekko rozczarowana. Trzeba pamiętać, że dla nas, ptaków w klatce, świat stanowił pokój zamiast otwartej łąki, zarośli albo cienistego lasu. Naturalnie wiedzieliśmy już od naszych rodziców, jak ten nasz świat wygląda, ale chociażby nam ktoś jak najlepiej coś opisał, tworzymy sobie zawsze swój własny, mniej lub bardziej fałszywy, obraz. Nasz świat, który teraz odkryłyśmy, był to długi pokój, rodzaj jadalni połączonej z bawialnią, bardzo ładny, pełen doniczek z kwiatami, palmami, stało tam też trochę mebli i kilka klatek z ptakami. W dzień czuwała nad nami jakaś kobieta, przy-

nosiła moim rodzicom siekane jajko i okruszki ciasta, którymi karmili nas, młode. Wieczorami przychodził mężczyzna, do którego, jak się zdaje, należałyśmy, i jeszcze raz sprawdzał wszystko. Wydawał się być porządnym człowiekiem i widocznie zależało mu bardzo na tym, żeby mieszkało nam się dobrze; gniewał się na kobietę, gdy zapomniała oczyścić klatki, zmienić wodę w miseczkach albo dać nam świeżej sałatki. Zamiłowaniem tego człowieka było hodowanie śpiewaków konkursowych. W przyległym pokoju musiały również znajdować się ptaki, gdyż słyszałyśmy ich śpiew. Kiedy drzwi były otwarte, nasz ojciec opowiadał im i gawędził z nimi o naszej opiekunce, o dobroci ziarna, o temperaturze pokoju i wszelkich nowinach domowych.

Tuż obok nas mieszkała w jednej z klatek inna rodzina z młodymi, a nasi rodzice lubili gawędzić z sąsiadami. Moja matka chwaliła się zawsze, że jej małe wyglądają lepiej niż ich potomstwo.

Człowiek, który nas hodował, miał dwoje dzieci; przychodziły one czasem do pokoju, aby się nam przyjrzeć albo pobawić zabawkami na podłodze. Ich zabawy zajmowały nas bardzo i cieszyłyśmy się z tych odwiedzin, gdyż przez większą część dnia w pokoju było bardzo cicho.

Mój ojciec był, jak się zdaje, bardzo dobrym śpiewakiem i jeśli tylko nie pomagał matce karmić nas, wiecznie głodne dzieciaki, siadywał na brzegu gniazda i śpiewał. Miał potężny głos, ale nie mogę powiedzieć, żeby mnie ten śpiew bardzo cieszył. Po prostu pękały mi bębenki w uszach, toteż prosiłam matkę, aby przestał.

Pewnego rana ojca zabrano i matka opowiadała nam, że wysłano go na wystawę kanarków, aby się przekonać, czy dostanie nagrodę. Gdy pan przyniósł go wieczorem z powrotem, cały dom był bardzo poruszony. Domownicy zeszli się i rozmawiali tylko o tym, że nasz ojciec dostał pierwszą nagrodę. Potem śpiewał jeszcze głośniej i było już zupełnie bezcelowe prosić matkę, aby go mitygowała, gdyż matka była z jego triumfu dumniejsza bardziej niż on sam. W przerwach między śpiewem opowiadał nam o wystawie, o tym, co orzekli sędziowie i jakie kanarki miał za współzawodników.

Było to dziwne życie, wcale nie takie nudne, jak się je zwykło przedstawiać. Gdyśmy się opierzyły i urosły, lubiłam patrzeć przez okno na drzewo w ogrodzie, pokryte rozkwitającymi pąkami. Tu i ówdzie widziałam przelatującego szpaka i czułam wtedy niewyraźną tęsknotę do nieskrępowanego życia na swobodzie. Ale pewnego dnia ujrzałam, jak sokół spadł na małego, kulawego wróbla i uniósł go ze sobą. Drżąc skryłam się w gromadce braci i siostr i dziękowałam mojemu losowi, że żyję bezpiecznie w czterech ścianach domu. Ostatecznie, powiedziałam sobie, życie w klatce ma swoje dobre strony. Ochronia nas przed kotami i drapieżnymi ptakami, dostarcza wygodnego mieszkania i dobrego pożywienia.

## Pipinella odbywa swoją pierwszą podróż

Ptak urodzony u handlarza ptaków interesuje się najbardziej tym, czy zostanie na miejscu, czy go się sprzeda, zamieni albo odda. Nasz właściciel, trzeba wiedzieć, chociaż nie posiadał prawdziwego sklepu, miał wielu przyjaciół, którzy przychodzili do niego i tak samo jak on interesowali się kanarkami. Musiał być znanym hodowcą, gdyż wiele osób przychodziło w odwiedziny do niego i do jego ptaków z daleka. Nie miał on dość miejsca, aby wszystkie ptasie rodziny, które się u niego wylęgły, zachować dla siebie. Gdy młode dorastały i okrywały się piórkami, wybierał te, które chciał zatrzymać, a były to zawsze ptaki obdarzone dobrym głosem albo pięknym upierzeniem. Inne zamieniał, sprzedawał albo oddawał. Samiczek zostawiał niewiele.

Pewnego wieczoru, w dwa tygodnie potem, gdy opuściliśmy nasze gniazdo i zaczęliśmy samodzielnie skakać i dziobać ziarno, rodzice moi wszczęli rozmowę na ten temat. My, młode, zainteresowane dotyczącymi nas sprawami, słuchałyśmy uważnie. Moja matka powiedziała:

— Obawiam się, że prawdopodobnie zechce się pozbyć większej części tego wylęgu. Nie mają już przecież miejsca, przy tym wydaje mi się, że woli ptaki z sąsiedniej klatki, chociaż nie mogę zrozumieć, co mu się podoba w tych chudych, długoszych, małych

niezdarach. Nie zamieniłabym ani jednego z naszych dzieci na to całe towarzystwo.

— No tak — rzekł ojciec — dla ich dobra byłoby lepiej, żeby je oddał, najlepiej pojedynczo.

— Dlaczego? — zapytałam.

— Otóż kanarek otoczony bywa najtroskliwszą opieką wtedy, gdy jest jedyny w domu. Wszędzie, gdzie trzeba dbać o wielką liczbę ptaków, opieka nad nimi jest niedbała i niechlujna. Jak wiadomo, jest ona najgorsza w sklepach z ptakami. Tam czyści się klatki tylko raz na tydzień, stawia się je coraz to gdzie indziej, czasem w miejscach nagranych przez słońce, a czasem w zimnym przeciągu. A hałas i zapachy są okropne. Mam nadzieję, że nie odeślą was do handlarza ptaków.

— Ależ, tatusiu — powiedziałam — najlepiej byłoby, gdyby nas ktoś od razu kupił, prawda?

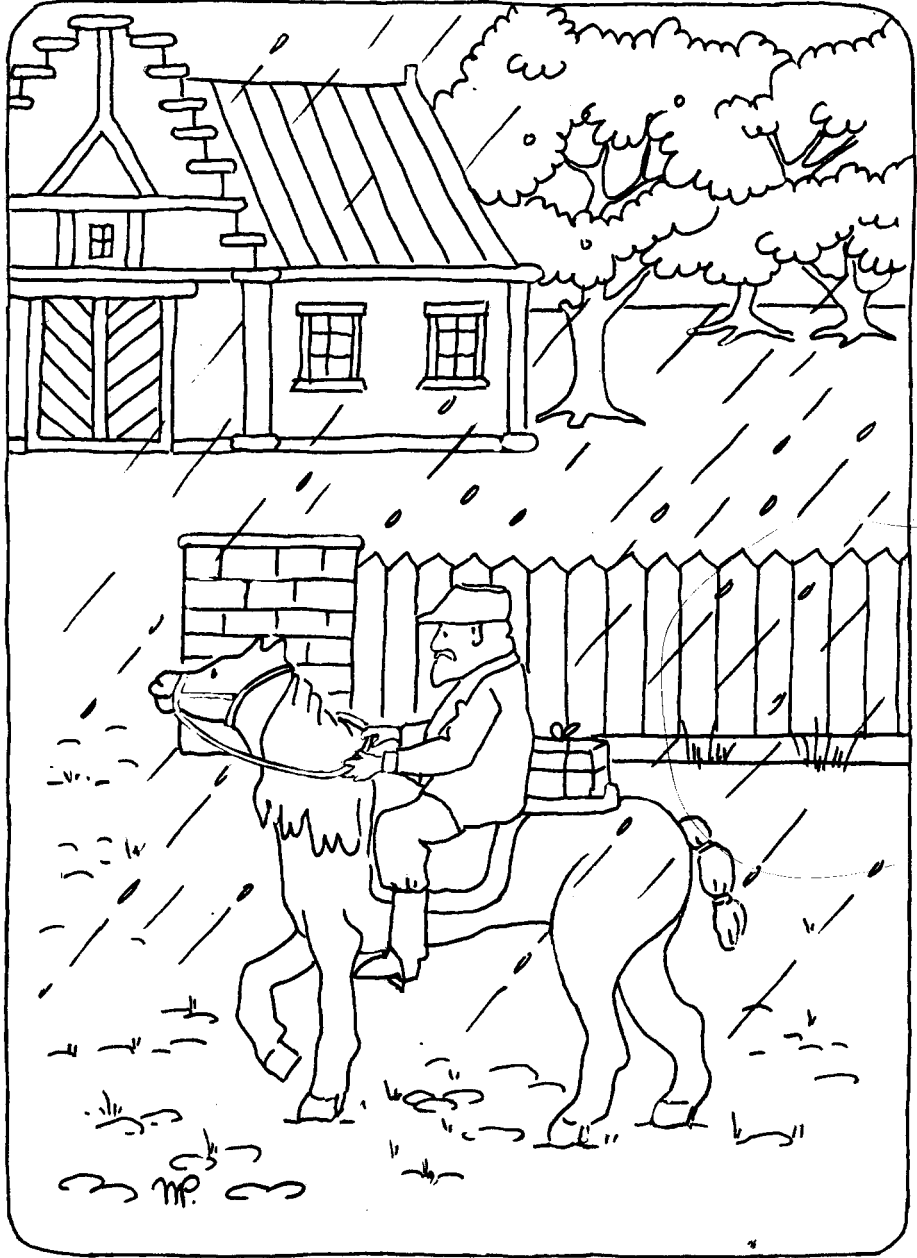
— Tak, ale to się nieczęsto zdarza, szczególnie gdy się jest samiczką. Ludzie rzadko przychodzą do sklepu po to, aby kupić kanarzcę.

— Dlaczego? — zapytałam.

— Dlatego, że kanarzyce nie śpiewają — powiedział ojciec.

Trzeba zwrócić uwagę na to, że powiedział: „nie śpiewają”, a nie: „nie umieją śpiewać”. Zdaje mi się, że byłam zawsze małą buntownicą. Może powinnam była przyjść na świat jako samczyk. W każdym razie rozgniewał mnie tego wieczoru ten głupi, niesprawiedliwy, staromodny zwyczaj.

— Tatusiu — powiedziałam — według mnie jest to śmieszne. Ty wiesz, że samiczki rodzą się z takimi samymi głosami jak samczyki. Tylko dlatego, że





uważa się za niewłaściwe, aby śpiewały, zabrania się im ćwiczyć głosy w młodości, skazując je na ich utratę. Uważam, że to jest krzyżująca niesprawiedliwość.

Teraz moja matka wtrąciła się do rozmowy.

— Jak śmiesz mówić tak do swego ojca, ty zuchwała, postrzelona dziewucho?! — zawołała. — Co z tych współczesnych dziewcząt wyrośnie? Idź mi zaraz do kąta klatki!

I wymierzyła mi skrzydłem taki policzek, że spadłam z pręta.

Chociaż otrzymałam nauczkę, nie czułam żadnej skruchy. Dlatego że samiczkom nie wolno śpiewać, zostaniemy razem z siostrami najprawdopodobniej wepchnięte do przepełnionego sklepu, a mogłaby nas kupić jakaś miła osoba prywatna, która by się z nami przyzwoicie obchodziła. Postanowiłam śpiewać w ukryciu, aby wykształcić swój głos i dorównać moim braciom.

Choć ciągle dziobałam ziarnka, pracowałam w spokoju nad kształceniem mego głosu, wówczas gdy inne ptaki jadły albo szczebiotały między sobą. W końcu nasz właściciel zauważył, że często odłączam się od mojej rodziny, i umieścił mnie w oddzielnej klatce. Tutaj mogłam śpiewać tak długo i tak głośno, jak mi się chciało, a inne ptaki mogły mi co najwyżej dokuczać zuchwałymi uwagami o właściwościach mego głosu.

Pewnego dnia nasz właściciel przyprowadził swego przyjaciela, który chciał nas poznać. Miał zamiar podarować mu kanarka i poprosił, aby wybrał sobie jednego z członków dwóch nowych rodzin ptasich. Twarz tego człowieka wzbudziła moje zaufanie i za-

leżało mi bardzo na tym, żeby mnie wybrał. Widocznie jednak podobało mu się ubarwienie tamtej rodziny, gdyż krążył dłuższą chwilę wokoło jej klatki. Wtedy zaśpiewałam najlepiej, jak potrafiłam, i nagle zauważyłam, że wzbudziłam jego zainteresowanie. Podeszedł do mojej klatki i zapytał właściciela, czy ja również należę do nowego wylęgu. Gdy ten przytaknął, jego przyjaciel powiedział, że wybrałby chętnie właśnie mnie.

Ku mojej wielkiej radości właściciel przyniósł małą podrózną klatkę, aby ją wypożyczyć przyjacielowi, dopóki nie kupi sobie większej. Wsadzono mnie więc do klatki, którą przykryto papierami, tak że już nic widzieć nie mogłam.

Moi rodzice i rodzeństwo mogli mnie jednak jeszcze słyszeć poprzez papier. Wołali: „Bądź zdrowa!” i: „Powodzenia!” A potem poczułam, że klatkę zabrano ze stołu, i tak zaczęła się pierwsza podróż w moim życiu.

Naturalnie paliła mnie ciekawość i niecierpliwie oczekiwałam, dokąd przybędę i jaki będzie mój nowy dom. Po ruchu — osobliwym, gwałtownym unoszeniu w górę — odgadywałam, że jeszcze ciągle jestem niesiona. Nagle poczułam, że klatka stoi na miejscu, trwało to tylko chwilę, a powietrze, które się nagle oziębilo, odpowiedziało mi, że znajdujemy się już poza domem. Potem usłyszałam stapanie kopyt końskich i zostałam znowu podniesiona w górę.

Teraz zaczął się nowy rodzaj ruchu i po nim, jak i po miarowym stuku kopyt, poznałam, że znajduję się na grzbiecie końskim. Wiatr dał poprzez mój papierowy dach. Niebawem poczułam zapach zboża

i maków polnych i uprzytomniłam sobie, że jesteśmy już za miastem, w otwartym polu. Nie byłam nigdy przedtem na wsi, ale mój ojciec znał wieś ze swoich wyjazdów na wystawy i opowiadał mi o niej.

Czułam zimno, była to niewygodna, uciążliwa jazda. Ponieważ trząsał się gwóźdź u siodła, na którym umieszczono moją klatkę, woda i jadło z miseczki wylewały się i rozsypywały po całej klatce, a także i na mnie.

Nagle koń zwolnił bieg, a że echo kopyt końskich zaczęło wracać z pobliza, domyśliłam się, że jedziemy ulicami innego miasta. Chciałam bardzo wiedzieć, czy to jest miejsce pobytu mego nowego właściciela, czy też podróż nasza będzie dalej trwała. Słyszałam ćwierkanie wróbli, gruchanie gołębi, szczekanie psów, rozmowy i krzyki ludzi. Spodziewałam się, że zostaniemy tutaj. Sądząc po odgłosach była to gwarna miejscowość.

Ku mojej wielkiej radości okropna jazda ustała. Poczułam, że moja klatka została zdjęta i podniesiona w górę przez inne ręce. Jakaś kobieta powitała człowieka na koniu. Powietrze ociepliło się nagle i jakieś drzwi się zatrzasnęły. Byłam w domu, w domu pełnym zapachów, z których większość stanowiła znakomita, rozkoszna woń jedzenia. Moją klatkę postawiono na stole, rozległo się wiele głosów, wśród nich kilka dziecięcych. Czyjeś palce zaczęły zdierać papier z mojej klatki, wiążący ją sznurek został przecięty z dźwiękiem, przypominającym brzęk gitary, a potem mogłam nareszcie wszystko widzieć.

## Nowy dom

— Pokój — opowiadała Pipinella dalej — w którym się znajdowałam, był zupełnie inny niż te, które dotychczas widywałam. Chociaż właściwie widziałam dotychczas tylko jeden pokój, ogród zimowy handlarza ptaków. Mój nowy pokój był dość duży, stało w nim wiele krzesel, powałę zrobiono z wielkich zakopconych belek, na ścianach wisiały zabawne obrazy, na których mężczyźni w czerwonych kurtkach galopowali konno po polach. Nad drzwiami umieszczono rogi jelenie, na kominku stała szklana skrzynka z ogromną nieżywą rybą.

Wokoło mojej klatki zgromadziło się troje albo czworo ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci, wszyscy mieli tłuste, czerwone policzki i przyglądali mi się z ciekawością i z uśmiechem pełnym podziwu. Domyśliłam się, że jest to rodzina mego nowego właściciela. Wsadzono mnie do obszernej, przyzwoitej klatki i byłam bardzo rada, że opuściłam poprzednią — małą, ciasną, zanieczyszczoną podczas podróży.

Potem rodzina zaczęła się sprzeczać, zapewne o to, w jakim miejscu postawić moją klatkę. W końcu zdecydowano się na powieszenie jej w dużym, wychodzącym na podwórze oknie oszklonej werandy.

Nie znałam dotychczas wielu ludzi, gdyż byłam jeszcze bardzo młoda, zresztą u mego poprzedniego właściciela zazwyczaj, z małymi wyjątkami, w pokoju przebywał tylko jeden człowiek. W tym domu było inaczej. Ludzie siedzieli razem po dwoje lub troje

i wszyscy mówili jednocześnie. Obserwowałam i słuchałam przez cały dzień ich rozmów, tak że wkrótce nauczyłam się rozumieć niektóre słowa z ich języka. Nawet już tego pierwszego dnia odgadłam z ich ruchów i spojrzeń, że najstarszy chłopiec prosił swoją matkę, aby mu powierzono opiekę nade mną. W końcu matka zgodziła się na to, co zresztą stało się przyczyną bardzo wielu moich przyszłych zmartwień, gdyż był to najmniej odpowiedzialny mały urwis, jakiego można sobie wyobrazić. Zapominał często nalać wody do mojej miseczki i męczyłam się potem przez cały dzień z powodu strasznego pragnienia, zanim sobie o tym przypomniał. Był zawsze bardzo zmartwiony, gdy spostrzegał swoje niedopatrzenie, ale to mi niewiele pomagało.

Z początku dom ten wprawiał mnie w ciągłe zdumienie. Rodzina wydawała się ogromna. Co dzień przybywał ktoś nowy, kogo nigdy przedtem nie widziałam, mężczyźni, kobiety i dzieci, na koniach, pieszo albo wozami. Jadali w jadalni i nocowali często w sypialniach na piętrze, potem odjeżdżali lub odchodzili, a inni przybywali na ich miejsce. Ciągłe ktoś przyjeżdżał i ciągle ktoś odjeżdżał.

W końcu doszłam do przekonania, że nie wszyscy należą do rodziny, i zaczęłam przypuszczać, że mój nowy właściciel ma wielu przyjaciół. Bóg wie, jak długo bym tak myślała, gdyby z mojej młodszej nieświadomości nie wyrwał mnie pewnego dnia młody szpak. Było ciepłe popołudnie i otworzono okno. Zobaczyłam szpaka biegającego tam i z powrotem z kilkoma nitkami włosów w dziobku. Budował sobie pieczołowicie gniazdo na jednej z topól przed domem. Od

czasu gdy rozstałam się z moją rodziną, nie rozmawiałam z żadnym ptakiem. Przywołałam go więc, przyleciał pod moje okno i gawędziliśmy przez chwilę.

— To, zdaje się, bardzo zabawny dom — powiedziałam. — Kim jest ten człowiek, który ma tylu przyjaciół, odwiedzających go przez cały dzień?

— Nie można mieć żadnych wątpliwości co do tego, że jesteś niemowlęciem zrodzonym w klatce — zaśmiał się szpak. — To nie są jego przyjaciele, to nie jest prywatne mieszkanie, to gospoda, hotel, gdzie ludzie płacą za to, że mieszkają i jedzą. Czy nie zauważyłaś wielkiego wozu, który co dzień o piątej wjeżdża na podwórze? To dylizans z północy, a ten, który przyjeżdża rano, to nocny dylizans z południa. Czy nie widziałaś, jak zmieniają konie? Tu jest prawdziwa gospoda, gdzie zajeżdża poczta, jeden z najbardziej ożywionych punktów w całym kraju.

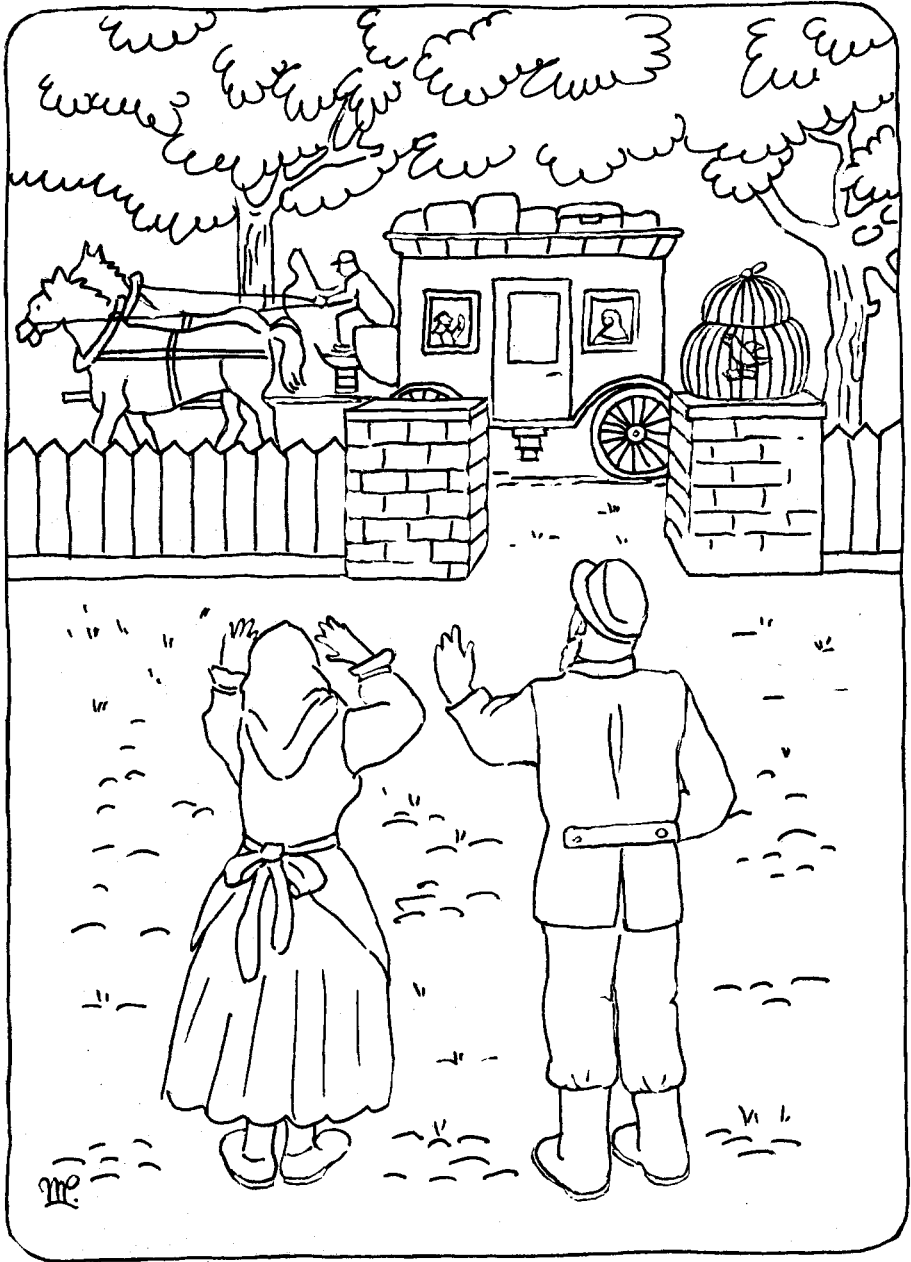
Moje pierwsze przeżycia z dala od opiekuńczych skrzydeł macierzyńskich były naprawdę bardzo przyjemne. Miałam dom, którego każdy ptak w klatce mógł mi pozazdrościć. Często potem wspominałam z przyjemnością miły, wesoły gwar tej gospody. Jeśli się już jest ptakiem w klatce, jeśli się już jest pozbawionym zielonych lasów i otwartego nieba, dobrze jest przynajmniej mieć łączność ze światem.

Co chwila zdarzało się coś nowego. Był to wielki trakt. Ludzie jeździli tą szosą nie tylko do stolicy, ale i do dalekich krajów, gdyż droga ta prowadziła do wielkiego portu, skąd odpływały okręty na wszystkie morza. Ludzie przyjeżdżali i odjeżdżali, i opowiadali nowiny z całego świata. A codzienna poczta

przywoziła gazety z północy, z południa, ze wschodu i z zachodu.

Wszystko to obserwowałam z mojej małej klatki. A gdy nadeszło lato, stawiano klatkę co rano na murze koło bramy. Stamtąd mogłam widzieć spory kawałek szosy, dyliżanse spostrzegałam o wiele wcześniej niż inni. Jeśli powietrze było suche, poznawałam ich zbliżanie się po obłokach kurzu. I wtedy śpiewałam pewną piosenkę, ułożoną przeze mnie, która zaczynała się tak: „Wyjdź, dziewczę, dyliżans się już zbliża”. I chociaż nikt nie rozumiał słów, nauczyli się wkrótce tej melodii wszyscy portierzy i pokojówki. Gdy tylko usłyszeli, że śpiewam tę piosenkę, wiedzieli na pewno, że dyliżans pocztowy przybędzie za kilka minut i szykowali się do przyjęcia gości. Pokojówki rzucały ostatnie spojrzenia na stoły w jadalni, portier i służący czekali przed drzwiami gotowi do zdejmowania kufrów i waliz, chłopcy stajenni otwierali bramę od podwórza i wyprowadzali wypoczęte konie ze stajni, aby nimi zastąpić te, które przybędą, zmęczone. Radość przenikała mnie za każdym razem, gdy w spokojne, senne popołudnie budziłam moją piosenką całą gospodę do nagłego gwaru i życia. W ten sposób nie tylko miałam łączność ze światem, ale brałam także do pewnego stopnia udział w jego życiu — chociaż żyłam w klatce, czułam się odpowiedzialnym członkiem gospody.

Ptak w klatce będzie szczęśliwy wówczas, jeśli będzie lubił ludzi. Większość ptaków na swobodzie patrzy na ludzi z góry, jak gdyby należało się ich bać, i zdaje im się, że wszyscy ludzie są do siebie podobni jak kamienie albo groch. Tymczasem tak nie jest. Są





bardzo różni. Jest tylu rozmaitych ludzi, ile rozmaitych wróbli albo kanarków. Ale ptak na swobodzie nigdy temu nie uwierzy.

Nie byłam jeszcze dłużej w gospodzie, a już zdobyłam wielu dobrych przyjaciół wśród ludzi. Jednego pamiętam szczególnie dobrze, starego woźnicę, który powoził nocnym dyliżansem, jadącym z północy. Był to znakomity woźnica, potrafił z wielką zręcznością kierować czwórką koni. Co wieczór, gdy wjeżdżał wielkim, ciężkim wozem w podwórze, wołał ze swego kozła: „Hallo, Pip, oto jestem!” i trząsał z długiego bata, co brzmiało jak wystrzał z pistoletu. Potem przybiegali chłopcy stajenni, aby zmienić konie, oczyścić uprzęż, zmyć brud z cugli; uwijali się pracowicie jak pszczoły, aby doprowadzić wszystko do porządku przed następną podróżą. Dla tego miłego, przyjacielskiego starego woźnicy — nazywał się Jack — skomponowałam nową pieśń. I od tej pory co wieczór, gdy trząsał ze swego długiego bata, śpiewałam tę pieśń, aby uprzyjemnić chłopcom stajennym czas przy pracy nad doprowadzeniem dyliżansu do porządku. Pieśń ta miała brzmieć jak dzwonki uprząży końskiej i jak gładzenie zgrzebłem — szu-szu — i kończyła się nagle ostrym okrzykiem: „Jack-Krak!”

Stary Jack przynosił mi w kieszeni kawałek cukru, o którym nigdy nie zapomniał, gdy szedł na kolację, i wtykał go zawsze między pręty mojej klatki. Jack, pocztylion nocnego dyliżansu północnego, był jednym z moich najlepszych przyjaciół.

## Dzieje życia pełnego przygód

Jak już powiedziałem, historia życia Pipinelli była bardzo długa. A ponieważ w tej książce mają być opisane przygody doktora Dolittle, uważam, że będzie słuszniej, jeśli resztę dziejów życia mezzosopranistki-kanarzycy opowiem własnymi słowami, skracając długą opowieść, którą ona sama przekazała doktorowi i jego towarzystwu.

Z pewnością mało ptaków w klatkach, a nawet niewielu ludzi, przeżyło w krótkim okresie swego życia tyle ciekawych przygód, co Pipinella.

Z gospody, gdzie była taka szczęśliwa, sprzedano ją pewnemu panu wielkiego rodu, który zabrał kanarzycę do swoich dóbr. Kiedy przybyła do wspaniałego pałacu, podarował ją swojej żonie i Pipinella spędziła u tej damy kilka tygodni, mieszkając w pokoju położonym na wysokiej wieży. Poznała tam życie zupełnie różne od tego, które wiodła w gospodzie. Ze swojej pięknej, srebrnej klatki obserwowała zamęt i niepokój, ciężący nad wszystkim, co się wokoło niej działo. Wielki pan, markiz, był posiadaczem wielu mil kwadratowych ziemi, całych miast, kopalń węgla i fabryk. Jego małżonka, zacna markiza, w której pokojach mieszkała Pipinella, była bardzo nieszczęśliwa. Kanarzyca śpiewała jej piosenki, aby ją rozweselić.

Nasłuchiwała się tutaj wieści o rozruchach w fabry-

kach i kopalniach. Robotnicy byli niezadowoleni. Pewnego dnia, podczas nieobecności markiza i markiży, tłum wtargnął do pałacu, zrabował go i podpalił. Psy i konie, należące do posiadłości, zostały przez samych robotników uratowane. Ale Pipinelli nikt nie ratował. Zawieszanej w srebrnej klatce sto stóp nad ziemią nie zauważono i zostawiono w palącym się pałacu. Nie mogła uciec i widziała, jak płomień pełzły powoli, ale bezustannie z piętra na piętro w górę pałacu. W chwili, gdy uważała się już za straconą, rozległo się bicie w bęben. To nadchodził pułk żołnierzy, by ratować palący się pałac. Ogień ugaszono i Pipinella, jedyne żywe stworzenie w spalonym gmachu, została wyratowana przez jednego z żołnierzy. Wybawiona od śmierci, stała się ulubienicą pułku i towarzyszyła mu odtąd stale. Obchodzono się z nią bardzo dobrze, jak z istotą przynoszącą szczęście. Jeździła więc w swojej klatce z miejsca na miejsce, wszędzie tam, gdzie żołnierze obozowali. Ułożyła w tym czasie nową piosenkę w takt marszu żołnierzy. Zaczynała się tak: „Jestem dzieckiem pułku, jestem skrzydlatym strzelcem”. Pewnego dnia wysłano żołnierzy do miasta, gdzie mieli stłumić rozruchy robotników. Nakazano im strzelać do bezbronnego tłumu. Nie mogli się jawnie przeciwstawić temu rozkazowi, ale nie chcąc zabijać swych braci, dali się dobrowolnie pokonać. Wóz, na którym jechała Pipinella, został zdobyty i kanarzyca — ulubienica pułku przeszła w posiadanie pewnego robotnika, który ją wygrał w losowaniu. Opuścił on wkrótce wraz ze swym towarzyszem miasto, uciekając przed nowo przybyłym wojskiem, i zabrał Pipinellę ze sobą. W drodze

został raniony i zmarł zostawiając Pipinellę swemu towarzyszowi.

Nowy właściciel Pipinelli był górnikiem i zamierzał szukać zajęcia w najbliższej kopalni.

Następny rozdział historii Pipinelli jest bardzo dziwny i smutny. W wielu kopalniach istnieje zwyczaj posługiwania się kanarkami przy pracy w sztolniach. Umieszcza się klatkę wysoko nad głowami pracujących górników — śmiertcionośny gaz, który niekiedy stanowi tak wielkie niebezpieczeństwo dla górników, gromadzi się przede wszystkim u pułapu tunełu i wówczas zachowanie się ptaka jest dla nich znakiem ostrzegawczym.

Minęło wiele tygodni takiego mrocznego, ponurego życia, aż któregoś dnia Pipinellę zauważyła starsza pani, która zwiedzała kopalnię. Zainteresowała ją kanarek mieszkający w kopalni i zapytała, czy może go kupić. Zaproponowała wysoką cenę i górnik, usłyszawszy to, skorzystał ze sposobności, aby zarobić tyle pieniędzy. Starsza pani wzięła Pipinellę ze sobą do domu, gdzie zaczął się dla ptaka nowy i piękny okres życia.

Była wiosna i ciotka Róża postanowiła wydać kanarzycę za mąż. Przedstawiono jej ładnego kanarka, który, jak to powiedziała Pipinella doktorowi, wydał jej się niezbyt mądry, ale bardzo miły. Miał nadzwyczajny głos. Pipinella, uważająca się słusznie za znawczynię głosów ptasich, opowiadała, że nigdy, ani przedtem, ani potem, nie spotkała wśród kanarków śpiewaka, który mógłby się równać z jej małżonkiem. Nazywał się Fifi.

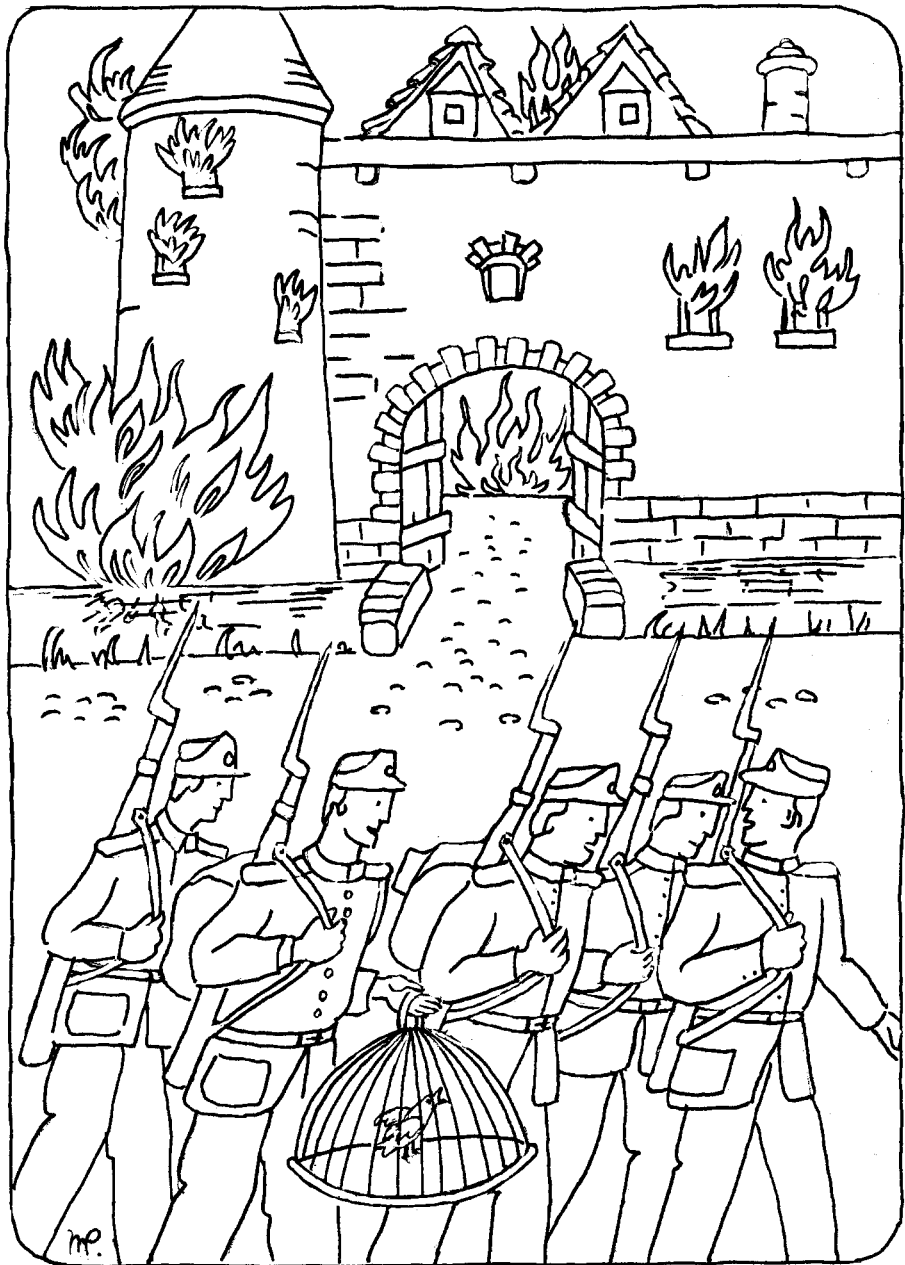
Nastąpiły teraz spokojne, długie tygodnie, podczas

których Pipinella i Fifi wychowywali gromadkę młodych kanarków.

Wszystkie młode, gdy podrosły, zostały rozdane przyjaciółkom ciotki Róży i w końcu Pipinella i jej małżonek zostali znów sami.

W domu ciotki Róży Pipinella zawarła znajomość z pewnym człowiekiem, który miał później wywrzeć największy wpływ na jej życie. Był on czyścicielem szyb. Klatka Pipinelli wisiała przy oknie i człowiek ten czyszcząc szyby gwizdał wesoło, a ptak odpowiadał śpiewem. Pipinella domyśliła się od razu, że to człowiek z charakterem, niepospolity, i że z pewnością czyści szyby tylko dlatego, że musi zarobić na chleb. Chociaż ciotka Róża była poczciwą kobietą, Pipinella uważała jej towarzystwo za nudne i uciążliwe i była bardzo zadowolona, gdy podarowano ją czyścicielowi szyb. Nie zmartwiła się nawet tym, że rozstaje się z Fifi, który, chociaż śpiewał najpiękniej na kuli ziemskiej, był dość nudny w pożyciu. Pipinella z radością podążyła z czyścicielem okien do jego domu.

Jej nowy dom był bardzo osobliwy. Mieścił się w nieczynnym wiatraku. Czyściciel szyb przez cały dzień mył szyby, aby zarobić na swoje utrzymanie, a do późnej nocy pisał. Ukrywał to pisanie w dziurze pod podłogą. Pewnego dnia poszedł jak zwykle rano do roboty. A ponieważ była znów wiosna, zawiesił klatkę z Pipinella na gwoździu przy oknie wiatraka, dobre dwadzieścia stóp ponad ziemią. Nadeszła godzina jego powrotu, ale nie wracał. Zapadły ciemności, a on wciąż jeszcze się nie zjawiał. Dwa dni minęły, a czyściciela szyb nie było. Pokarm kanarka daw-



no się wyczerpał. Pipinella lękała się, że jej panu coś się przytrafiło, a ponieważ żył on zupełnie samotnie, zdawało się, że będzie musiała umrzeć z głodu.

Trzeciej nocy zerwała się nad ranem wielka burza i zmiotła klatkę z gwoźdźca rzucając ją o ziemię. Pękła na dwie części, ale ptak nie odniósł żadnych obrażeń. I nagle, gdy na wschodzie zajaśniała jutrzienka, Pipinella spostrzegła, że po raz pierwszy w życiu znajduje się na wolności.

Rozdział VII

## Wolność

Pipinella zużyła trochę czasu na to, aby doktorowi wytłumaczyć, co to znaczy wolność. Z początku cieszyła się nią bardzo. Mogła polecieć, dokąd chciała. Ale, urodzona i wychowana w klatce, uznała wkrótce, że życie na wolności niesie temu, kto nie ma doświadczenia, więcej niebezpieczeństw niż przyjemności. Gdy próbowała, jak inne ptaki, latać wśród zarośli, skrzydła jej zaczepiały się o kolczaste krzewy jeżyn. Goniły ją koty, jastrzębie, łasice. Nie wiedziała, jak znaleźć pożywienie. Loty trwające dłużej niż kilka metrów męczyły ją strasznie. Większą część dnia spędzała więc ukryta w dziurach wiatraka, aby ująć swym prześladowcom w powietrzu i na ziemi.

Potem spotkała ziębę samczyka. Pipinella była, jak pamiętacie, mieszańcem, zielonym kanarkiem. Samczyk-zięba widział, jak uciekała przed sokołem, i uratował jej życie wabiąc go i odciągając w inną

stronę, tak że Pipinella mogła uciec. W cichy, piękny wieczór wiosenny wyznał jej swoją miłość i obiecał nauczyć, jak należy żyć na wolności. Pipinella była wzruszona. Ten ptak ocalił jej życie. Postanowili się pobrać, uwić gniazdo i mieć młode.

Polecieli bardzo daleko, aby znaleźć najpewniejsze miejsce na gniazdko, które byłoby godne ich miłości. Często słyszała w owych czasach, jak jej ukochany śpiewał słynną melodię, która później dzięki niej stała się ogólnie znana wśród publiczności złożonej z ludzi. Nazwała ją potem „Miłością wiosenną zięby”. Tymczasem jej towarzysz wtajemniczał ją we wszystkie umiejętności życia na wolności, o których, jako ptak z klatki, nic nie wiedziała.

Tak płynął czas sielanki. Ale smutek i zmartwienia nie ominęły Pipinelli. Pewnego wieczoru, gdy wróciła z materiałem zebrany na budowę gniazdko — wyszukali sobie na nie najpiękniejsze miejsce na piaszczystym wybrzeżu małej zatoki, do której morze wlewało się łagodnymi falami i którą ocieniały krzaki pokryte kwieciami — zaskoczyła swego ukochanego na rozmowie z samiczką-ziębą, a więc ptakiem jego rodzaju. Od razu wiedziała, że oznacza to koniec ich miłości. Mimo to Pipinella zachowała się z godnością i przedstawiona ziębie starała się być dla niej bardzo uprzejma. Trzy ptaki spędziły noc na gałęzi kwitnącego krzaku tarniny. Ale Pipinella wiedziała, że — jako mieszaniec i ptak z klatki — jest im obca.

Bardzo wcześnie, zanim świt zbudził jej towarzysza, opuściła spokojnie krzak tarniny i poleciała na wybrzeże. Tam, na piasku, postanowiła polecieć do



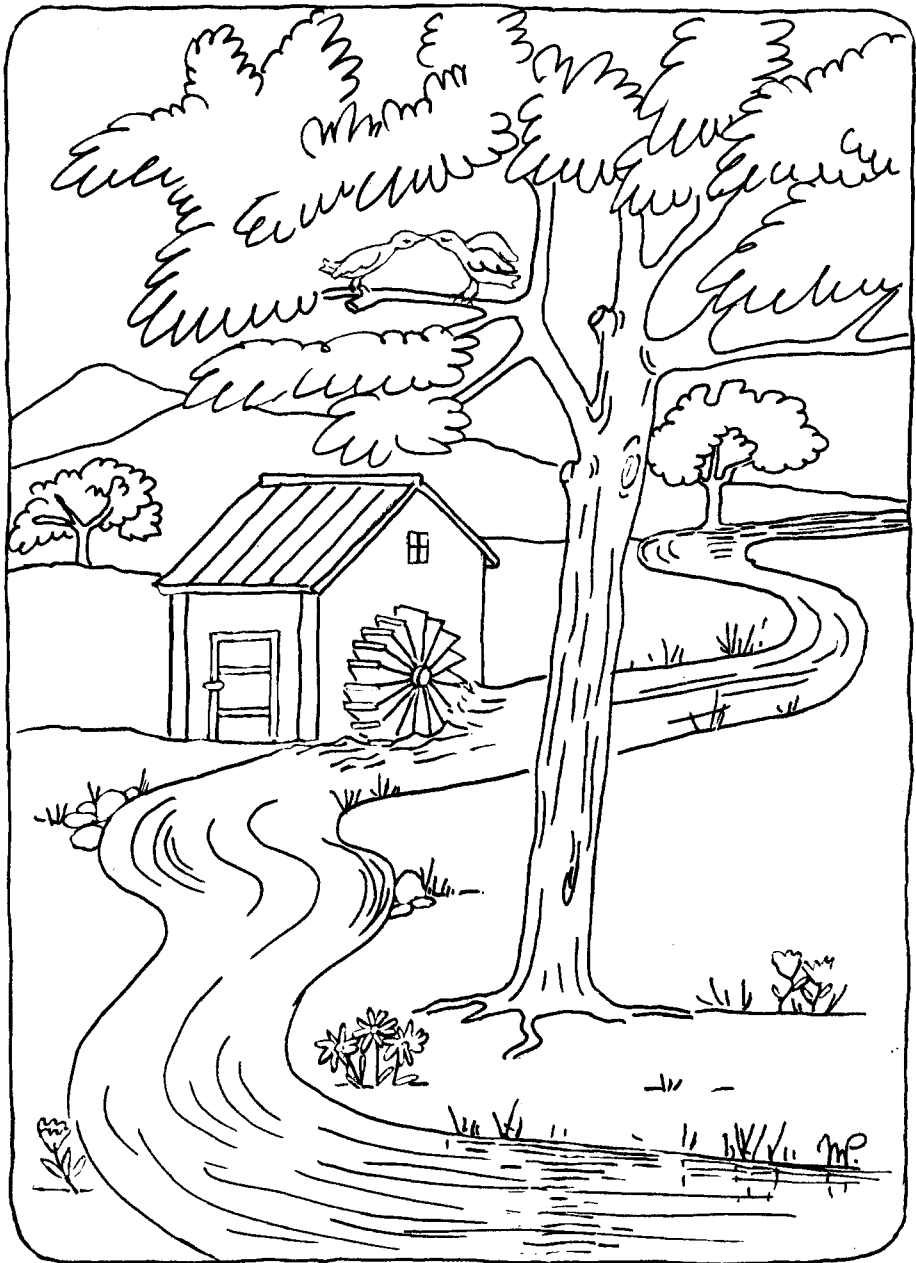
obcych krajów, zapomnieć i rozpocząć nowe życie.

W tym czasie zaczęło się jej już przykrzyć życie na wolności, kryjące tyle niebezpieczeństw dla ptaka z klatki.

Pragnęła odnaleźć swego dawnego przyjaciela, czyściciela szyb. To niemożliwe, aby nie żył, a jeśli żyje, może jej potrzebuje. Zbudziły się w niej macierzyńskie uczucia. Postanowiła porzucić niewiernego narzeczonego. Może gdy będzie przelatywała przez obce kraje, ponad morzami, odnajdzie swego starego przyjaciela. Przy nim wróci chętnie do klatki, w której się urodziła, i będzie znowu wiodła życie szczęśliwe i pożyteczne.

Od tej chwili począwszy historia życia Pipinelli staje się jednym pasmem przygód. Rozumie się, że był to bardzo naiwny pomysł — chcieć przelecieć ocean nie mając tych wiadomości z dziedziny geografii i żeglarstwa, które posiada ptak, żyjący na wolności, tym bardziej że była tak mało wytrzymała w dalekich lotach. Zaledwie straciła ląd z oczu, a już poczuła się wyczerpana i zgubiona. Uratowała się na żdźble przepływającej trawy morskiej, a potem przelatująca czajka pokazała jej drogę do najbliższego lądu.

Kierując się jej wskazówkami, doleciała w końcu do Wyspy Hebanowej, górzystego, zadrzewionego lądu, liczącego zaledwie kilka mil kwadratowych. Ochłonawszy ze zmęczenia, obleciała wyspę i doszła do przekonania, że jest to bardzo przyjemne miejsce pobytu. Miejscowe ptaki powitały ją niezwykle życzliwie. Wiele zięb współzawodniczyło o jej względy, ale ona pamiętała jeszcze zbyt dobrze niewierność swego narzeczonego i nie zwracała na nie uwagi. Nie



opowiedziała też nikomu, kim jest, i pozostała tajemniczą istotą wśród ptaków tej wyspy.

Czas spędzała na komponowaniu nowych, pięknych pieśni. Po pewnym czasie zauważyła jednak, że wszystkie jej pieśni są smutne, ani jedna nie była tak wesoła, jak: „Wyjdź, dziewczę” albo tak dziarska, jak: „Jestem dzieckiem pułku”. Zastanawiając się nad tym, dlaczego tak się dzieje, zdała sobie sprawę, że tęskni za przyjacielem, czyścicielem okien. Przez cały czas swego pobytu na wyspie miała niejasne, niewytłumaczalne przeczucie, że on znajduje się w pobliżu albo że był tu niedawno.

W końcu, gdy już zamierzała odlecieć, znalazła na wzgórzu słup, do którego przywiązana była chustka czyściciela okien. Wiedziała na pewno, że to ta sama chustka, którą wycierał okna, pamiętała ją doskonale. Istotnie w chustce była tak dobrze znana jej, zacerowana dziura.

Rozpoczęła więc poszukiwania, albowiem zrozumiała, że chustka jest sygnałem i że została tu przywiązana jako chorągiew, która miała przyciągnąć uwagę przejeżdżających statków. Znalazła sztaś, który zamieszkiwał jej przyjaciel, oraz inne ślady jego obecności w pobliżu.

„Widocznie jako rozbitek schronił się na tę wyspę — rozważała Pipinella. — Ale co teraz robić?”

Zobaczyła statek, przepływający o kilka mil na wschód od wyspy. Nie była pewna, ale zdawało jej się, że jeśli będzie leciała za tym statkiem, doleci do lądu, może z powrotem do Anglii, gdzie ostatnio widziała swego przyjaciela.

Udała się w drogę. Ale zaledwie oddaliła się od

brzegów, zerwała się gwałtowna burza z deszczem i miotała nią jak liściem, odrzucając daleko od statku. Jedyne jej życzeniem było dostać się na ten statek, dopóki jest jeszcze czas. Udało się jej to, ale została natychmiast schwytana przez załogę. Wsadzono ją do klatki i zawieszono w kajucie fryzjera, gdzie mieszkał już jeden kanarek, który opowiadał jej wszystkie plotki ze statku.

To nowe życie nie było złe. Obchodzono się z nią troskliwie, a ruch u fryzjera, do którego pasażerowie często wchodziłi, aby się ogolić albo ostrzyć, dostarczał jej ciągłej rozrywki. W ciągu kilku dni nauczyła śpiewu drugiego kanarka i skomponowała wesołą pieśń, którą nazwała „Duetem rzemienia i brzytwy”. Naśladowała ona dźwięk ostrzonej brzytwy i chlapanie pędzla w miseczce z rozrobionym mydłem. Pipinella w tym duecie śpiewała mezzosopranem, a jej towarzysz podróży — sopranem.

Wciąż jednak marzyła o tym, żeby uciec i odnaleźć swego przyjaciela.

Pewnego dnia całą załogę statku postawił na nogi widok przepływającej tratwy. Zmieniono kierunek, by do niej dotrzeć, uratowano i sprowadzono na pokład wynędzniałą istotę o długiej brodzie. Człowiek ten był tak słaby i wyczerpany, że lekarz okrętowy położył go natychmiast do łóżka. Przez kilka dni pozostał więc nie znany Pipinelli i załodze.

Po tygodniu zjawił się jednak u fryzjera, aby sobie zgolić brodę, i wtedy Pipinella poznała w nim swego przyjaciela, czyszciciela okien. Zaśpiewała mu dawne piosenki, po których musiał ją poznać, toteż gdy opuszczał kabinę, był pewny, że to ona, Pipinella.

Musiał jednak użyć wielu argumentów, żeby dowieść swego prawa do Pipinelli i żeby pozwolono mu zabrać ją do kajuty. Pisał w niej historię swego życia i to naprowadziło Pipinellę po raz pierwszy na myśl skomponowania historii własnego życia. Właśnie tę muzyczną biografię wyśpiewała doktorowi Dolittle, gdy zabrał ją do swego wozu.

Kiedy statek przybył do pierwszego portu, przyjaciel Pipinelli wyszedł na ląd, aby poszukać innego statku, który zawiózłby ich oboje do Anglii.

Tak dotarli wreszcie z powrotem do ojczyzny i czyściciel okien udał się do swego wiatraka. Pozostawił klatkę z ptakiem na zewnątrz, a sam zaszedł od tyłu, aby znaleźć wejście do środka. Podczas jego nieobecności zjawił się jakiś włóczęga, który chwycił klatkę z Pipinellą, ukrył ją pod podartą kurtką i uciekł, zanim czyściciel okien zdążył powrócić.

I oto po cudownym odnalezieniu się w tak niezwykłych i dramatycznych okolicznościach, w chwili powrotu do starego domu, gdzie przeżyli razem tyle szczęśliwych chwil, tych dwoje znowu rozłączono.

Pipinellą zmieniała jeszcze potem wielokrotnie właścicieli, aż dostała się do sklepu ze zwierzętami, gdzie Mateusz Mugg nabył ją dla doktora Dolittle.

Rozdział VIII

## Sława Jana Dolittle

Geb-Geb, która przez cały czas skręcała się, aby wtrącić słowo, chciała koniecznie wiedzieć, co stało się z czyścicielem szyb, gdy po raz pierwszy opuścił

wiatrak, i dlaczego pływał po morzu na tratwie. Ale Jip i Dab-Dab kazały jej milczeć i nie przerywać Pipinelli.

— Moja historia jest skończona — rzekła kanarzyca — pozostałe dni spędziłam w sklepie ze zwierzętami.

— No, to starczy na jedno życie — powiedział doktor i wyciągnął rękę, zdrętwiałą od szybkiego pisania przez dwie godziny. — Chciałbym jeszcze zapisać dokładniej kilka szczegółów, Pipinello. Proszę cię, zaśpiewaj jeszcze raz twoją pieśń. Chcę zapisać słowa. Melodię już zanotowałem. Chodzi mi o miłosną pieśń wiosenną zięby.

— Chętnie — rzekła Pipinella — ale nie mam już takiego głosu jak dawniej.

Gdy kanarek odrzucił głowę w tył, aby rozpocząć śpiew, wszedł do wozu Mateusz Mugg, jednak na znak doktora zachował milczenie, usiadł przy stole i słuchał.

Mała primadonna trylowała drżąca, szepczącą melodię wstępną tej krótkiej, ale wymownej pieśni i oczarowała nią całe towarzystwo. Nie podnosiła głosu do najwyższego tonu. Zawsze brzmiał on przytłumiony, pieśczośliwy jak dalekie, ciche nucenie kołysanki. Potem miało się wrażenie, że śpiewak oddala się coraz bardziej, goni, poluje, szuka, błądzi po lasach czarodziejskich, raz pełen nadziei, raz znowu smutny, raz daleki, raz bliski. Cała tajemnica i całe piękno świata zamykało się w tej prostej, kołyszącej melodii. Stawała się ona coraz spokojniejsza, łagodniejsza i zanim zupełnie zacichła, wzniosła się jeszcze raz, a potem zamarła w stłumionym, ale czystym jak dzwon trylu na najwyższej nucie.

Przez kilka minut panowało w wozie milczenie.

— Ach, mój Boże, ach, mój Boże! — załkała wreszcie Geb-Geb. — Jakież to było cudowne! Musiałam myśleć przez cały czas o kalafiorach, zroszonych rosą i bielejących w blasku księżyca.

Mateusz Mugg, który mówił zawsze, że muzyka go nie obchodzi, zwrócił się do doktora:

— Panie doktorze, czegoś podobnego nigdy nie słyszałem. Ten ptak to prawdziwy cud. Do pioruna, to byłby numer na Londyn!

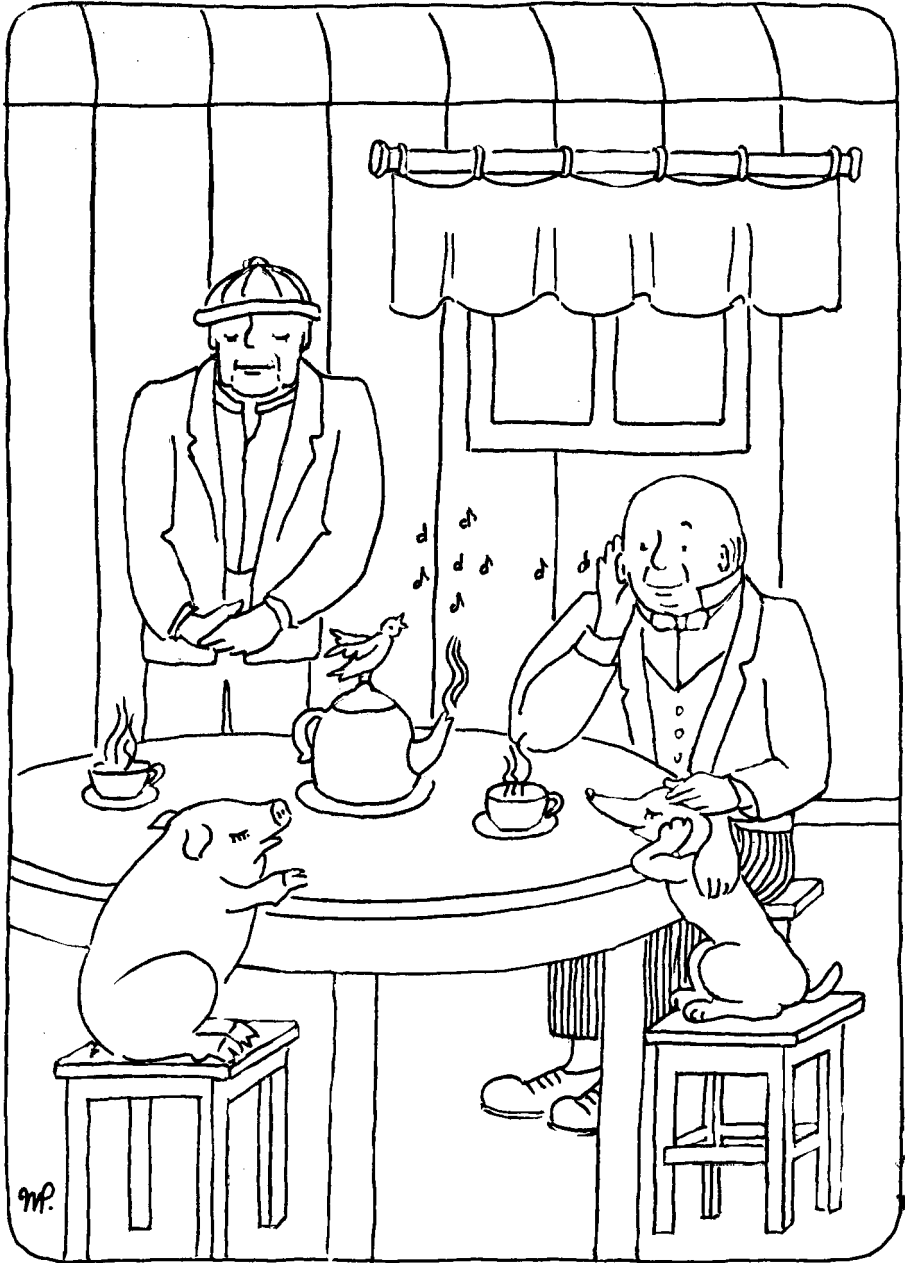
— I ja już o tym myślałem, Mateuszu — rzekł doktor. — „Ptasia opera”, „Opera kanarków”. Zdaje mi się, że to będzie najlepszy numer ze wszystkich. Najbardziej artystyczne przedstawienie ze zwierzętami, jakie kiedykolwiek istniało. Wszystko gotowe. Libretto — to historia życia Pipinelli. Nie można wymyślić nic lepszego. Primadonna sama będzie grała rolę bohaterki. Zdobędziemy Londyn przebojem!

— Ma się rozumieć! — zawołał Mateusz bijąc się w piersi. — Zawojujemy go całkowicie, a wszystkich innych przedsiębiorców operowych pobijemy na łeb.

— Szczegóły — mówił Jan Dolittle dalej — jak: chóry, orkiestra, inscenizacja, kostiumy, opracujemy później. Najważniejsze rzeczy są gotowe: głos Pipinelli i jej życiorys. One tworzyć będą fundament całego przedstawienia.

— Zawsze się na mnie gniewacie, że przerywam — zakwiczała świnka Geb-Geb — ale teraz muszę to zrobić. Pipinella jeszcze nie skończyła. Chciałabym wiedzieć, w jaki sposób dostała się do sklepu, w którym doktor ją kupił.

— Masz słuszność, Geb-Geb — rzekł doktor.





— Wybacz, Pipinello. Dałem się porwać memu pomysłowi. Uwaga Mateusza o przedstawieniu londyńskim pobudziła moje myśli. Proszę cię, kończ swoją historię.

Podczas gdy temperował ołówek i otwierał swój notes na czystej stronicy, Pipinella sfrunęła znów na tabakierkę i zaczęła opowiadać:

— Teraz, gdy spoglądam z oddalenia na moje przeżycia, wydaje mi się dziwne, że o panu przedtem nie słyszałam, panie doktorze. Gdybym była prawdziwym dzikim ptakiem, musiałabym naturalnie słyszeć o panu. Ale nie wolno zapominać, że chociaż życie miałam pełne wrażeń, spędziłam je jednak raczej między ludźmi niż między zwierzętami. Nawet gdy już byłam wolna, nie przebywałam dużo, jak już opowiadałam, z innymi ptakami. A jednak to dziwne, że nigdy nie słyszałam pańskiego imienia.

Ale pewnego dnia, gdy siedziałam zrozpaczona w brudnym sklepie na huśtawce, którą się nasza klatka chlubiła, i myślałam o moim czyścicielu szyb i o tym, co się z nim dzieje, usłyszałam rozmowę kilku ptaków.

— Patrzcie — mówiła jedna zabiedzona samiczka do drugiej — patrzcie na tego małego, biednego drozda. Klatka, do której go wsadzono, jest taka mała i ciasna, że trudno się w niej obrócić, żeby nie zawadzić ogonem o ścianę.

— Tak — powiedziała druga — a biednemu koso-  
wi obok wiedzie się jeszcze gorzej. Jego klatki, odkąd tu przybył, ani razu nie sprzątnięto, a przy tym jest chory.

— Ach, gdyby tu przyszedł Doktor — rzekła znów

pierwsza. — Mam już dość tego nędznego życia!

— Chociażby nawet przyszedł — odezwała się druga — dlaczegoż by miał właśnie ciebie wybrać ze wszystkich tych zwierząt, ptaków i ryb. Nie może przecież kupić całego sklepu.

Do rozmowy przyłączył się nastroszony ptak, który siedział nad miseczką z pokarmem.

— Ja wam powiem, co robić — pisnął. — Kiedy Doktor tu przyjdzie, powinniśmy go prosić, aby — ponieważ nie może nas wszystkich kupić — założył porządnie prowadzony sklep z ptakami.

— Cóż to będzie za sklep? — zapytały wszystkie ptaki naraz.

— Najważniejsze — rzekła mała samiczka — aby znajdowały się w nim tylko takie klatki, które się nam podobają, i aby każdy ptak był czysto i przyzwoicie utrzymany. Ale jeszcze ważniejsze byłoby to, że ptaki mogłyby same wybierać swoich nabywców. Jeśli się nam jakiś klient nie spodoba z twarzy, powinniśmy mieć prawo pozostania w sklepie.

— Po co o tym mówić — powiedziała pierwsza — Doktor i tak nie przyjdzie. Jestem tu już od roku, a nie pokazał się ani razu. Mówią, że on się boi wchodzić do sklepów ze zwierzętami i omija je z daleka.

— Dlaczego? — zapytała druga samiczka.

— Nie znosi widoku źle utrzymywanych i źle traktowanych zwierząt i ptaków. Gdy się tylko zjawi, wykrzykują natychmiast swoje skargi i błagają go, aby je kupił. Rozumie się, że tego nie może zrobić. Nie ma dość pieniędzy, zdaje się, że nigdy nie ma dość pieniędzy. A ponieważ rozumie mowę zwierząt, te daremne odwiedziny smucą go bardzo.

— No — rzekła mała samiczka — kto wie, może jednak pewnego dnia zjawi się, a wtenczas poproszę go, aby mnie kupił.

Nie brałam dotychczas udziału w rozmowie. Prawdę powiedziawszy byłam zbyt nieszczęśliwa, aby wdawać się w pogawędki. Od chwili gdy tu przybyłam, nie otworzyłam dzióbka. Ale ta rozmowa zainteresowała mnie.

— Któż to jest ten Doktor? — zapytałam. Wszystkie ptaki spojrzały na mnie ze zdumieniem.

— D o k t o r — powiedział jeden z ptaków — to oczywiście — d o k t o r D o l i t t l e .

— Ale kto to jest? — zapytałam.

— Wielki Boże! — wykrzyknęła inna samiczka. — Czyś ty nigdy o nim nie słyszała? On jest jedynym, prawdziwym, żyjącym lekarzem zwierząt. Mówi językiem wszystkich zwierząt, od języka kanarków do języka słoni. Nie wyobrażałam sobie, że może istnieć na świecie istota, która by nie słyszała o doktorze Dolittle.

Rozdział IX

## Przygotowania do występów w Londynie

Wnioskowałam z tych przypadkowych rozmów, które ze wszystkich stron dochodziły do moich uszu, że te stworzenia żyły jedną jedyną nadzieją: oto Jan Dolittle wejdzie pewnego dnia do sklepu i je kupi.

— Ach — westchnął doktor — pragnąłbym tego. Ale to, co ci twoja sąsiadka powiedziała, jest prawdą!

Boję się po prostu przechodzić obok sklepu ze zwierzętami.

— Moja długa historia jest teraz prawie skończona — ciągnęła dalej Pipinella. — W końcu i ja zaczęłam karmić się tą samą nadzieją. Dzień za dniem, tydzień za tygodniem miałam oczy wlepione w drzwi, aby ujrzeć pana, wchodzącego do sklepu. Zadawałam innym ptakom pytania, dotyczące pana wyglądu, abym mogła go natychmiast poznać, gdyby pan przypadkiem któregoś dnia miał wejść.

Potem wsadzono mnie do oddzielnej klatki i powieszono w oknie. I pewnego dnia — nie zapomnę tego dnia nigdy — zobaczyłam pana w cylindrze na głowie. Dawałam różne znaki, ale pan ich nie spostrzegł i poszedł dalej, obawiając się, aby go nie zauważono. Ale połowa zwierząt poznała pana. Byłam jak one wszystkie rozczarowana, gdy przeszedł pan nie wstąpiwszy do sklepu. Potem ów człowiek, który z panem szedł, wrócił. I natychmiast rozeszła się wiadomość z klatki do klatki, z zagrody do zagrody, że to jest pomocnik doktora i że wrócił, aby uczynić dla niego zakup. Nie rozumiał jednak mowy ptaków, nie mogłam więc dać mu żadnego polecenia dla pana. W końcu ukazał się pan znowu i spojrzął przez okno. Wołałam najgłośniej, jak mogłam. Ale nie byłam w stanie poprzez szybę przekazać treści moich słów. Chciał pan znowu odejść! Podskakiwałam i dawałam znaki; zauważył mnie pan, a jednak poszedł dalej. Wtedy ogarnęła mnie straszna rozpacz. A potem pański towarzysz wszedł jeszcze raz do sklepu. Nie może pan sobie wyobrazić mojej radości, gdy wskazał na moją klatkę i powiedział właścicielowi, że chce mnie

kupić. Dalszy ciąg tej historii jest panu znany. Żał mi było tych wszystkich stworzeń, które tam zostawiłam, a których pan nie mógł kupić! Ale, o Boże, byłam taka szczęśliwa, że zostawiam to cuchnące miejsce i że wracam znów do ludzi, którzy będą widzieli we mnie przyjaciela, a nie przedmiot kupna.

Gdy Pipinella skończyła mówić, zapanowało krótkie milczenie. Słysząc było tylko skrobanie ołówka doktora, którym notował ostatnie słowa życiorysu Pipinelli.

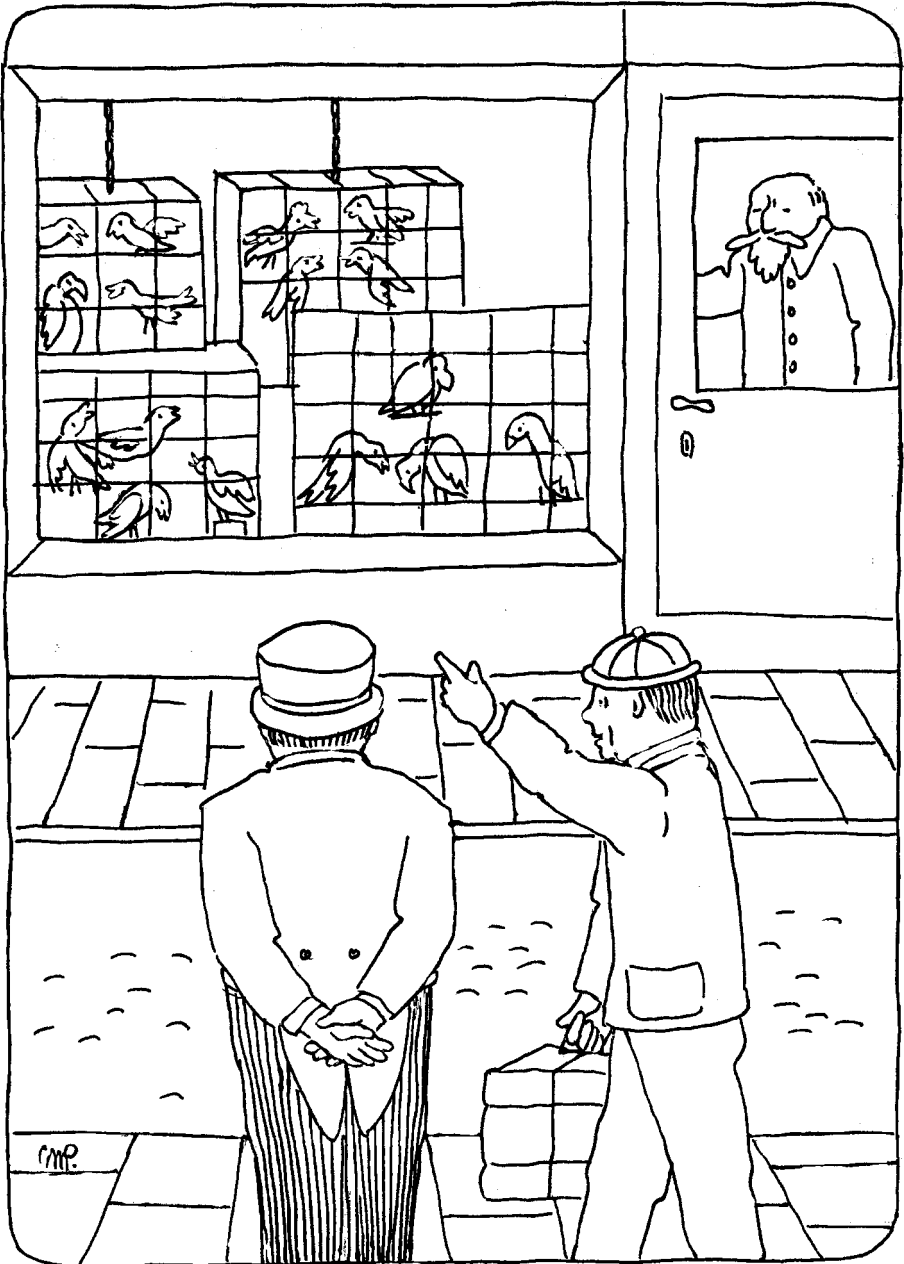
— To była nadzwyczajna historia — rzekł Jan Doolittle. — Pipinello, wiele przeżyłaś. Pewnego dnia, kto wie, gdy zarobię na naszym cyrku dużo pieniędzy, otworzę może sklep z ptakami, mniej więcej taki, jaki sobie wymarzyły tamte kanarki. Nic nie stoi na przeszkodzie temu, aby ptaki w klatkach mogły wybierać swoich nabywców. Uważam, że jest to bardzo dobry pomysł. Trzeba rozważyć, jak to przeprowadzić. Teraz chciałbym cię poprosić jeszcze o pewną przysługę... Jip, dokąd poszedł Mateusz? Nie widziałem go wychodzącego z wozu!

— Zdaje się, że poszedł do menażerii — odrzekł Jip.

— Gdybyś chciała tu chwileczkę poczekać — powiedział doktor zwracając się do Pipinelli — sprowadzę mego pomocnika, pana Mugga. Chciałbym zwrócić się do ciebie z pewną prośbą.

— Ach, Boże, Boże — westchnęła Geb-Geb, gdy doktor opuścił wóz — jaka szkoda, że ta historia już się skończyła!

— Ależ ona wcale nie jest skończona — odezwała się biała mysz. — Historia Pipinelli nie skończy się,



dopóki Pipinella żyje. Poznaliśmy tylko część, która należy do przeszłości. Przyszłość leży jeszcze przed nami i przed nią. Zresztą łatwiej jest przeżyć swe życie, niż je opowiedzieć.

— Tak — przyznała Geb-Geb. — To prawda, ale można to, co się opowiada, uczynić dużo bardziej wzruszającym. Gdy na przykład któregoś dnia marzę o jedzeniu — o obiadkach z dwudziestu dań — smakują mi one zawsze dużo lepiej niż obiady i kolacje, które dostaję. Prawdziwe życie nigdy nie jest takie zajmujące. Nie wynika z niego przeważnie nic więcej prócz mięsa rosołowego z kapustą i pudingu z ryżu.

— Masz prawdziwie marzycielską duszę — warknął Jip — nic poza jedzeniem i jedzeniem.

— Tak — przyznała Geb-Geb — gdybyście wiedzieli, ile romantyzmu kryje się w jedzeniu. Czy słyszeliście kiedy o zupie „minestrone”?

— Co to jest? — zapytała biała mysz. — Może mydło?

— Gdzież tam! — odpowiedziała Geb-Geb. — Minestrone był słynnym poetą, opiewał rozkosze dobrej kuchni. Miał wielki księgozbiór, złożony z samych książek kucharskich wszystkich epok, we wszystkich językach. Powinniście przeczytać jego sonety o makaronie, jego fantazje na temat potraw mięsnych. Potem nigdy już nie wątpilibyście, że w jedzeniu kryje się romantyzm.

W chwilę później doktor Dolittle wrócił do wozu w towarzystwie swego pomocnika, pana Mugga. Z uroczystą miną zamknął drzwi i usiadł przy stole.

— Chciałbym teraz — rzekł doktor — omówić

z tobą, Pipinello, to, o czym Mateusz już wspomniał. Idzie o operę kanarków. Historia twego życia, jedno z najciekawszych sprawozdań, jakie słyszałem, nada się znakomicie jako tekst do muzycznego przedstawienia w zupełnie nowym stylu. Jesteśmy, jak wiesz, zaproszeni do Londynu na występy. Chciałbym londyńczykom pokazać coś nowego i wartościowego. Opera kanarków wydaje mi się do tego celu najodpowiedniejsza. Rozumie się, że ty obejmiesz główną rolę, bohaterki, primadonny. Potrzebny nam będzie jeszcze zespół ptaków śpiewających, które by ci towarzyszyły, szczególnie dobre głosy do głównych ról i dużo innych do chórów. Czy chcesz nam w tym dopomóc? Chcesz wziąć w tym udział?

Pipinella przekrzywiła główkę i zastanowiła się przez chwilę.

— Ależ naturalnie — rzekła w końcu — z całego serca.

— Wspaniale! — zawołał doktor. — Wspaniale! Myślę, że w takim razie uwolnimy się od naszych zobowiązań w prowincjonalnych miastach i wybierzemy jak najprędzej w drogę do Londynu.

Rozdział X

## W drodze

Wśród zwierząt otaczających doktora zapanowało wielkie podniecenie, gdy dowiedziały się, że cyrk wyjedzie do Londynu wcześniej, niż zamierzał. Nawet pełne wzruszeń tygodnie w Manchesterze, które Geb-Geb wciął ze wszystkimi szczegółami przywo-



ływała na pamięć, zajęły teraz drugie miejsce wobec zaproszenia do stolicy.

— To największe miasto na świecie — powtarzała biała mysz bezustannie. — Cyrk Dolittle musi być bardzo ważny i sławny, nie ma co, kiedy go zaproszono do stolicy. Kto wie, może nawet królowa i cały dwór przyjdą na nasze przedstawienie.

Jip, który był już raz w Londynie, nie mógł sobie odmówić przyjemności pochełpienia się swymi wiadomościami, a inne zwierzęta siedziały godzinami wokoło niego, zadając mu setki pytań i słuchając jego opowiadań o cudach wielkiego miasta.

Mateusz Mugg pojechał jeszcze tego samego wieczoru do londyńskiego dyrektora z listem w kieszeni, obiecując przygotować wszystko na przybycie cyrku.

Doktor sądził, że byłoby dobrze odbyć próbę pantomimy z Puddleby i wystawić ją w Londynie oprócz opery kanarków. Gdyby w ostatniej chwili okazało się niemożliwe wystawienie opery, można będzie z pantomimy uczynić numer popisowy.

Wskutek tego Geb-Geb, Dab-Dab, Tu-Tu i trzy psy: Jip, Sus i Toby spędzali ostatnie dni oczekiwania na próbach ról i tańców, aby pantomima mogła być odegrana od początku do końca bez potknięcia.

Geb-Geb zauważyła ku swojej wielkiej rozpaczce, że jej sylwetka zmieniła się od ostatniego występu. Świnka utyła bardzo i ledwo mogła wcisnąć się w swoje ubranie; już na pierwszej próbie guziki odpadły na wszystkie strony, a sznury popękały z trzaskiem. Ale co gorsza: nie była w stanie chodzić na tylnych nogach i padała wciąż głową naprzód.

— Co tu robić, panie doktorze? — pytała tonąc niemal we łzach.

— Jeśli chcesz grać w pantomimie, jest na to tylko jeden środek: musisz stracić na wadze.

— Jak to stracić, co stracić? — pytała.

— Słyszysz przecież: na wadze. Musisz schudnąć — powiedział doktor. — Będziesz musiała jeść tylko takie rzeczy, od których się nie tyje.

Geb-Geb zasępiła się.

— Jakie rzeczy? — zapytała.

— Nie wolno ci będzie jeść tylu jarzyn. Tylko sucharki, suchy ryż i tym podobne potrawy.

— Wyrzec się jarzyn? — zapytała Geb-Geb.

— Brukwi? Kartofli? Buraków? Kapusty?

Doktor potrząsał przecząco głową przy tym wyliczaniu.

— Co to będzie za życie bez jarzyn? — lamentowała Geb-Geb. — Chyba jednak będę musiała to zrobić. Z jakich to rzeczy, my, artyści, musimy rezygnować dla sztuki. Może będę to sobie mogła powetować po skończeniu przedstawień.

W trzy dni później Mateusz Mugg powrócił i oznajmił doktorowi, że w Londynie wszystko ułożyło się pomyślnie. Wynajął łąkę i chociaż przedsiębiorcy niecierpliwą się już, bo chcieliby jak najprędzej mieć u siebie cyrk, oświadczyli, że gotowi są pocze-kać, dopóki Jan Dolittle nie opracuje każdego szczegó-łu tak, jak będzie chciał.

Potem zaczęło się pakowanie cyrku. Naturalnie nie było to nic nadzwyczajnego dla tych, których życie od dłuższego czasu było ciągłą wędrówką z miasta do miasta. Ta podróż była jednak wyjątkowa, gdyż po-

stanowiono pokonywać dziennie o wiele więcej mil niż zazwyczaj, aby jak najprędzej przybyć do Londynu.

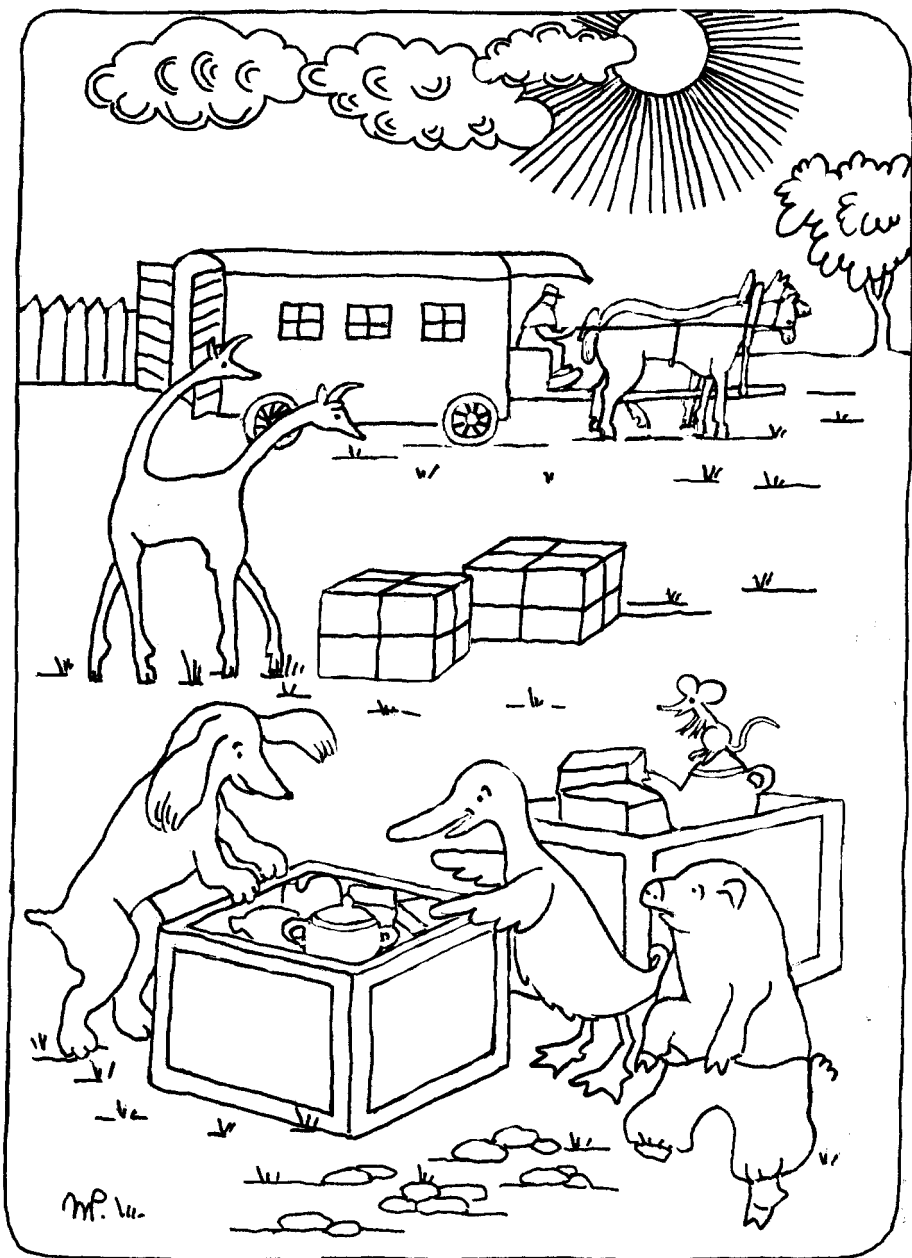
Pierwszy postój miał nastąpić w Wendlemere i doktor zamierzał, jeśli zmiana koni dopisze, odbyć tę drogę we własnym wozie w ciągu jednego dnia. Jechał z nim Mateusz. Dla reszty cyrkowców przebycie sześćdziesięciu mil bez odpoczynku było naturalnie zbyt uciążliwe. Herkules-siłacz miał ich sprowadzić dopiero następnego dnia.

Tak więc nazajutrz, gdy cyrk zaledwie się obudził, wóz doktora Dolittle, powożony najlepszymi końmi, wyruszył w drogę do Wendlemere. Mniej więcej w połowie drogi zmieniono je w oberży wiejskiej na nowe, wypoczęte, które posłano tam poprzedniego dnia. Natomiast utrudzone drogą konie pozostały, aby wypocząć: następnego dnia miał je zabrać Herkules. Wszystkie te szczegóły zostały obmyślane przez Mateusza, który na podobnych sprawach cyrku znał się lepiej niż kilku ludzi razem wziętych.

Wypoczęte konie zawiozły ich jeszcze przed nadejściem ciemności do Wendlemere, gdzie przed miastem na murawie obok szosy rozłożyli swój obóz.

— To miasto — powiedział doktor, gdy Dab-Dab nakrywała stół do kolacji, a Jip przeszukiwał zarośla, aby przynieść drzewo na podpałkę — to miasto słynie z bułeczek. Bułeczki z Wendlemere są prawie tak sławne jak angielski plumpudding.

— Co pan mówi? — zawołała Geb-Geb. — Bułeczki? Czy nie mógłby pan posłać Mateusza do miasta, aby nam kilka przyniósł, panie doktorze? Dopiero co się ściemniło i sklepy są na pewno jeszcze otwarte.



— Bułeczki — powiedział Jan Dolittle — bardzo źle wpływają na linię. Jeśli chcesz grać rolę Pantalona, Geb-Geb, nie wolno ci jeść pieczywa, od tego się strasznie tyje.

— Ojej! — westchnęła Geb-Geb. — Jarzyny i pieczywo, wszystko wykreślono mi z jadłospisu. Tylko gotowany ryż i postna zupka. Ojej, ojej, ale za to jak ja będę jadła, kiedy przedstawienia się skończą!

Rozdział Xi

## Przybycie do Londynu

Doktor omówił z Pipinellą, skąd zdobyć dobre głosy ptasie do głównych ról w operze, i doszedł do przekonania, że gdyby się udało odnaleźć małżonka Pipinelli, Fifi, rola głównego tenora byłaby doskonale obsadzona. Było wprawdzie niewiele nadziei na to, że zamiar się powiedzie, ale doktor przed wyjazdem odwiedził ciotkę Różę, aby zapytać, czy nie zechciałaby wypożyczyć Fifi do opery. Dowiedział się jednak, że oddała ona wielkiego tenora komu innemu. Idąc tym śladem Dolittle ustalił, że ptak został sprzedany do sklepu ze zwierzętami w Wendlemere. Doktor obrał więc drogę przez Wendlemere, dłuższą od tej, którą jeździły zwykle dyliżansy.

Następnego ranka doktor poszedł z Mateuszem i Pipinellą do sklepu ze zwierzętami. Właściciel był bardzo przyzwoicie wyglądającym, niewysokim mężczyzną. Udzielił im niewielu informacji — ptaka sprzedał, nie może sobie jednak przypomnieć, komu. Inne ptaki opowiedziały Pipinelli i Mateuszowi

doktor nie przestąpił progu sklepu — że kupił go jakiś mężczyzna, który wyglądał na handlarza ptaków z innego miasta; kupił on jednocześnie dużą liczbę innych dobrze śpiewających ptaków. Ale skąd przybył, nikt nie wiedział dokładnie. Nie było tu zatem nic więcej do roboty i Mateusz z Pipinellą wrócili do doktora.

— To przykre — rzekł Jan Dolittle — że go nie ma, ale nie tracę nadziei. Mateusz musi jeszcze w innych sklepach kupić ptaki potrzebne nam do opery, może więc podczas tych zakupów natrafi przypadkowo na twego małżonka. Musisz mu wszędzie towarzyszyć i być mu pomocną.

Potem wrócili do wozu na śniadanie. Po śniadaniu czekali na nadejście innych wozów cyrkowych i około południa istotnie nadjechał pierwszy transport pod opieką Herkulesa-siłacza. Resztę dnia poświęcono na wypoczynek tak potrzebny koniom i na próby pantomimy. Przed wieczorem Geb-Geb zaproponowała, aby doktor z nią i z psami odbył przechadzkę. Chciała jak najprędzej schudnąć, i to raczej zażywając ruchu, niż głodząc się, czego nie lubiła.

Jan Dolittle zabrał ich wszystkich na przechadzkę po szosie. Jip, Sus i Toby wywęszyli zająca i gonili go po polu, puszczając mimo uszu nawoływanie doktora, aby zostawili biedaka w spokoju. Geb-Geb w celu schudnięcia wzięła również udział w tym polowaniu. Było jej jednak zbyt trudno dotrzymać kroku psom i przeciskać się przez małe dziury w żywopłotach. Zaledwie też przegalopowała kilka mil, gdy do polującego towarzystwa przyłączył się ogromny pies owczarek, który należał do pewnego chłopa. Za-

miast zającą wziął on za zwierzynę świnię. Biedna Geb-Geb, która sama chciała polować, musiała teraz uciekać, gnana i szczuta, a dopadłszy wozu, bez tchu z wyczerpania, powiedziała doktorowi, że ostatecznie przy kuracji odtłuszczającej woli już wstrzemięźliwość w jedzeniu niż ruch fizyczny.

Teodozja, spokojna, ale bardzo pożyteczna małżonka Mateusza Mugga, prowadziła, jak to nazywała, dziennik rodziny Dolittle. Jej zwykłe obowiązki były proste: była garderobiana, usługiwała gościom na poobiednich stałych herbatkach i pomagała tam, gdzie akurat potrzebna była pomoc. W wolnych chwilach, gdy nie przyszywała guzików do kurtki Geb-Geb albo nie pakowała paczek z miętówkami dla dzieci, sprawiało jej przyjemność zapisywanie codziennych zdarzeń w cyrku. Jej doskonałość w sztuce czytania i pisania była stale i w najwyższym stopniu podziwiana przez małżonka, który, jak wiecie, nie miał wykształcenia. Dziennik Teodozji okazał się później w wielu wypadkach bardzo pożyteczny, nawet dla doktora, gdy chciał on przypomnieć sobie dzień przybycia cyrku do jakiegoś miasteczka lub inny szczegół ze swego życia jako dyrektora cyrku.

Sznur wozów cyrku Dolittle zajeżdżał na czas do Londynu ku wielkiemu przejściu całego towarzystwa. Mateusz rozmieścił je natychmiast na łące, którą umyślnie w tym celu wynajął za miastem.

Dzień ten zaznaczyła Teodozja w swym dzienniku czerwonym ołówkiem, gdyż stanowił on początek przygotowań do „Ptasiej Opery”, dzieła, które Jan Dolittle uważał za najważniejsze w swojej karierze cyrkowej.





Nie zwlekając doktor zabrał się do wyszukania ptaków do chórów. Przede wszystkim poradził się wróbla Pyskacza. Sądził, że ten mądry ptak, znający wszystkie drogi i kryjówki swego miasta rodzinnego, poradzi mu najlepiej, gdzie można w Londynie znaleźć odpowiednie ptaki.

— Przede wszystkim, Pyskaczu — powiedziała — potrzeba mi kilku dobrych śpiewaków-kanarków do głównych ról, a poza tym dużej liczby ptaków do chórów.

— Jakich ptaków? — zapytał wróbel.

— Tak, o to właśnie chodzi — rzekł doktor. — Mamy różne chóry. Jeszcze się nie zdecydowałem, jakie ptaki będą odpowiednie do tego celu. Zdawało mi się, że dowiem się od ciebie, co tutaj w Londynie można zdobyć.

— Sądzę — rzekł wróbel z namysłem — że najlepiej będzie pójść najpierw do ogrodu zoologicznego i przyrzuć się tam różnym okazom ptaków. Naturalnie tam nie będzie pan mógł nic kupić, ale gdy pan wybierze sobie odpowiedni gatunek, zastanowię się, jak go panu dostarczyć. W poszukiwaniu dobrych śpiewaków byłoby znów najlepiej odwiedzić sklepy z ptakami.

— To będzie zadaniem Mateusza — rzekł doktor — ale to, co mówisz, ma sens. Jeśli masz czas dziś po obiedzie, przejdę się z tobą po ogrodzie zoologicznym i rozejrzemy się wśród ptaków, nadających się do chórów.

— Doskonale, doktorze — rzekł Pyskacz — nie mam dziś nic specjalnego do roboty. Moja lepsza połowa poleciała przynieść mi trochę zieleniny na kola-

cję. Ale to mogę zdobyć również w parku. Cieszę się z tego urozmaicenia. Nie byłem już od sześciu tygodni w zoo. Jak pan wie, mieszkałem tam dawniej.

— Gdzie? W zoo? — zdziwił się doktor.

— Rozumie się, nie w klatkach — powiedział Pyskacz — ale jako młodzik należałem do chmary wróbli, zamieszkujących Regent's Park. To dobre miejsce pobytu dla wróbli. Cicho i spokojnie, naturalnie prócz świąt i niedziel. Wałęsałem się wtedy ciągle po zoologicznym ogrodzie. Znam go na pamięć. Wszystkich dozorców, przyrodników, policjantów i tym podobnych. Pokażę panu wszystko bardzo chętnie.

— Dobrze — rzekł doktor — zjemy najpierw obiad, a potem pójdziemy.

Rozdział XII

## Próba głosów

Po drodze do Regent's Park do towarzystwa doktora i Pyskacza przyłączyła się jeszcze Dziubusia, żona wróbla. Gdy przybyli do zoologicznego ogrodu, napili się herbaty w jednej z małych herbaciarni, urządzonych dla zwiedzających. Oba ptaki, siedząc na stole obok filiżanki doktora, napychały się okruciami ciasta i bawiły doktora wesołymi opowiadaniem z czasów, gdy mieszkały jeszcze w zoo.

Po wypiciu herbaty udali się na przechadzkę po ogrodzie. Jakkolwiek Jan Dolittle postanowił oglądać tylko okazy ptaków, musiał jednak przechodzić obok wielu klatek i zagród. Interesowały go one tak bardzo, że Pyskaczowi z trudem udawało się go od-

ciągać, a Dziubusia powtarzała niejednokrotnie, że zrobi się ciemno, zanim doktor zdąży obejrzeć wszystkie klatki.

— Co to za małe stworzenie? — zapytał doktor, gdy jego przewodnicy usiłowali go odciągnąć od zagrody, w której siedziało zgrabne, owłosione zwierzątko.

— Ach, to puma — powiedział Pyskacz — sztywna panienczka, co? Proszę zauważyć te eleganckie prążki na futerku. Przypomina mi zawsze porządną starą pannę, dbającą o swoją fryzurę. Nie znosi nieporządku w klatce. Ma bzika na punkcie porządkowania. Strasznie dużo czasu poświęca na wyrzucanie orzechów, które dzieci wrzucają jej do klatki. Puma ich nie je, ale to nie obchodzi ludzi, którzy przychodzą do zoo. Zdaje im się, że w menażerii wszystko bez wyjątku zjada orzechy. Mądrale. Dawaliby, dajlibóg, figurze z marmuru orzechy do jedzenia. Ta puma spędza pół dnia na porządkowaniu swojej klatki, a drugą połowę na gładzeniu futerka i czyszczeniu pazurków.

— Niezbyt urozmaicone życie — rzekł doktor — ale czas mija jej jakoś. Musi się on bowiem tutaj zwierzętom bardzo dłużyć.

— Taka dama jak puma miałaby i na Saharze dość roboty — rzekł Pyskacz. — Może sprzątałaby tam piasek. Teraz idziemy do następnej klatki. To są roześmiane, wesołe ptaki, śmiejące się nawet na pogrzebie. A może one nadawałyby się do chóru? Mają silne, piękne głosy.

— Ale nie są bardzo muzykalne, prawda? — rzekł

Jan Dolittle, gdy gromada tych osobliwych ptaków nagle, dziękując za odwiedziny wielkiego człowieka, wybuchnęła serdecznym chóralnym śmiechem.

— Nadawałyby się raczej do farsy — powiedział Pyskacz. — Czy pan ma zamiar wystawić operę komiczną?

— Nie, nie — rzekł doktor — jakkolwiek przewidyję role komiczne w moim widowisku, ale śmiech powinien się rozlegać na widowni, nie ze sceny. Pójdźmy do wielkiej ptaszarni.

Ptaszarnia była to bardzo duża, piękna klatka, wysoka na trzydzieści stóp, długa na pięćdziesiąt, a szeroka na czterdzieści. Wewnątrz niej rosły wysokie drzewa, mieścił się tam staw, skały, rośliny i wiele innych rzeczy. Najrozmaitsze ptaki fruwały, brodziły po wodzie albo siedziały na gałęziach: flamingi, ptaki rajskie, mewy, kaczki, ptaki wszelkiej wielkości, kształtu i barwy. Wszystko razem przedstawiało piękny widok.

Doktor przywoływał do siebie po kolei ptaki, które uważał za odpowiednie na scenę, i porozumiewał się z nimi poprzez pręty klatki. Każdy z nich musiał zaśpiewać kilka tonów, aby doktor mógł się zorientować, jaki ma głos. Pan i pani Pyskaczowie z trudem powstrzymywali się od śmiechu, gdy olbrzymie ptaki, które w swym życiu nie zaśpiewały ani jednej nuty, otwierały teraz dzioby i wydawały głębokie gruchające albo chrząkające dźwięki.

— Na litość boską, Dziubusiu — zaświergotał Pyskacz, zasłaniając sobie dziób skrzydłem. — Myślę, że brzmiałoby ładniej, gdyby doktor kazał Geb-Geb śpiewać barytonem. Jeślibym miał tu coś do powie-

dzenia, użyłbym kilku z tych drabów jako syreny do rozpraszania mgły.

Zanim opuścili ptaszarnię i udali się z powrotem, doktor zdecydował się na wybór dwóch chórów. Jeden składać się miał z pelikanów (basów), drugi z flamingów (altów). Pyskacz powiedział, że zna pewnego bogatego człowieka, który ma pałac na drugim końcu Londynu i posiada wspaniały park ze stawem zamieszkanym wyłącznie przez ptaki i wodne stworzenia. Dodał jeszcze, że jutro rano poleci, aby zobaczyć, czy są tam również pelikany albo flamingi.

Następnego dnia przyfrunął do wozu cyrkowego z wiadomością, że w parku prywatnym bogatego człowieka, o którym opowiadał, żyje piętnaście pelikanów. Doktor skorzystał z wolnego czasu, odwiedził właściciela parku i poprosił o wypożyczenie tych ptaków. Okazało się, że człowiek ten jest również przyrodnikiem oraz miłośnikiem ptaków i storczyków. Ponieważ w Janie Dolittle spotkał uczonego o podobnych zainteresowaniach, pokazał mu całą swoją posiadłość. Doktor spędził bardzo przyjemne popołudnie na oglądaniu ciągnących się milami oranżerii z przepyszными storczykami i na zwiedzaniu ogromnego parku, gdzie wielka liczba ptaków żyła szczęśliwie w półdzikim stanie. Miał możliwość udzielenia bogatemu uczonemu wielu objaśnień i wskazówek, jak przygotować zarośla, stawy i miejsca wylęgu dla różnych rodzajów ptaków.

Przejęty tym, co widział, wrócił doktor wieczorem do swego wozu.

— Tak, tak, Dab-Dab — powiedział siadając do kolacji — oto jak wyobrażam sobie przyjemne życie:



móc zużytkować wszystkie pieniądze według upodobania. Większość bogatych ludzi marnuje pieniądze na bilety do teatru, zabawy, na korty i tym podobne głupstwa. Bogatych uczonych jest mało na świecie. Ten człowiek zasługuje na najwyższą pochwałę za to, że poświęca swój czas i swoje pieniądze na obserwacje naukowe. Nigdy nic nie robiłem sobie z pieniędzy, ale dziś, gdy oglądałem wspaniałą posiadłość tego człowieka, omal że zapragnąłem także posiadać majątek.

— Pan na jego miejscu przepuściłby taki majątek już dwadzieścia pięć lat temu — powiedziała z goryczą Dab-Dab. — Myślałam sobie już nieraz, że pan powinien się być ożenić, i to z surową, oszczędną kobietą.

— Co by to pomogło? — powiedział Jan Dolittle. — Nie mógłbym wówczas robić tego, co mi się podoba. Uspokój się, Dab-Dab, może zarobimy tyle pieniędzy na operze kanarków, że nawet ja nie będę mógł wszystkiego wydać.

— I ja miałam niegdyś taką nadzieję — rzekła Dab-Dab, patrząc ze smutkiem przez okno. — Cóż, kiedy pan już wiele razy zdobył majątek i stracił go. Puddleby i nasz miły stary dom to już tylko marzenie... Ale co nam przyjdzie z narzekań? Pozostaniemy do końca życia wędrowną trupą cyrkową.

W oczach gosposi zabłyśły szczerze łzy. Z miesiąca na miesiąc łudziła się, że doktor powróci do swego domku z dużym ogrodem, wciąż jednak zdarzało się coś nowego w tym życiu cyrkowym i zmuszało go do odkładania powrotu.

— Ależ Dab-Dab — rzekł doktor, którego ton gorz-

kiego rozczarowania w głosie starej przyjaciółki głęboko wzruszył — nigdy nie jest za późno na to, żeby coś zmienić. Ta posiadłość przypomniała mi dzisiaj mój własny ogród. Podobna jest do niego pod różnymi względami. Miejsce, gdzie ktoś stara się urzeczywistnić to, na czym mu najbardziej zależy. Zacząłem tęsknić do starego muru, drogi prowadzącej do Oxentorpe. Naprawdę, Dab-Dab, ogarnęła mnie tęsknota. Poczekaj, tym razem na serio o tym pomyślę. Zdaje mi się, że opera będzie miała olbrzymie powodzenie. Przyrodnik pożyczy mi wszystkich pelikanów i flamingów, których potrzebuję. Zrobimy majątek, a potem wrócimy do Puddleby.

Rozdział XIII

## Historia ptasiej muzyki

Wkrótce pelikany i flamingi z parku bogatego przyrodnika przybyły do cyrku. Urządzono dla nich odpowiednie pomieszczenie z sadzawką, otoczoną krzewami i zaroślami, i jakkolwiek było tu daleko ciaśniej niż w obszernym parku, który opuściły, ptaki orzekły, że jest im bardzo dobrze i że chętnie wyrzekną się niektórych wygod, jeśli mogą przysłużyć się doktorowi Dolittle.

Cyrk rozporządzał więc teraz tuzinem każdego gatunku ptaków. Publiczność, która codziennie odwiedzała teren cyrku, była pewna, że należą one do trupy. I rzeczywiście, osobliwie wyglądające pelikany oraz piękny kształt i zabarwienie flamingów, przechadzających się za ogrodzeniem, przedstawiały miły widok.



Na razie doktor starał się przyzwyczaić je do ludzkich twarzy, aby przewyciężyć ich wrodzoną nieśmiałość, a potem nauczyć tego, co mają czynić na scenie. Z próbami śpiewu należało poczekać, aż zostaną znalezione wszystkie ptaki, a głosy i role muzyczne rozpisane i opracowane w każdym szczególe przez doktora i Pipinellę.

Doktor kazał zbudować scenę pośrodku miejsca zamieszkania ptaków i ćwiczył z nimi codziennie ich chód, wskazując, jak mają się poruszać na scenie, jak kłaniać i gdzie stawać.

Wścibski Pyskacz palił się z ciekawości, wtrącając się we wszystko, co dotyczyło opery, i chodził za doktorem krok w krok. Jan Dolittle cieszył się tym bardzo, gdyż sprytny wróbelek przydawał mu się często. Pojął bardzo szybko, jak ćwiczyć chód ptaków, tak że doktor przekazał mu wkrótce obowiązki kierownika chórów. Wskutek tego cyrk Dolittle zyskał jeszcze jedną niezwykłą osobliwość.

Co dzień po obiedzie, o czwartej godzinie, gdy zaczynała się próba, ogrodzenie otaczające pomieszczenie pelikanów czerniało od tłumu ludzi, przyglądających się przez siatkę, jak mały londyński wróbelek dyryguje olbrzymimi aktorami.

— Całe szczęście — mówił doktor — że ludzie nie rozumieją ptasiego języka, gdyż inaczej okropne przekleństwa Pyskacza, którymi obsypywał ptaki z chóru za każdy niezgrabny krok albo opuszczenie miejsca w szeregu, wywoływałyby z pewnością straszne zgorzenie.

Małeńki kierownik chóru siedział z wypiętą pierśią na krzaku i miał wygląd wściekłego kapra-

la, musztrującego oddział niezgrabnych rekrutów.

— Wystąpić! — wołał. — Równaj krok, broda naprzód, uśmiech do publiczności! Nie, nie! Nie tak! Można by pomyśleć, że to komisariat w poniedziałek rano, zapełniony pijakami, którzy obudzili się po przehulanej nocy. Tu jest wielka opera, a nie galowe przedstawienie dla elity. To ma być opera, zrozumiano? Uśmiech na twarzach, nie kwaśny grymas! Odstęp, wszyscy naraz! Do stu piorunów, pani Krzywnóżka znowu myśli o swoim rachunku za gaz? Głowa do góry! Uśmiechać się, dreptać z lekkim sercem, nie tak ociężale. Jeszcze raz! Gdy muzyka zagra, macie wyjść! Więc: lala, tratata, trala, lala...

Doktor miał jeszcze jedno zadanie: dobrać ptaki do obsadzenia pozostałych ról w operze. Powierzywszy Pyskaczowi próby z pelikanami i flamingami, skorzystał z pierwszej sposobności w swoim czynnym życiu, aby spędzić dzień na wsi. Towarzyszyły mu wszystkie zwierzęta, nawet Geb-Geb, która tak często się skarżyła, że nie zabiera jej ze sobą. Całe towarzystwo szło za doktorem krok w krok. Jan Dolittle zaprowadził je na piękne łąki, na których przy doskonałym śniadanku, przygotowanym przez Dab-Dab, zgromadziły się dzikie ptaki z pól i lasów i popisywały się swoim śpiewem.

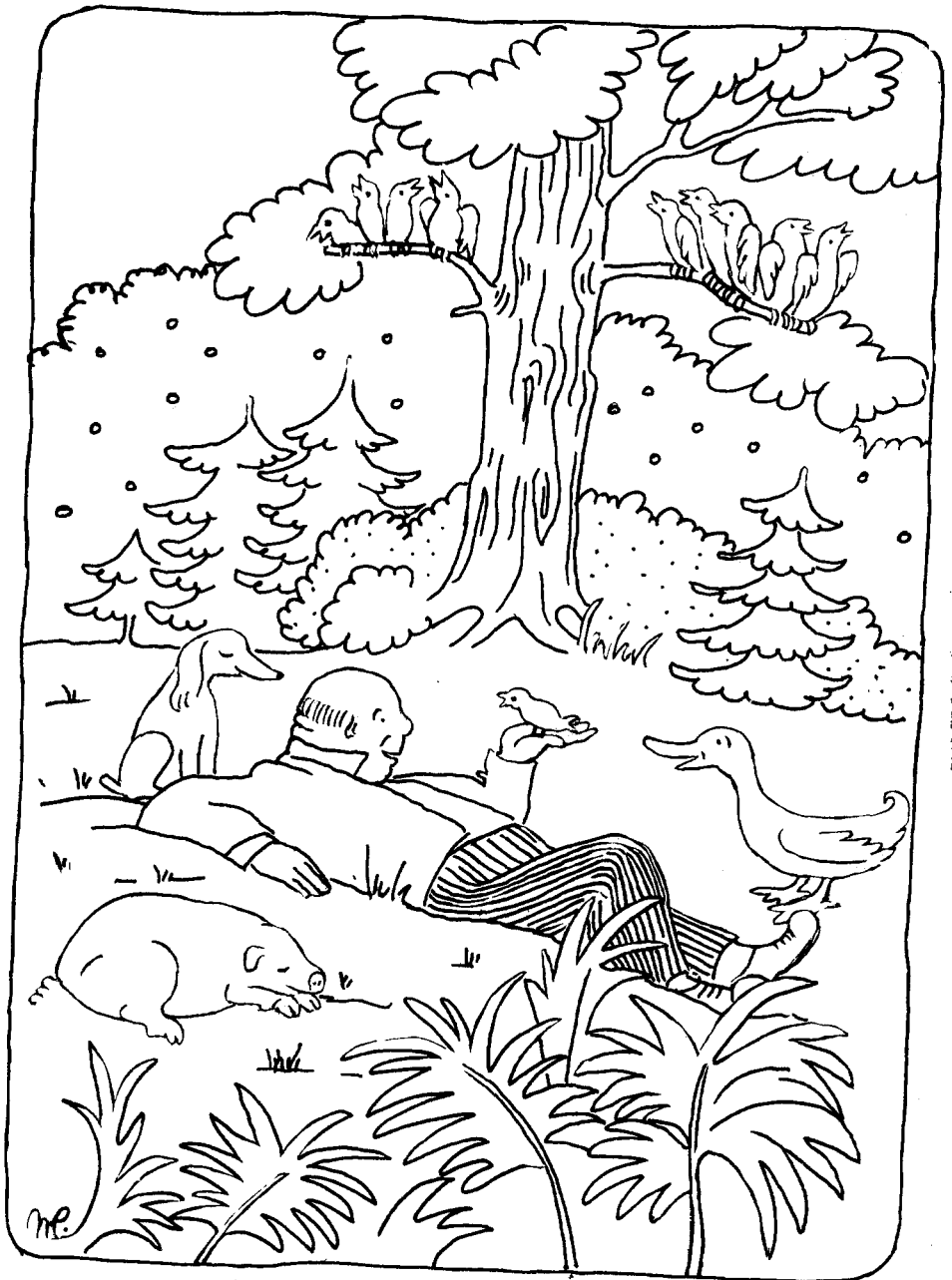
Pipinella towarzyszyła naturalnie doktorowi w tej wycieczce, aby mu pomóc przy ocenianiu głosów. Jan Dolittle wspominał potem, że była to najpiękniejsza wycieczka, na jaką się w życiu wybrał. Była już jesień, jeden z tych dni, w których zdaje się, że lato powraca. Słońce świeciło nie grzejąc zbyt i wszys-

tkie ptaki z okolicy, które nie odleciały na południe, zebrały się wokoło doktora, bardzo przejęte swoim współudziałem w wielkim muzycznym przedsięwzięciu. Jan Dolittle, choć posiadał już spore doświadczenie, dowiedział się tego dnia wielu nowych rzeczy o śpiewie ptaków i historii ich najrozmaitszych melodii.

Doktor przesłuchał już różne ptaki w poszukiwaniu głosów na partię sopranową; najlepsze wrażenie wywarł na nim i na Pipinelli zwykły drozd. Gdy miły śpiewak skończył swoją prześliczną arię, doktor zapytał go, czy jest to pieśń wieczorna i czy nie zmieniała się ona w ciągu lat.

— Ach, nie — rzekł drozd — śpiewamy tę pieśń w ten sam sposób dopiero od siedmiuset lat. W średniowieczu brzmiała ona zupełnie inaczej. Pod względem muzycznym zasady były daleko surowsze. Kończyliśmy wtedy na dur, a nie na moll, tak: tiedelum-to-tu zamiast tiedelum-tu-ti-to! Ale na ogół śpiew pozostał jednakowy: Po krótkich motywach, które są czymś pośrednim między okrzykiem a śpiewem, poznaje się najlepiej, czy ptak jest dobrym kompozytorem czy nie, gdyż są to fragmenty wstawiane przez niego zależnie od chwili, na przykład: gdy widzi piękny wschód słońca i usiłuje ująć go w kilka tonów albo gdy przypomina mu się towarzyszkę, z którą spędził ostatnią wiosnę.

— Jesteś prawdziwym muzykiem — rzekł doktor — i byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś mi wyświadczył przysługę. Myśli ludzi i ptaków o muzyce różnią się bardzo. Moim zamiarem jest za pomocą opery karnarków pokazać ludziom muzykalność ptaków. Po



to, aby ich partytura mogła stać się zrozumiała dla ludzi, potrzeba jednak wielu starań. Proszę, skomponuj dla mnie chóry drozdów i arię na sopran, która ma być włączona do drugiego aktu w chwili, gdy pada deszcz. Zauważyłem, że drozdy zawsze najładniej śpiewają wtedy, gdy deszcz przestaje padać. Słowa dla chóru podam ci później. Musicie w waszej melodii wyrazić urok ulewnego deszczu, tak jak czują to drozdy. Proszę cię, zbierz chór z dwudziestu drozdów, ćwicz go sam i zważaj na to, aby ptaki śpiewały razem, to znaczy, aby tę samą część pieśni śpiewały jednocześnie. Wiem, że u ptaków nie ma to znaczenia, ale dla ludzi jest to bardzo ważne. Przyślę ci dziś wieczorem tekst i zjawię się tu znów za tydzień, aby zobaczyć, jakie rezultaty osiągnąłeś. Czy możesz to zrobić dla mnie?

— Ależ rozumie się — odpowiedział drozd. — Zraz zabiorę się do roboty.

Rozdział XIV

## Fifi zostaje odnaleziony

W kilka dni później wybrał się doktor znowu na wieś, aby się przekonać, czy chór drozdów zrobił postępy. Wysłuchał pieśni o deszczu, odśpiewanej chóralnie przez ptaki, która spodobała mu się bardzo.

— Teraz musimy przede wszystkim — rzekł do Mateusza po powrocie do cyrku — znaleźć kilka śpiewających kanarków do głównych ról. Będzie nam trzeba około pięciu albo sześciu śpiewaków.

— Jak to? Potrzeba nam przecież tylko trzech — odrzekł Mateusz — Pipinelli, tenora i barytona.

— Zapomniałeś o ich ojcu i matce — powiedział doktor — poza tym będą nam potrzebne siły dublujące.

— Co to znaczy „dublujące”? — zapytał Mateusz.

— Dublującymi siłami nazywamy aktorów, którzy uczą się jednocześnie roli głównych aktorów, aby w razie ich choroby mogli grać w zastępstwie. Nie muszą to być same kanarki. Potrzeba nam czterech kanarków i trzech zięb. Ale wszystkie muszą doskonale śpiewać. O cenę nie idzie. Proszę cię, kup je dla mnie. Pipinella będzie ci towarzyszyła w swej podróży klatce i okaże ci pomoc przy ocenianiu i wyborze głosów ptasich. Da ci znak, gdy jej się jakiś głos szczególnie spodoba. Najlepiej będzie, jeśli wybierzesz się już jutro. Mamy mało czasu. Obiecałem właścicielom teatru, że wszystko będzie gotowe w drugim tygodniu przyszłego miesiąca.

Następnego ranka Mateusz wziął ze sobą Pipinellę i wyruszył wesoły i ochoczy na poszukiwanie kanarków do londyńskich sklepów z ptakami. Doktor ucieszył się bardzo, gdy ujrzał go powracającego z drugą klatką pod pachą.

— Najlepszy kanarek ze wszystkich, któreśmy oglądali — powiedziała Pipinella, gdy Jan Dolittle rozpakował klatkę, w której siedział ładny, mały, żółto-czarny kanarek samczyk. — Ma piękny głos i spodoba się panu. Poszukiwania jednak trwały długo. Zdziwi się pan, jak trudno jest o dobrych śpiewaków, a śpiewające dobrze zięby stają się rzadsze od brylantów. Zwiedziliśmy chyba z tuzin sklepów,

ale pozostała nam jeszcze druga połowa Londynu. Może jutro powiedzie nam się lepiej.

Doktorowi podobał się istotnie nowy członek jego zespołu operowego i tego samego wieczoru rozpoczął próby duetu w pierwszym akcie, który kanarki miały śpiewać same.

Nazajutrz Mateusz z Pipinellą znowu udali się na poszukiwanie. Gdy wrócili tym razem, doktor usłyszał z daleka głos Pipinelli, jeszcze zanim Mateusz ukazał się w wozie.

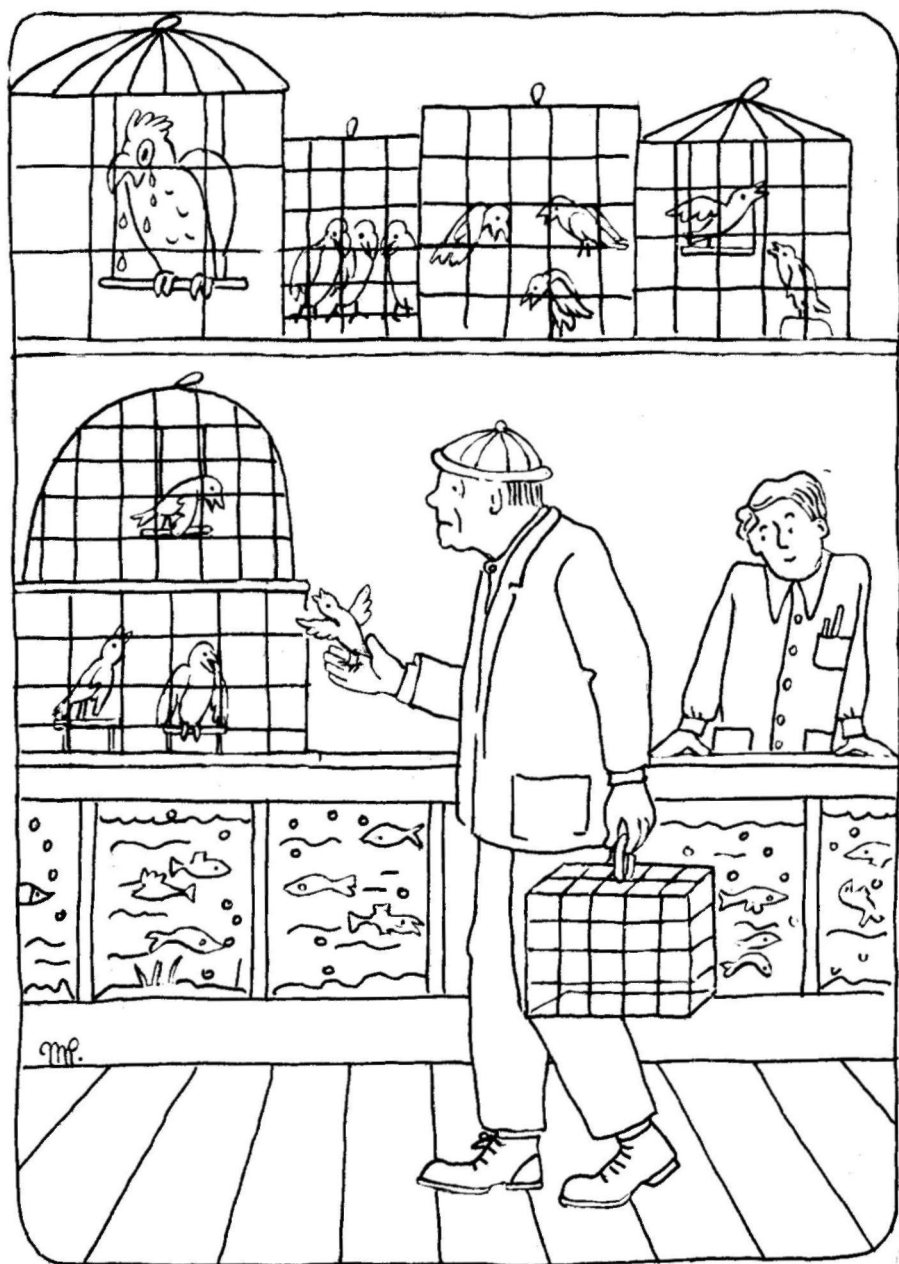
— Doktorze! — wołała. — Doktorze, nowina!

— Co się stało? — zapytał Jan Dolittle, zerwał się z krzesła i podszedł do drzwi.

— Niech pan zgadnie! — krzyknęła Pipinellą. — Nigdy się pan tego nie domyśli. Znaleźliśmy mego małżonka Fifi. Przynieśliśmy go ze sobą.

— To się nazywa mieć szczęście! — zawołał doktor. — Żeby właśnie teraz, po tak długim czasie, odnaleźć Fifi. Rozpakuj klatkę, Mateuszu. Chcę go jak najprędzej poznać.

— Znaleźliśmy go zupełnie przypadkowo, doktorze — ćwierkała Pipinellą, bardzo podniecona. — Wstąpiliśmy do małego, strasznie brudnego sklepu we wschodniej dzielnicy Londynu. Mateusz nie chciał tam z początku wcale wchodzić, gdyż była to nędzna, pospolita buda, ale ja sobie pomyślałam, że jeśli tam znajdują się jacyś dobrzy śpiewacy, wyrwanie ich z tego okropnego miejsca będzie prawdziwie dobrym uczynkiem. Usiłowałam więc dać to do zrozumienia Mateuszowi, mimo że nie rozumie on mowy ptaków. I wreszcie zauważył, że biegam po klatce i piszczę, gdy odwraca się od sklepu i zamierza





odejść, zrozumiał, o co mi chodzi, i wszedł. W każdym sklepie, do którego wchodziliśmy, wołałam przede wszystkim: „Fifi, gdzie jesteś?“, ale tutaj byłam tak przerażona nędzą uwieczonych stworzeń, że nie mogłam wydobyć głosu. Zaledwie jednak znalazłam się w drzwiach, gdy w głębi sklepu usłyszałam wołanie: „Pipinello, Pipinello! To ja, Fifi. Chodź tu do mnie!”

Nie było jednak łatwo dostać się do niego i pomówić z nim, a tym bardziej doprowadzić do jego klatki, ukrytej w głębi sklepu wśród mnóstwa innych klatek, Mateusza i właściciela sklepu. Dałam więc karmicielowi kotów znak drapiąc się za lewym uchem i Mateusz wreszcie zrozumiał, że to jest jeden z ptaków, którego radzę kupić. Biedny Fifi! Kupiliśmy go za jednego szylinga. Fifi, najlepszego kanarka tenora, jaki kiedykolwiek istniał. Musiał jednak mieć chore gardło, gdy przybył do tego sklepu, gdyż przez cały czas swego pobytu w nim zaledwie pisnął. Dlatego też właściciel nie wiedział wcale, ile jest wart. Takie są drogi sławy! Takie jest życie!

Tymczasem Jan Dolittle rozpakował klatkę i postawił ją na stole. Siedzący w niej ptak, jaskrawożółty kanarek, nieco większy od Pipinelli, miał wygląd bardzo zaniedbany i nędzny. Gdy otworzył dziobek, usłyszano nie ten cudowny, złoty głos, o którym Pipinella tak często mówiła, lecz ochrypły szept.

— Jestem strasznie zaziębiony, doktorze — powiedział kanarek. — Ten głupi handlarz powiesił moją klatkę w przeciągu, z moim gardłem jest coraz gorzej.

— Czekaj chwilę — rzekł doktor. — Przyniosę ci zaraz moje krople od kaszlu dla kanarków. Doprowadzą one twoje gardło do porządku.

Doktor przyniósł swoją małą, czarną torbę z lekarskami i wydobył z jej dna niewielką buteleczkę z różowym płynem. Otworzył drzwiczki od klatki kanarka i ptak skoczył na jego rękę. Potem wylał kilka kropli na szklaną pałeczkę i gdy Fifi otworzył dzióbek, wpuścił mu dwie krople do gardła.

— Zaraz będzie ci lepiej — powiedział doktor, zamknął torebkę i odłożył ją. — Przypomnij mi, żebym ci jutro rano znów wpuścił krople. Mogę ci obiecać, że za dwadzieścia cztery godziny będziesz się czuł tak dobrze jak nigdy.

Wszyscy z doktorem i Pipinella na czele pragnęli dowiedzieć się czegoś o przygodach Fifi, ale doktor nie pozwolił mu mówić.

— Twój głos musi do jutra rana całkowicie wypocząć. Nakryję twoją klatkę grubą chustką i postawię ją obok pieca, aby ci było ciepło i przyjemnie.

## Doktor się przebiera

Następnego dnia, gdy doktor wstał, zorientował się, że Fifi, zanim jeszcze po raz drugi zażył słynne lekarstwo od kaszlu, poczuł się lepiej, zaczął bowiem w swej klatce po cichu świergotać. Przy śniadaniu opowiedział swoje przygody — wszystko, co mu się przytrafiło od czasu, gdy się rozłączył z Pipinellą, aż do chwili, gdy go jego mądra małżonka odnalazła.

— A ze wszystkich tych straszliwych miejsc, w których przebywałem, ostatnie było najgorsze — zakończył. — Byłem w wielu sklepach ze zwierzętami, ale ani jeden nie był tak okropny, tak brudny i tak nędzny jak ten. Żadne zwierzę, żaden ptak nie czuł się tam zdrowy ani szczęśliwy. Klatki były brudne, jedzenie złe. Większość ptaków cierpiała na katar dróg oddechowych, psy były rachityczne. A przecież, panie doktorze, połowa uwięzionych tam ptaków nie urodziła się w klatce. Handlarz zwierząt kupował je przeważnie od ludzi zastawiających sidła; słuchanie krzyku tych biednych drozdów i kosów, przyglądanie się temu, jak szpaki cały dzień trzepoczą się bez-



radnie, chcąc się wyrwać z klatki, było prawdziwą męką. Wczoraj rano jakiś człowiek przyniósł tuzin kosów, które schwytał w polu. Właściciel kupił je wszystkie za osiemnaście pensów. Tego samego dnia dwa z nich już nie żyły. Po prostu rozbiły sobie głowę o pręty klatki. Rozchorowałem się na ten widok.

To opowiadanie zmartwiło bardzo doktora. Jego domownicy słyszeli często, jak wyrzekał na handlarzy ptaków. Ale opowiadanie Fifi o kosach było gorsze od wszystkiego, co kiedykolwiek słyszał.

— A jak się mają kosy, które pozostały przy życiu? — zapytał.

— Żyły, przynajmniej póki ja tam byłem — rzekł Fifi — ale żaden nie chciał tknąć pożywienia. Bóg jeden wie, ile utrzyma się przy życiu. Taki los spotkał nie tylko kosy. Prawie co dzień przychodzi tam kłusownik albo jakiś nicpoń i przynosi klatkę zapełnioną biednymi, trzepoczącymi się stworzeniami: makolagwami, pliszkami, mysikrólikami i tym wszystkim, co udało mu się schwytać w sidła, a co teraz trzepocze się w śmiertelnym strachu. Niektóre pozostają przy życiu, inne giną. Ale i te, które żyją, wiedą tam nędzny, nieszczęśliwy żywot.

— Gdyby to były tylko kosy — mruknął doktor — mógłbym je odkupić przez Mateusza i puścić na wolność. Ale za wszystkie inne ptaki musiałbym zapłacić ogromnie dużo. To okropne, okropne. Nie mogę zrozumieć, jak przyzwoity człowiek może tak unieszczęśliwiać żywe stworzenia.

Podczas kolacji doktor nie odzywał się ani słowem. Zdawało się, że zapomniał o operze kanarków, mimo że miał teraz obsadzone trzy główne role. Opowiada-

nie Fifi o sklepie z ptakami zepsuło mu cały wieczór. Jip i Dab-Dab usiłowały kilkakrotnie przy jedzeniu wciągnąć go do rozmowy, ale nie słuchał tego, co mówiły.

W końcu po kolacji oparł się łokciami o stół i mruknął:

— Na Boga, chcę spróbować!

— Czego spróbować, doktorze? — zapytał pies.

— Słuchajcie — rzekł doktor i zwrócił się do całego towarzystwa przy stole — czy uważacie, że mogę się tak przebrać, aby żadne zwierzę mnie nie poznało?

Przez chwilę wszyscy w wozie milczeli. Wreszcie odezwała się Geb-Geb:

— Ale dlaczego, na miłość boską, ma się pan przebierać, doktorze? Zdawało mi się zawsze, że jest pan ogromnie dumny z tego, iż wszystkie zwierzęta na świecie pana znają.

Jan Dolittle nie odpowiadał.

— Zdaje mi się — rzekł Jip — że to zależy od tego, jak dobrze jakieś zwierzę pana zna, doktorze. W jakim celu chce się pan przebrać?

— Chcę pójść do sklepu ze zwierzętami — rzekł Jan Dolittle. — Męczycie mnie to. Jak wiecie, postanowiłem nie chodzić do żadnego z tych sklepów, gdyż wszystkie biedne stworzenia chcą, abym je kupił. A przecież, nawet gdybym był dostatecznie bogaty, aby zakupić cały sklep, pozostałoby zawsze jeszcze dość innych zwierząt w innych sklepach. Jednak sklep, o którym nam Fifi opowiedział, musi być wyjątkowo okropny, więc wbrew memu postanowieniu chcę tam pójść.

— A co pan chce tam zrobić? — zapytała Dab-Dab.

— Wypuścić wszystkie ptaki, które żyły na wolności — rzekł doktor.

— Hurra! — zawołał Jip z przejęciem. — Wietrzę awanturę. Jak się pan tam dostanie, doktorze?

— Najpierw — rzekł doktor — muszę się przebrać, żeby mnie ptaki w sklepie nie poznały. Potem muszę się tam dostać w nocy albo o takiej porze, kiedy mnie nikt nie zobaczy ani nie usłyszy.

— Dobrze — rzekł Jip — kiedy pan chce tam pójść?

— Dziś w nocy — rzekł doktor. — Nie będę mógł spać, dopóki kosi nie odzyskają wolności. Jak mówi Fifi, tylko sam Bóg wie, ile z nich pozostanie jutro przy życiu, jeśli się coś nie stanie.

Doktor przedstawił swój plan Mateuszowi i ten podobnie jak Jip pochwalił go radośnie, jakkolwiek Jan Dolittle nie mówił jeszcze nic o tym, jakim sposobem zamierza otworzyć drzwi sklepu.

— Nie będziemy się teraz troszczyli o szczegóły, Mateuszu — powiedziała. — Załatwimy wszystko we właściwym czasie. Jeśli chcesz mi towarzyszyć, musisz zdać sobie sprawę z tego, że mogą nas za to aresztować i uwięzić. Według prawa będziemy zapewne, jeśli nas schwytają, włamywaczami.

— Wszystko mi jedno, jak mnie tam prawo będzie nazywało — oświadczył Mateusz z uśmiechem — bo wcale nas nie złapią. Urządzimy sobie małą, przyjemną wycieczkę! Ten drab nie ma racji, więżąc biedne kosi. Nawet jeśli władza nas nakryje, to sąd uwolni. Mogę za to głowę dać. Widzę już tytuły w gazetach, doskonała reklama dla cyrku: „Jan Dolittle,





wielki przyrodnik, przyłapany na włamaniu dla dobrej sprawy". Ładnie brzmi, co?

— Musimy sobie teraz wymyślić jakieś przebranie — powiedział doktor. — To bardzo ważne, żeby mnie zwierzęta nie poznały. Nie tylko dlatego, że ich prośby i błagania wprawiają mnie w zakłopotanie, ale przede wszystkim dlatego, że podniesie się straszny gwar i wszyscy sąsiedzi się obudzą, zanim nasze dzieło doprowadzimy do połowy.

Potem Mateusz zabrał się do przebierania doktora ku najwyższemu zachwytowi Geb-Geb. W tym celu pożyczono pudełko ze szminkami kłowna i różne ubiory członków cyrku.

Z początku Mateusz przylepił doktorowi wielką rudą brodę i krzaczaste brwi, ale to nie zadowoliło jego artystycznej duszy.

— Ba — rzekł odstępując na krok i przyglądając się doktorowi z głową przechyloną na bok — to jeszcze nie to, czego trzeba. Zdaje mi się, że poznałbym pana tak nawet po ciemku. Spróbujemy z sumiasnym wąsem, który zasłoni panu usta.

— Co, jeszcze więcej owłosienia na twarzy? — zawołał doktor. — Czy chcecie zrobić ze mnie małąpę?

Zamiast odpowiedzieć, Mateusz przylepił doktorowi nad ustami wielki, zakręcony, rudy wąs.

— Do licha! — zawołał Jan Dolittle, zapatrzony w lustro. — Wyglądam jak rzeźnik z Puddleby. Jeśli mnie nawet zwierzęta nie poznają, to przestraszą się na śmierć.

— Taka twarz, jak pana, nie daje się tak łatwo zmienić — rzekł Mateusz — ale ma pan rację, nie

będzie to wyglądało naturalnie. Musimy spróbować czego innego.

— Proszę zastanowić się, doktorze — odezwał się Sus, pies kłowna, który spoglądał na tę sprawę oczami fachowca. — Dlaczego nie przebiera się pan za kobietę? Zwierzętom w sklepie nie przyjdzie wtedy na myśl, że to pan. Przy tym jako mężczyźnie nie uda się panu nigdy zmienić swojej znanej postaci, nawet gdyby się panu udało zmienić twarz.

— Doskonała myśl! — zawołał Jan Dolittle. — Słuchaj, Mateuszu, Sus proponuje, żebym się przebrał za kobietę. Jak myślisz, czy Teodozja pożyczy mi kilku sztuk swego ubrania?

— Zapytam się jej — rzekł Mateusz. — O, to dobry pomysł, do pioruna! Nie dalibyśmy sobie z panem rady w spodniach i w tużurku. Niech pan zaczeka sekundę.

Mateusz pobiegł szybko i wrócił nie tylko z ubraniami, ale z samą Teodozją.

— Przyproceedziłem od razu żonę — rzekł. — Niech się dowie, o co chodzi, i niech nam pomoże zrobić z pana prawdziwą damę. Proszę siedzieć cicho, dopóki nie zdejmę brody i wąsów.

Podczas gdy Geb-Geb i biała myszka biegały i piszczały z uciechy, pani Mugg ubrała doktora w fałdzistą spódnice i stanik. Poza tym potrzebna była jeszcze peruka. Ale zręczny Mateusz zrobił z rudej brody loczki i grzywkę i, zakrywwszy tył głowy doktora kapтурkiem, przystroił mu tą fryzurą skronie tak, że doktor wyglądał jak miła, zażywna, stara jejmość.

— Świetnie — zawołała Tu-Tu. — Teraz nikt pana nie pozna, nawet rodzona siostra Sara.

— Czuję się strasznie głupio — rzekł doktor i potknął się o długą suknię, idąc do lustra.

— Na litość boską! — zawołała Teodozja. — Tak nie wolno panu chodzić, tak nie chodzi żadna kobieta. Niech pan robi drobne kroczki i niech pan tak nie macha rękami. Tak, teraz lepiej. Czy nie chciałby pan zawiązać woalki?

— Nie — rzekł doktor — czuję się i tak nieswojo. Przy tym nie mógłbym wytrzeć sobie nosa.

Gdy doktor umiał już ruszać się ku zadowoleniu pani Mugg, udał się wraz z Mateuszem i Jipem na osobliwą wyprawę.

Była to długa droga na wschód. Kiedy już doszli do sklepu, w którym Mateusz kupił Fifi, ujrzeli w oknach światło, wywnioskowali więc, że chociaż sklep zamknięto, właściciel albo ktoś z jego otoczenia nie położył się jeszcze spać. W poprzek szyb przyklejony był afisz z napisem: „Harrisa środek na przywrócenie głosu kanarkom. Flaszeczka cztery pensy”.

— To brzmi tak, jakby to był środek na porost włosów — rzekł Jan Dolittle do swego towarzysza. — Zdaje mi się, że musimy jeszcze trochę poczekać. Wzbudzilibyśmy podejrzenie. Najlepiej będzie, jeśli znajdziemy jadłodajnię, w której napijemy się po filiżance herbaty. Jest teraz dziesiąta godzina. Za pół godziny wrócimy tutaj.

Poszli więc w dół ulicy, ale w tej dzielnicy niełatwo było znaleźć jadłodajnię otwartą o tej porze. W końcu, gdy doszli do cichej, odludnej alei, Mateusz powiedział:

— Jeśli pan chce tutaj poczekać, doktorze, pójdę

sam na poszukiwania. Gdzieś musi się przecież knajpa znaleźć.

— Dobrze — powiedział doktor — ale pośpiesz się. Mam już dość włóczenia się w tym przebraniu.

Podczas gdy Mateusz szukał lokalu, doktor kręcił się po ulicy i gdy ktoś się zbliżał, robił wszystko, aby nie spostrzeżono, że kręci się tu bez potrzeby. Czuł się źle i nieswojo i pragnął, aby Mateusz jak najprędzej wrócił.

W pewnej chwili na ulicy pojawił się jegomość z kobietą i chociaż doktor starał się iść posuwistym, pośpiesznym krokiem, spostrzegł, że owa para zwróciła na niego z jakiegoś powodu uwagę. Nagle poczuł, że spódnica z niego spada, nie wiedział, co zrobić, usiadł więc na schodach i przybrał postawę żebraczki, wypoczywającej na stopniach.

Ku swemu przerażeniu ujrzał, że para ludzi zbliża się do niego, jakby chciała nawiązać rozmowę.

Gdy podeszli bliżej, wlepił wzrok w ziemię i spuścił głowę, żeby nie można było zobaczyć jego twarzy. Za chwilę spostrzegł, że ludzie ci stanęli przed nim.

— Ach, Boże, ach, Boże, moja żono — przemówił mężczyzna — oto obraz, który się często widuje w tej dzielnicy ubogich.

— Biedna istota — odezwał się głos kobiety. — Powiedz, dlaczego siedzisz tutaj po nocy?

Skurczona postać na schodach nie wydała głosu.

— Czy nie masz domu? — zapytała kobieta.

Doktor, który bał się dłużej milczeć, podniósł oczy i spojrzał prosto w twarz swojej siostry Sary i jej małżonka.

Wtedy zebrał gwałtownie obiema rękami fałdy swojej opadającej spódnicy, zerwał się i pobiegł tak szybko, jak mógł, w dół ulicy. Sara wydała okrzyk i padła zemdlona w ramiona swego małżonka.

Na pierwszym skrzyżowaniu ulic doktor potknął się i wpadł na Mateusza.

— Co się stało? — zawołał karmiciel kotów.

— Sara! — zadyszał Jan Dolittle. — A ta wstrętna spódnica opada ze mnie. Musimy się schować, prędko!

Rozdział II

## Uwolnienie kosów

— Sara! — krzyknął zdumiony Mateusz uciekając z doktorem. — Skąd się, u diabła, tutaj wzięła? Ta kobieta zjawia się zawsze tam, gdzie jej nie potrzeba. Zdawało mi się, że wyszła za mąż za pastora Dangle z Wendlemere?

— Dingle, Mateuszu, Dingle — poprawił go doktor, biegnąc dalej bez tchu po bruku. — Prawdopodobnie przyjechali w odwiedziny do Londynu. Wygląda to tak, jak gdyby odbywali wycieczkę filantropijną w dzielnice ubogich albo coś w tym rodzaju. Taki już mój los, wpaść właśnie na nich. Czy nas gonia, Mateuszu?

— Nie — rzekł karmiciel kotów i obejrzał się. — Nikogo nie widzę.

— Muszę gdzieś wejść i poprawić sobie tę przekleętą spódnicę — skarżył się doktor. — Może mi znajdziesz jakąś ciemną sień albo bramę, czy coś w tym rodzaju?

Po chwili znaleźli bramę, prowadzącą na podwórze ze stajniami, odosobnioną, taką, jakiej im było potrzeba. Upewnili się najpierw, że nikt ich nie widział wchodzących, a potem wcisnęli się w najciemniejszy kąt, aby doktor mógł odsapnąć, podczas gdy Mateusz przywiązywał mu spódnicę. Nie widział jednak dobrze w ciemności, podwiązała ją za wysoko, tak że wyglądały spod niej nogawki spodni. Spozrzegli to dopiero na ulicy, musieli więc po raz drugi schronić się do swojej prowizorycznej garderoby, aby doprowadzić wszystko do porządku.

— Znalazłem jadłodajnię — rzekł Mateusz — może tam pójdziemy?

— Nie — powiedział doktor i wyciągnął z trudem zegarek spod stanika Teodozji. — Już minęła jedenasta godzina i obawiam się, że Sara powzięła jakiś plan. Lepiej będzie porzucić to sąsiedztwo i udać się z powrotem do sklepu.

Po pięciu minutach stanęli znowu przed sklepem, nie świeciło się już w oknach, ale za to po przeciwległej stronie stał pod latarnią policjant.

— Nie mamy tej nocy szczęścia, Mateuszu — powiedział doktor skręcając za róg ulicy. — Właśnie tutaj musiał stanąć policjant.

— Jak pan myśli, doktorze — powiedział Mateusz — czy mam go zejść od tyłu i pomacać po głowie obcęgami?

— Ani się waż! — szepnął Jan Dolittle. — A zresztą skąd weźmiesz obcęgi?

— Mam je w kieszeni — rzekł Mateusz.

— Po co? — zapytał Jan Dolittle.

— Do otwierania zamkniętych drzwi — odrzekł

Mateusz. — W nocy mam zawsze obcęgi przy sobie. Dla tak zwanej samoobrony. Dają się doskonale użyć do najrozmaitszych celów. Inni ludzie noszą laskę albo parasol, a ja mam swoje obcęgi.

— Tylko ich nie wypróbuj na policjancie — ostrzegł doktor. — Poczekajmy lepiej chwilkę, aż sam sobie pójdzie. Ma nocną służbę i musi obejść swoją dzielnicę. Co mieści się na tyłach sklepu?

— Może podwórko — powiedział Mateusz — ale przez nie nie można się wydostać na ulicę. Musimy wtargnąć od frontu.

Przez cały następny nudny kwadrans stali za rogiem i wysuwali raz po raz nosy obserwując policjanta, stojącego przed sklepem. Wreszcie ten przeciągnął się i ziewając poszedł sobie.

— Teraz czas! — szepnął Mateusz i wyciągnął obcęgi. — Niech pan idzie!

— A proszę nie zapominać — ciągnął dalej, gdy szli wzdłuż ulicy — że jeśli nas ktoś zaskoczy, musi pan zachowywać się i mówić jak dama. Może uda nam się tak wykręcić sprawę, że niby to weszliśmy uprzedzić właściciela o tym, że drzwi są otwarte. Ale jeśli wpadniemy i będzie nam groziło, że nas przyłapią, niech pan zaraz zrzuca spódnicę i ucieka co siłą. No, jesteśmy. Niech pan spojrzy na ulicę w dół i w górę, a ja tymczasem wezmę się do zamka.

— Nie wyłam zamka i nie uszkodź drzwi, Mateuszu — ostrzegął doktor. — Żadnych szkód. Chcemy wyłącznie i jedynie uwolnić ptaki.

— Proszę na mnie polegać, panie doktorze — powiedział Mateusz z uśmiechem i zabrał się do roboty. — Potrafię otworzyć drzwi z zamkniętymi oczami





i nikt nie pozna, że przyłożyłem do tego rękę. Widzi pan, już gotowe. Teraz proszę wejść i rozgościć się. To była łatwa robota.

Doktor odwrócił się. Ku jego zdumieniu drzwi stały już otworem. Mateusz chował swoje tajemnicze obcęgi do kieszeni i kłaniał się na progu.

— Pst! — szepnął karmiciel kotów zamykając cicho drzwi za sobą. — Teraz proszę sobie owinąć buty ściereczką do kurzu, a ja zapalę latarkę. — Nie, światło latarni ulicznej jest wystarczające. Ale zaklinam pana, niech pan uważa na swoje kroki.

— Otwórz drzwi prowadzące na podwórze — powiedział doktor. — Będę podawał klatki, a ty będziesz je otwierał i wypuszczał ptaki na swobodę. Fe, jaki tu zaduch w tym wstrętnym lokalu!

Oczy Jana Dolittle zaczynały powoli przyzwyczajać się do mętnego światła, które padało do wnętrza sklepu od latarni, stojącej po przeciwległej, stronie ulicy. Sklep był niewielki, ale od podłogi do sufitu przepełniony klatkami i skrzynkami. Na każdym wolnym skrawku miejsca pośrodku sklepu stały rzędami na małych stolikach albo słupkach klatki, przykryte brudnymi kolorowymi szmatami.

Doktor dzięki relacji Fifi znał dokładnie rozmieszczenie klatek z nieszczęśliwymi kosami jak i tych, w których mieściły się niedawno schwyte szczygły i drozdy. Owinąwszy swoje wielkie buty ściereczkami, które Mateusz przezornie przyniósł ze sobą, doktor skradał się ostrożnie wśród nagromadzonych skrzyń i rupieci do obszernych klatek, w których więziono kosy.

Klatek tych było bardzo dużo, gdyż w każdej mieś-

ciły się tylko dwa albo trzy ptaki. Tymczasem Mateusz otworzył okna, wychodzące na podwórko i przyjemny chłodny powiew odświeżył duszne powietrze sklepu. Doktor zaczął podawać klatki jedną po drugiej Mateuszowi, który otwierał zręcznie drzwiczki i wypuszczał zdumione ptaki na wolność. Nie wiedziały, co się z nimi dzieje, ale nie wahały się ani chwili z odlotem. Dziękując szczęśliwemu losowi wznosiły się z ponurego podwórka w górę i krążąc nad kominami Londynu ulatywały na wolność w otwartą przestrzeń.

— Czy wszystkie żyją, Mateuszu? — zapytał Jan Dolittle podając mu ostatnią klatkę.

— Dotychczas żaden nie umarł — szepnął Mateusz.

— Dzięki Bogu — rzekł doktor. — Cieszę się, że przybyliśmy na czas i że udało nam się uratować te biedne stworzenia. A teraz weźmy się do drozdów i do szczygłów.

Doktor zaczął szukać klatek, w których umieszczono schwytane ptaki. Ale nie było to łatwe zadanie, gdyż większość klatek przykryto i w słabym świetle trudno było rozpoznać, jakie są w nich ptaki, tym bardziej zaś, czy należą one do urodzonych na wolności, czy w niewoli.

Przy tym doktor musiał zachowywać największą ostrożność, aby nie obudzić innych ptaków w sklepie i nie wywołać hałasu, który mógłby zbudzić ze snu właściciela lub jego rodzinę.

Na szczęście było niewiele psów, tylko jeden wyżeł i jeden buldog-mieszaniec. Oba spały dotąd mocno w budzie obok stosu skrzyń po lewej stronie sklepu.

Po długich poszukiwaniach doktor znalazł większą klatkę pełną szpaków. Udało mu się podać ją Mateuszowi i uwolnić ptaki bez przeszkód, chociaż kilka z nich ćwierkało cicho, na co inne ptaki z przeciwnego kąta odpowiadały zaspianymi głosami. Znalazł też wielkie drewniane klatki z drozdami i opróżnił je w ten sam sposób.

Co kilka minut Mateusz przestrzegał doktora, aby się nie ruszał i zachowywał spokojnie, a tymczasem on nasłuchiwał wszystkich odgłosów i poruszeń z góry. Za każdym razem upewniał się na nowo, że właściciel i jego rodzina śpią mocno, nie przeczuwając, co dzieje się piętro niżej.

Potem, gdy doktor uwolnił już wszystkie zięby, drozdy i szpaki, które mógł znaleźć, chodził jeszcze po całym sklepie i zaglądał pod szmaty zakrywające klatki w poszukiwaniu nieszczęśliwych stworzeń, ginących z tęsknoty za rodzinnymi polami i lasami.

Zajęty tym, usłyszał rozmowę dwóch papug, siedzących w zakrytych klatkach.

— Posłuchaj — mówiła jedna z nich — coś się porusza w pokoju. Czy słyszysz?

— Tak — powiedziała druga — zdaje się, że coś słyszę. Musiało mnie to obudzić. Co to może być? Może jakieś zwierzę wyszło z klatki?

— Nie mam pojęcia — powiedział pierwszy ptak. — Mam nadzieję, że to nie kot. Dwa szare koty syjamskie mieszkają w zagrodzie obok drzwi. Jeśli jeden z nich się wydostał, nikt z nas nie będzie pewny swego życia.

Doktor słuchał uważnie i skinął na Mateusza, aby milczał.

— Mogłabym się założyć, że to kot — powiedziała druga papuga. — Tylko koty czynią tak mało hałasu. Pewnie oba tu biegają, dopiero co słyszałam szmery z dwóch kątów pokoju.

— Najlepiej będzie, jeśli zawołamy właściciela — powiedziała pierwsza — gdyż...

— Nie, nie — szepnął doktor w języku papug — nie róbcie tego, bo...

— Wielki Boże! — zawołała pierwsza papuga. — Czy słyszałaś? Ktoś przemówił w języku papug, ale to nie była papuga. Wymowa była niewłaściwa. To dziwne!

Teraz doktor spostrzegł, że rozmowa papug obudziła inne śpiące ptaki, gdyż ze wszystkich stron rozległo się łopotanie skrzydeł i skrobanie o drążki. Skinął na Mateusza, aby się oddalił. Ale w tej samej chwili kichnął. Mimo że starał się zrobić to jak najciszej, odgłos, chociaż stłumiony, zdradził go.

— Na Boga! — zawołała papuga. — W sklepie jest człowiek!

Doktor dawał rozpaczliwe znaki Mateuszowi, aby się ukrył, i zastanawiał się, czy ma wtajemniczyć papugi w swój plan, czy też ulotnić się, zanim ptaki go poznają.

Druga papuga nie odpowiadała, rozmyślając głęboko nad tym, kto może być w sklepie, postanowił więc wycofać się, dopóki droga była jeszcze wolna.

Ale papugi domyśliły się, kto — jedyny na świecie — może mówić jak ptak, choć ma złą wymowę, a jednocześnie kichać jak człowiek. Nagle jedna z nich krzyknęła głośno:

— Rozumie się, to musi być Jan Dolittle!

— Pst! — powiedział doktor.

Było już jednak za późno. Druga papuga, zanadto przejęta i uradowana, nie mogła zapanować nad sobą.

— Ależ tak — zaskrzeczała. — To Doktor! Ptaki, zbudźcie się. Doktor przyszedł! Zbudźcie się! Zbudźcie się!

I po minucie wszystkie ptaki zaćwierkały, zapiszczały, zaszczebiotały i zagwizdały najgłośniej, jak potrafiły. Doktor rzucił się do drzwi. W słabym świetle nie zauważył skrzyni, stojącej na podłodze. Potknął się o nią, upadł z hukiem i porwał za sobą stos pustych klatek, które zwały się na niego.

— Niech pan uważa — syknął Mateusz — słyszę głosy nad nami. Zbudziliśmy cały dom. Musimy uciekać.

— Nie mogę uciekać — powiedział doktor — najpierw musisz uwolnić mnie od tych klatek.

Tymczasem obudziły się oba psy i zaczęły szczekać jak najgłośniej.

Gdy Mateusz usiłował uwolnić spódnicę i nogi doktora spod stosu przygniatających go klatek, ujrzał światło na schodach, prowadzących do pokoi na górze.

— Czy to naprawdę pan, Doktorze? — zaszczekał buldog ze swojej budy.

— Rozumie się! — zawołał Jan Dolittle, który wciąż jeszcze leżał na wznak nie mogąc się poruszyć. — Na litość boską, bądźcie cicho! Muszę uciekać! Wsadzą mnie do więzienia, gdy mnie złapią.

— Niech pan otworzy zasuwkę naszej budy — powiedział buldog — już my panu ułatwimy drogę.

— Nie troszcz się o mnie, wypuść psy, Mateuszu!  
— zawołał doktor. — Prędkiej!

Jakkolwiek Mateusz był bardzo doświadczonym awanturnikiem, nie sprzeciwiał się nigdy, gdy doktor wydawał rozkazy, więc — choć właściciel stał już na schodach z pogrzebaczem w ręku — rzucił się do ucieczki dopiero wówczas, gdy oba psy wypuścił z budy.

— Policja! Policja! Mordercy! Złodzieje! — krzyczał właściciel zbiegając ze schodów.

— Wynoś się, Mateuszu, ja dam sobie radę! — wołał doktor.

Trzymał się ledwo na nogach, właściciel był już w połowie schodów, ale Mateusz znowu usłuchał rozkazu doktora. Zostawił go, skoczył do drzwi i znikł.

Właściciel miał właśnie zamiar przeskoczyć trzy ostatnie schodki i rzucić się z pogrzebaczem na swą ofiarę, rozciągniętą na podłodze, gdy nagle skoczyły na niego dwa psy, szczerząc zęby, i udaremniły ten zamiar.

Doktor podniósł się i poprawił swoją spódnicę, spod której wystawały nogawki spodni.

— Powinien się pan wstydzić — powiedział z powagą do właściciela, poprawiając swój fałszywy lok nad czołem — prowadzić taki nikczemny handel. Jeśli was będzie bił — zwrócił się do psów — znajdziecie u mnie schronienie. Mój cyrk mieści się we wschodniej części miasta.

I wyszedł przez otwarte drzwi, podążając za Mateuszem, który dawał mu znaki.

## Powrót doktora

Jakkolwiek oba psy powstrzymywały z powodzeniem właściciela sklepu ze zwierzętami, Harrisa, od pościgu za doktorem i Mateuszem, nie mogły mu jednak przeszkodzić w tym, że wbiegł na górę i otworzył okno w swoim pokoju sypialnym. Stamtąd wrzaskiem bez przerwy wzywał policję, aż wachmistrz, ten sam, którego Jan Dolittle spotkał poprzednio, ukazał się w pobliżu.

Jakając się z wściekłości, pan Harris powiedział mu, że w jego sklepie dokonano włamania, i podał najdokładniejszy rysopis doktora. Mateusza nie widział dokładnie, ale i jego opisał tak, jak potrafił.

Wachmistrz, wysłuchawszy go, gwizdnął długo i donośnie na swym gwizdku i wkrótce zjawili się na to wezwanie dwaj inni policjanci. Wszyscy pobiegli na poszukiwanie winowajców po śladach, które wskazał im wzburzony właściciel sklepu.

Tymczasem sprytny i doświadczony karmiciel kotów prowadził doktora przez istny labirynt ciasnych bocznych uliczek nad Tamizą. Nagle stanął i nasłuchiwał.

— Zdaje mi się, że na razie pozbyliśmy się ich, doktorze — powiedział. — Teraz ukryjemy się za starą wozownią i zrzucimy te szmaty.

W cieniu wozowni pozbył się doktor spódnicy, bluzki i kapelusza damskiego.

— Teodozja będzie się musiała obejść bez tego

stroju — rzekł karmiciel kotów, rzucając garderobę w rwący nurt rzeki. — Niewielka strata. Teraz, doktoru, musimy się rozstać i każdy inną drogą wróci do cyrku. Nie trzeba, żeby nas „glina” razem widział, mimo że pan zmienił ubiór.

— Ale co ja włożę na głowę? — zapytał Jan Dolittle, patrząc na kapelusz Teodozji, płynący z prądem rzeki. — Nie mogę przecież iść bez kapelusza.

— Pomyślałem o tym — rzekł Mateusz i wyciągnął z kieszeni czapkę. — Zabrałem zapasowe nakrycie głowy. W tej czapce, w marynarce i spodniach będzie pan znowu inaczej wyglądał.

— Do licha, strasznie mała — powiedział doktor kładąc czapkę na głowę.

— Nic nie szkodzi, niech pan ją wciśnie mocno na tył głowy. Tak, teraz pan wygląda przyzwoicie. I proszę pamiętać, doktorze, gdy mnie nie będzie przy panu, a zjawi się „glina” i zapyta o coś, musi pan odpowiedzieć, że jest pomocnikiem handlarza warzyw i idzie właśnie do hal targowych po zakupy. Niewiele jest zawodów, wymagających tak wczesnego wstawania. Więc proszę nie zapomnieć: pomocnik handlarza warzyw.

— Czy ja naprawdę na takiego wyglądam? — zapytał doktor, usiłując utrzymać na tyle głowy za ciasną czapkę.

— Tak, tak, niech pan tylko podniesie kołnierz marynarki i nie mówi zbyt gramatycznie, żadnych wyszukanych wyrażeń, rozumiano? I trzymać się, o ile się da, tylko bocznych ulic. „Glina” w wysokich butach gwizdnął przed chwilą jak wariat na swoim gwizdku. Pewnie zwołał już cały sztab policji i kazał



nas gonić. Do widzenia, doktorku, spotkamy się przy śniadaniu.

I Mateusz zniknął za rogiem ulicy, pogrążając się w ciemnościach nocy, doktor zaś patrzył za nim przez chwilę, następnie skręcił w boczną ulicę, która biegła w tym samym, co rzeka; południowo-wschodnim kierunku.

— Jestem pomocnikiem handlarza warzyw — mruzczał do siebie, udając się w drogę.

Nie uszedł jeszcze daleko, gdy usłyszał za sobą głos:

— Halo, co pan tu robi?

Odwrócił się i ujrzał o dziesięć kroków od siebie policjanta z zapaloną latarką, zawieszoną u pasa. Uciekać było niepodobieństwem. Stanął więc i odezwał się do policjanta:

— Przepraszam, czy pan mnie wołał?

— Tak — powiedział policjant — chciałbym wiedzieć, co pan po nocy robi na tyłach tych domów?

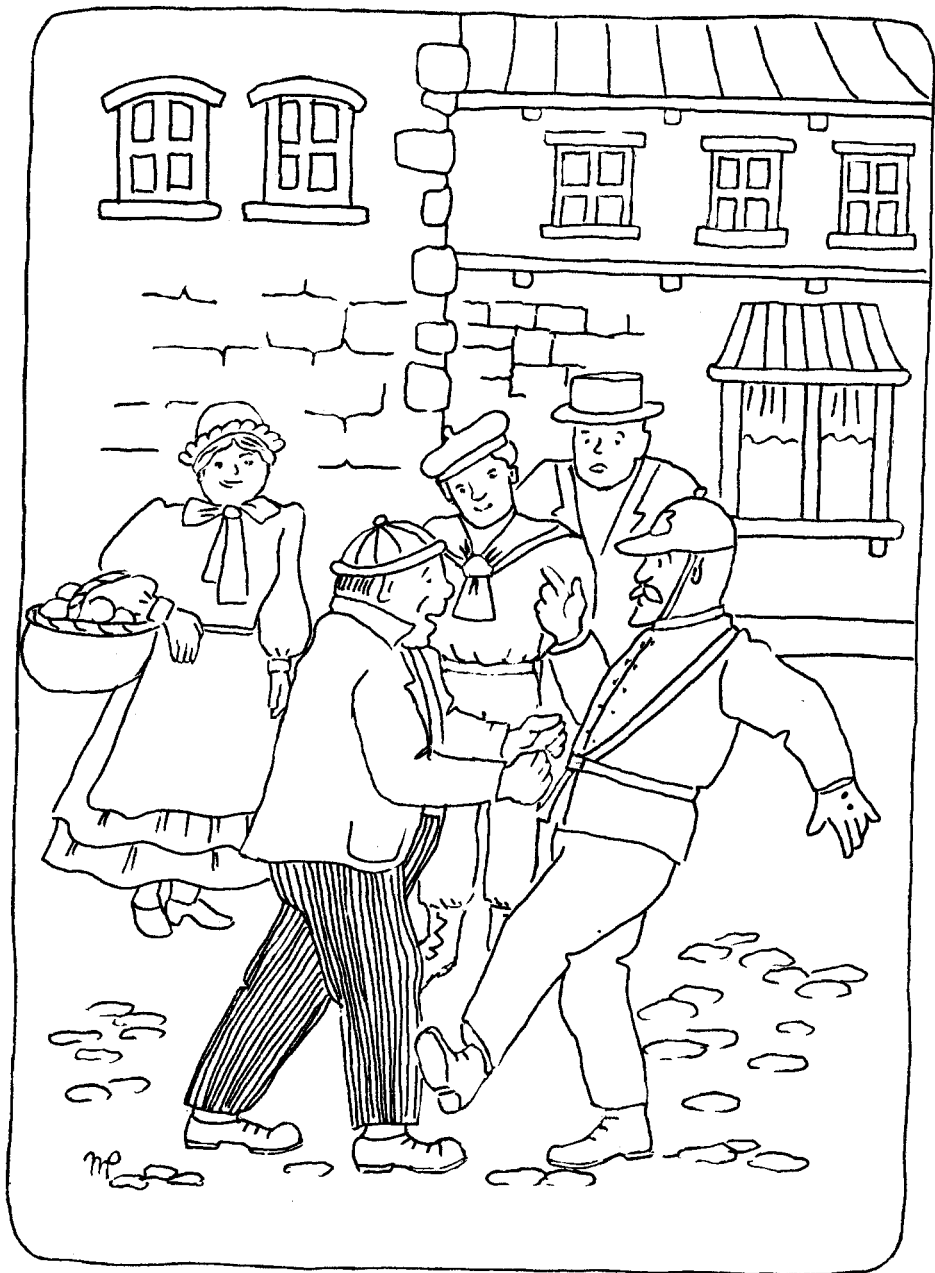
— Idę do hal — rzekł doktor. — Jestem pomocnikiem handlarza warzyw.

Policjant skierował światło latarki na doktora i oświetlał go powoli od źle siedzącej na głowie czapki do wysokich butów.

— Do hal stąd niedaleko — powiedział. — Gdyby pan szedł na targ, orientowałby się pan lepiej, w którą stronę iść. Gadać mi tu zaraz! Czego pan tu szuka?

Nastąpiło nieprzyjemne milczenie, podczas którego doktor zauważył, że obok policjanta zebrała się gromadka ludzi.

Mateusz, obeznany ze zwyczajami panującymi



w mieście i policji miejskiej, drogą okrężną przez spokojne ulice dotarł do cyrku. Szary świt zaczął rozjaśniać niebo, gdy karmiciel kotów przeskoczył ogrodzenie. Teodozja czekała w wozie, ciekawa losów wyprawy.

— Udało się, Teodozjo — rzekł — doktor powinien nadejść lada chwila. Położę się na momencik i zdrzemną, potem zabiorę się znów do roboty. Obudź mnie, jeśli doktor przyjdzie przed śniadaniem.

Pora śniadania nadeszła, ale doktora nie było. Kiedy zbliżało się południe, a Jan Dolittle nie wracał, Mateusz i jego żona zaczęli się niepokoić.

Około godziny jedenastej, w chwili gdy karmiciel kotów zamierzał pójść go szukać, doktor ukazał się. Wyglądał na bardzo zmęczonego i przygnębionego, przy tym był przemoczony od stóp do głów.

— Doktorze, na litość boską! — zawołał Mateusz. — Co się z panem stało? Byłem pewny, że pan dotrze tu zaraz po mnie.

— Głupi policjant zatrzymał mnie i zadał mi mnóstwo pytań — powiedział doktor. — Prawdopodobnie miał rozkaz schwywania nas, ale mój ubiór nie zgadzał się z opisem i gdybym potrafił odpowiedzieć właściwie na jego pytania, puściłby mnie z pewnością. Ale podczas tego krzyżowego ognia pytań zjawił się wstrętny Harris z drugim policjantem. Musiałem uciec się do innych sposobów, aby się wyostać.

— Co pan zrobił?

— Niestety, musiałem użyć siły — powiedział doktor zawstydzony i zakłopotany. — Kiedy tamci ukazyli się na ulicy, policjant zagroził mi drogę, żebym

nie mógł uciec. Wiedziałem, że Harris pozna mnie, mimo iż zmieniłem ubranie. Dałem więc policjantowi w zęby i dalej w nogi! Na rogu ulicy stało jeszcze dwóch policjantów, którzy chcieli mnie zatrzymać. Nie miałem innego wyjścia, tylko rzucić się do rzeki. Skoczyłem, dałem nurka pod łódź i przepłynąłem na drugi brzeg. Byli pewni, że utonąłem. W każdym razie nie słyszałem, żeby mnie gonili. Płynąłem potem jeszcze kilka mil z biegiem rzeki, wyszedłem na przeciwległy brzeg i doszedłem tutaj. Przykro mi bardzo, że musiałem dać w zęby policjantowi, ale co miałem zrobić?

— Może się pan nie usprawiedliwiać — zaśmiał się Mateusz — może się pan nie tłumaczyć. Co do mnie, to żałuję tylko, że tego nie widziałem. Ale skoro jest pan taki mokry, jak udało się panu przedostać i nie wzbudzić podejrzeń u ludzi?

— Wzbudziłem — powiedział doktor — nawet szli za mną gromadami, ale nikt mnie nie zatrzymał.

— Tak — powiedział Mateusz, marszcząc czoło — to niepomysłne wiadomości. Nie sądzę, aby policja tak łatwo pogodziła się z tym, że pan utonął, jak to się panu zdaje, szczególnie po takim uderzeniu w zęby. Jeśli zauważą te mokre ślady, które ciągną się przez całą drogę, a do tego gdy ludzie zaczną gadać... Chyba lepiej będzie, jeśli przebierze się pan w suche ubranie i ukryje na jakiś czas. Zdaje mi się, że jeszcze dzisiaj możemy spodziewać się odwiedzin policji. A to co za pies? — zdziwił się.

Doktor wyrzął z wozu i zobaczył mieszańca buldoga ze sklepu pana Harrisa, kroczącego przez łąkę w towarzystwie Jipa, Susa i Toby'ego.

— Dzień dobry — powiedział Jan Dolittle, gdy psie towarzystwo podeszło do stopni wozu. — Czy ten wstrętny człowiek ukarał was za to, że braliście udział w awanturze dzisiejszej nocy?

— Chciał — odrzekł buldog — ale umówiliśmy się z owczarkiem, że będziemy się bronić, jeśli tylko spróbuje. Obydwu naraz nie mógł bić, postanowił więc rozłączyć nas i zawołać o pomoc. Dałem znak owczarkowi, nazywa się Blek, i uciekliśmy razem. Harris biegł za nami i wrzeszczał wniebogłoso do przechodniów, aby nas zatrzymali. Wiedziałem, że nie będziemy się tu mogli przedostać, jeśli się nie rozłączymy, więc gdy biegliśmy ulicą, szepnąłem do Bleka: „Na następnym rogu pobiegiesz na lewo, a ja na prawo. Pojedynczo przedostaniemy się może do doktora, ale we dwóch nie uda nam się to z pewnością”. Rozłączyliśmy się i nie mam pojęcia, którą drogą on idzie. Ale z pewnością pan Harris za jednym z nas przybiegnie tutaj.

— No, w każdym razie nie ma sensu martwić się o to z góry. Dotychczas nie przybiegł jeszcze za tobą. Jak się nazywasz?

— Gryf — powiedział buldog.

— Gdy Harris nadejdzie, powitamy go pięknie — zawarczał Jip i pokazał zęby.

— Na to możesz liczyć — powiedział Sus. — Panie doktorze, Gryf mówi, że chętnie zostałyby u nas.

— Ależ naturalnie — rzekł doktor — Blek również zostanie, gdy się tu zjawi, rozumie się, o ile dojdziemy z Harrisem do porozumienia. Może nie zechce mi ich na złość sprzedać.

— Niech się pan o to nie troszczy — powiedział

Mateusz. — Nawet gdyby Harris tutaj przyszedł i zaskarżył nas do sądu, dostaniemy najwyżej kilka dni paki. Będzie to świetna reklama dla cyrku.

— To wszystko byłoby piękne i zabawne, Mateuszu — rzekł doktor — gdybym nie poturbował policjanta. Za nasze włamanie dostaniemy może małą karę, gdyż uczyniliśmy to dla dobra źle traktowanych zwierząt, ale żaden sędzia nie stanie po naszej stronie, gdy dowie się, że dałem w zęby policjantowi.

— Doktorze — odezwał się Gryf — proszę, niech mnie pan wpuści do wozu i zamknie na chwilę drzwi. Mam panu coś do powiedzenia o Harrisie, może się to panu przydać.

Jan Dolittle wziął Gryfa ze sobą do wozu. Inne psy — Jip, Tobby i Sus — nie zostały wpuszczone, chociaż paliła je ciekawość, co też buldog powie doktorowi.

Drzwi były zamknięte około dziesięciu minut i gdy się znowu otworzyły, Jip usłyszał, jak doktor mówi wychodząc:

— A jak on się nazywał?

— Jennings — odrzekł Gryf. — Jeremiasz Jennings, mieszkał w Whitechapel.

— Zapamiętam sobie to nazwisko — powiedział doktor.

Gdy Jan Dolittle zszedł ze stopni, na dach wozu opadła z nieba chmara kosów.

— Chcemy panu podziękować — rzekł jeden z nich, siadając doktorowi na ramieniu. — Nie wiedzieliśmy wcale, kto nas tej nocy wypuścił. Byliśmy tak szczęśliwi, że odzyskujemy wolność, iż nie chcieliśmy stracić ani chwili na badanie tej sprawy. Ale

dziś rano w polu drozd, który śpiewa w pańskim chórze, opowiedział nam, że jego dwóch przyjaciół schwytano i sprzedano do tego samego sklepu. Podobno drozdy również zostały przez pana wypuszczone tej nocy. Tak dowiedziałyśmy się, kto to uczynił. Dlatego też przyfrunęłyśmy tutaj, aby panu podziękować za jego dobroć.

— Nie ma za co — powiedział doktor. — Wielki Boże! Oto biegnie Blek, a Harris go goni. Teraz zaczną się przykrości.

Wszyscy odwrócili się i rzeczywiście ujrzeli Bleka, pędzącego co sił w nogach, a za nim Harrisa, właściciela sklepu. Jip i Sus szczerząc zęby rzuciły się na niego jak tygrysy, ale doktor powstrzymał je.

— Zostawcie go! — zawołał. — Tym nic nie wskóramy. Dzień dobry, panie Harris!

— Niech mi pan nie życzy dobrego dnia — zapisał Harris. — Pan jest złodziejem. Nareszcie pana mam. Każę pana zamknąć. Moja żona może przysiąc przed sądem, że to był pan, ja tak samo mogę przysiąc. Widziała, jak pan kradł w sklepie kosy.

— Nie zapominaj się pan — zawołał Mateusz — bo jak zdzieleń miotłą!

— A pan był tym drugim złodziejaszkiem — powiedział Harris, wskazując palcem na karmiciela kotów. — Teraz mam was obu, idę na policję i każę was wsadzić do więzienia. Dowodów mamy dość.

Te wszystkie kosy, które siedzą na dachu, wyście mi ukradli. A to są dwa psy, któreście zwabili. Złapałem was na gorącym uczynku.

— Kosów nie ukradłem — powiedział doktor spokojnie — są na wolności, tak jak im się to należy.

Widzi pan, że ich nie trzymam przy sobie. Jeśli zaś chodzi o psy, to przyszły one do mnie z własnej woli. Niech zostaną ze mną, jestem gotów odkupić je od pana.

— Wróć do mego sklepu i zostaną sprzedane uczciwym klientom — powiedział Harris. — To pan ukradł mi kosy. Po pana ucieczce zastałem w sklepie klatki otwarte. Idę po policję.

Pan Harris z twarzą czerwoną z gniewu ruszył do wyjścia.

— Proszę zaczekać, panie Harris — zawołał doktor.

— Po co? — syknął właściciel sklepu i stanął. — Nie mam czasu na głupstwa. Każę pana jeszcze przed wieczorem aresztować!

— Chciałbym panu coś powiedzieć w cztery oczy — rzekł doktor. — Proszę, niech pan wejdzie ze mną na chwilę do wozu.

— Wszystko, co mi pan ma do powiedzenia, może pan powiedzieć przed sądem — ryknął Harris i skierował się znowu do wyjścia.

— Myślę, że nie będzie pan zadowolony, gdy powiem to przed sądem — zawołał Jan Dolittle. — Chodzi o Jenningsa, o Jeremiasza Jenningsa z Whitechapel.

Handlarz zwierząt stanął nagle, spojrzawszy ponuro na doktora, potem zawrócił i wszedł po stopniach do wozu.



## Przeszłość pana Harrisa

Mateusz i trzy psy z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami obserwowali nagłą zmianę w zachowaniu Harrisa, gdy ten wszedł za Janem Dolittle do wozu i zamknął za sobą drzwi.

— Chciałbym tylko wiedzieć, co to ma znaczyć — szepnął Tobby wietrząc plotkę. — Czy widzieliście kiedy, żeby ktoś się tak prędko uspokoił?

— Doktor poczuł pismo nosem — rzekł Jip — dlatego Harris zmienił front.

— Coś ty opowiedział doktorowi, Gryf? — zapytał Sus, ale buldog nie chciał zdradzić tajemnicy.

— To jest sprawa moja i doktora — odparł i więcej nie można było z niego nic wydobyć.

Tymczasem doktor Dolittle podał swemu gościowi krzesło.

— Siądźmy i omówmy całą tę sprawę spokojnie — rzekł.

— Nie — powiedział Harris kwaśno — nie chcę usiąść. Niech mi pan powie, co pan wie o Jeremiaszu Jenningsie?

Doktor wyjął fajkę i sięgnął po tabakierkę, która stała na półce.

— Nie lubię poruszać przeszłości człowieka i wsadzać nosa w sprawy innych ludzi. Ale pan mi groził aresztowaniem za coś, czego nie uczyniłem. Nie ukradłem kosów. Wypuściłem je tylko, gdyż są to ptaki żyjące na wolności i pan nie powinien był ich kupować. Poza tym warunki w pańskim sklepie urą-

gają wszelkim ludzkim uczuciom. Mimo to, gdyby mnie aresztowano, stanąłbym przed prawem jako włamywacz i zostałbym prawdopodobnie skazany na więzienie. Natomiast jeśli pan nie wniesie skargi na mnie, zostawią mnie w spokoju. Otóż ktoś bardzo wiarogodny i odpowiedzialny doniósł mi, że pan poza handlem zwierzętami zajmuje się jeszcze sprzedażą kradzionych towarów. Zgadza się, panie Harris?

Brzydki człowieczek, miotający się po wozie, skoczył i uderzył pięścią w stół.

— To kłamstwo! — syknął.

— Nie wydaje mi się — powiedział doktor spokojnie. — Pan Jennings z Whitechapel, który niejednokrotnie za kradzież siedział w więzieniu, jest jednym z najlepszych pana klientów. Posiadam dość dowodów na to, żeby pana i jego wsadzić do więzienia na okres dużo dłuższy niż ten, na który by mnie zasądono. Wiem wszystko o tym „przedsiębiorstwie”. Orientował się pan dobrze, że srebro, które pan ukrył w piwnicy, jest skradzione. Wiem też mnóstwo o Ede, który wprawdzie ma trzy palce u ręki, ale bardzo zręcznie pruje kasy żelazne. A Jack Bottomley, a...

— Niech pan przestanie — wyjąkał Harris. — Skąd pan to wie? Czy Jennings to panu opowiedział?

— Nie, w ogóle żaden z pańskich nędznych przyjaciół. Wiem to wszystko z wiarogodniejszego źródła i mogę uzasadnić każde moje słowo. Mogę pana nawet zaprowadzić do dziury w pańskim murze piwnicznym, gdzie schowane są złote lichtarze, pochodzące z pałacu lorda Weatkebry.

Handlarz milczał zdumiony i patrzył na doktora ze strachem i nienawiścią.

— Jest pan chyba szatanem we własnej osobie, tylko przebrany — szepnął w końcu. — Co pan zamierza zrobić?

Doktor zapalił znowu fajkę, która wygasła.

— Nic, panie Harris — rzekł wreszcie — jeśli pan przyjmie niektóre moje warunki.

— A jeśli ich nie przyjmę? — mruknął z wahaniem Harris.

— Wówczas będę, wbrew mojej woli, zmuszony do przekazania moich rewelacji policji, aby z nimi zrobiła to, co uważa za stosowne.

Pan Harris zastanawiał się przez chwilę, potem podniósł głowę i powiedział:

— Co to za warunki?

— Po pierwsze — rzekł doktor — musi pan przyrzec, że nie wniesie żadnej skargi przeciwko mnie. Po drugie, musi pan przysiąc, że nie będzie nigdy więcej kupował skradzionych rzeczy i zadawał się z przestępcami. Poza tym musi mi pan odstąpić oba psy: Bleka i Gryfa, za które naturalnie zapłacę. Na koniec jeszcze jedno: nie wolno będzie panu odtąd handlować zwierzętami. Nie ma pan o tym pojęcia i nie powinien pan być nigdy się tym zajmować.

Harris wzniosł z rozpaczą ręce do góry.

— Czy pan chce mnie zrujnować? — jęknął. — Czym więc mam zarabiać na życie?

— Ani sprzedawaniem biednych dzikich ptaków, łapanych w sidła — odrzekł doktor — ani paserstwem. O ile wiem, był pan dawniej giserem i ten zawód przydał się panu przy przetapianiu kosztow-



nych przedmiotów, przynoszonych do sklepu. Wróci pan do giserstwa.

Harris skrzywił się.

— Wiem, wiem — rzekł Jan Dolittle — ten zawód nie jest bynajmniej tak wygodny, jak siedzenie w sklepie i sprzedawanie bezbronnych ptaków. Może później będzie go pan mógł zmienić na jakiś inny.

— Panie — zaczął żebrać Harris — pan ma taką miłą twarz. Pan nie zechce przecież unieszczęśliwić biednego człowieka. Mam dzieci, które muszę wyżywić...

— Nie — przerwał mu doktor surowo i uderzył pięścią w stół tak, że porcelanowa zastawa podskoczyła, a Jip pod drzwiami nastawił uszu. — Biedne ptaki mają również dzieci i są one dla nich równie ważne, jak pańskie dzieci dla pana. Moje postanowienie jest niezłomne. Daję panu tydzień czasu na sprzedanie sklepu i towaru. Jest pan zdrowy i może zarobić na utrzymanie w inny sposób. Jeśli pan nie spełni moich warunków w ciągu tygodnia, zdam policji dokładny raport o wszystkim. No, co pan na to powie?

Mały, brzydki człowieczek wziął swój kapelusz ze stołu. Surowo zaciśnięte usta doktora powiedziały mu, że żadne dalsze prośby i błagania na nic się nie zdadzą.

— Poddaję się — powiedział zgrzytając zębami — a więc za tydzień.

— Ma pan tutaj dziesięć szylingów — rzekł doktor i wyciągnął monetę z kieszeni. — Płacę panu po pięć szylingów za każdego psa. Gryf i Blek zostaną u mnie. Przyjdę za tydzień obejrzeć pański sklep.

Jeśli zaś chodzi o paserstwo, to niech pan pamięta, że mogę zawsze dowiedzieć się o wszystkim z tego samego źródła.

Doktor otworzył drzwi wozu, Harris zwlókł się ze schodów i poszedł swoją drogą.

— Wielkie nieba, doktorze. — mruknął Mateusz patrząc za nim. — Nie zadziera już tak wysoko nosa. Czy wciąż jeszcze chce iść na policję?

— Nie — rzekł doktor i pogłaskał buldoga Gryfa po głowie. — Zdaje mi się, że wybije sobie policję raz na zawsze z głowy. I handel zwierzętami również.

Rozdział V

## Dekoracje, kostiumy i orkiestra

Podczas gdy Mateusz wraz z pięciu psami winszował doktorowi szczęśliwego pozbycia się Harrisa, doktor zauważył, że kosi siedzą jeszcze wciąż wokół dachu jego wozu i prawdopodobnie czekają, aby mu coś powiedzieć.

— Właśnie! — rzekł zwracając się do jednego z ptaków, który wydawał mu się przywódcą całej gromady. — Zapomniałem o was podczas tego całego zamieszania. To bardzo ładnie, żeście mnie odwiedziły. Co myślicie o moim cyrku?

— Podoba się nam ogromnie — odpowiedział kos. — Wszystkie zwierzęta są takie zadowolone. Praca sprawia im wielką przyjemność. Tu-Tu opowiadała właśnie o ptasiej operze, którą pan stworzył. Chciałybyśmy wiedzieć, czy nie mogłybyśmy panu pomóc

w czymkolwiek. Jak pan wie, jesteśmy doskonałymi śpiewakami.

— Dziękuję — powiedział doktor — to świetny pomysł. Prawdę mówiąc, uważam, że potrzebny mi jest jeszcze jeden nowy chór, a wasze lśniące, czarne pióra będą wyglądały bardzo korzystnie na tle barwnych dekoracji. Ale mamy tak mało czasu. Obiecałem, że będę miał gotowe przedstawienie już za tydzień. Czy mogłybyście przygotować wasz program w tak krótkim czasie?

— O tak, przypuszczam, że tak — powiedział kos.

— Dobrze — rzekł doktor. — Wobec tego, jeżeli zbierzesz razem około dwunastu samców, odczytam z wami nuty i ustalę dla was tekst pieśni. Przy sposobności, potrzeba mi kilku małych ptaszków, ale to bardzo małych, dla objęcia roli piskląt w gnieździe. Kogo mogłybyście mi polecić?

— Mysikróliki — odparł kos. — Jest to jeden z najmniejszych gatunków ptaków u nas w kraju. Są przy tym bardzo inteligentne. Będzie je pan mógł wszystkiego nauczyć.

— Jak myślicie, czy mogłybyście mi dostarczyć kilka tych ptaków, cztery lub pięć?

— Tak, myślę, że tak — odrzekł kos. — Polecę prosto stąd, dopóki jest jeszcze widno, i rozejrzę się, czy nie będzie choć paru w okolicznych lasach i wsiach.

Chociaż doktor zaczął przygotowania do opery już dawno, dopiero teraz mógł poświęcić jej cały swój czas, dotychczas bowiem mnóstwo przeszkód odrywało jego uwagę. Począwszy od tego ranka aż do chwili otwarcia opery doktor pracował jak szalony

przez cały dzień. I rzeczywiście musiał się troszczyć o wiele różnych rzeczy — chociaż opera, gdy już wreszcie została wystawiona, mieściła się na bardzo małej scenie, nie większej od zwyczajnego pokoju, Jan Dolittle kładł nacisk na to, aby najmniejsze szczegóły zostały wyreżyserowane możliwie najdoskonalej.

Namówił właściciela teatru, aby dekoracje malował sławny artysta. Spędzał całe godziny na omawianiu i wypróbowywaniu rozmaitych szczegółów, tak aby każdy obraz wypadł dobrze: światło księżyca, odbijające się w fali morskiej albo cień wieczorny pod głogami. We wszystkich kwestiach pytał się doktor o radę Pipinelli i kiedy jej się nie podobała jakaś dekoracja, kazał ją malarzowi zmieniać i zmieniać tak długo, aż w końcu kanarzyca była zadowolona.

Podczas prób doktor powtarzał, w miarę możliwości, rozmaite sceny i miejsca oddzielnie. Na przykład, gdy przybyły mysikróliki, ćwiczył z nimi scenę w gnieździe, w której grały one wygłodniałe pisklęta, karmione przez matkę — w starym namiocie, gdzie były całkowicie oddzielone od innych członków trupy. Doszedł bowiem do przekonania, że kiedy wszyscy ptasi aktorzy są razem, zaczyna się ćwierkanie, plotkowanie i praca źle idzie. Właśnie dlatego miał zamiar odbywać próby oddzielnie z poszczególnymi grupami aż do czasu, gdy ptaki dobrze opanują swe role. Chciał je zebrać razem dopiero na przedstawieniu, kiedy będą już tak pewne tego, co mają grać i śpiewać, że nie będzie obaw, by się pomyliły.

Kostiumy operowe nie były bogate i wymyślne, ale okazały się trudne do wykonania. Doktor zdecy-



dował, że tylko największe ptaki wystąpią w przebraniu. Pelikany przebrane były za marynarzy, flamingi za damy podróżujące na statku. Małe, różowe parasolki, dostosowane do koloru ich nóg, zamówiono w fabryce parasoli, położonej w najelegantszej dzielnicy Londynu. Na nogach flamingi miały bufiaste, muślinowe rękawki.

Do szycia kostiumów wezwano, ma się rozumieć, pożyteczną Teodozję. Pani Mugg, która zręcznie posługiwała się igłą, utrzymywała zawsze w porządku garderobę całego cyrku. Uszyła ona dla pelikanów bardzo eleganckie, białe ubrania marynarskie i do tego odpowiednie małe kapelusiki. Kiedy ubrania była już gotowe, wróbel Pyskacz odbył wraz ze swym zespołem wiele prób kostiumowych chóru marynarzy, gdyż naturalnie pelikany musiały nauczyć się poruszać i zachowywać swobodnie w ubraniach, których dotąd nigdy nie nosiły.

— Teraz — rzekł któregoś dnia doktor do Pipinelli, Fifi i innych aktorów — trzeba rozstrzygnąć kwestię instrumentów orkiestrowych. Jaki akompaniament uważacie za najlepszy?

— Rozumie się, zależy to od typu pieśni, którą śpiewamy — odparła Pipinella. — Nic w rodzaju skrzypiec ani fletów. To nie jest żaden akompaniament — to wyścigi. Instrument, przy dźwięku którego kanarki najbardziej lubią śpiewać, to maszyna do szycia. Ale nadawałby się tu również każdy monotonny, brzęczący, mrużący dźwięk.

— Czy nie lubicie fortepianu? — spytała biała mysz, która przysłuchiwała się rozmowie z kąta wozu. — W Puddleby mieszkałam we wnętrzu fortepia-



nu doktora. Znam się dobrze na tym instrumencie. Najbardziej lubiłam stary fortepian, który doktor miał przed swą podróżą do Afryki. Był to niemiecki instrument, wykonany solidnie, nadawał się na ciemne mieszkanie zimowe. Poza pianinami Steinmetza lubię też instrumenty Wilkinsona — to angielski wyrób. Skórkę na młotku mają grubą i mocną. I można w niej ścielić gniazda dla młodych.

— Nie! — rzekła Pipinella. — Fortepian jest za głośny jako akompaniament do śpiewu kanarka.

— To prawda — zgodziła się biała myszka. — Przypominam sobie, że jeden z dawnych pacjentów doktora grywał zwykle na Steinmetzu, czekając, aż Jan Dolittle nadejdzie z ogrodu. Budził on ze snu moje dzieci, tak że musiałam się poskarżyć doktorowi i poprosić go o zamknięcie na klucz pokrywy fortepianu, aby pacjenci nie mogli nam przeszkadzać.

— Potrzebny nam będzie również rzemień do ostrzenia brzytwy — ciągnęła Pipinella — do duetu w zakładzie fryzjerskim na statku. To będzie w trzecim akcie, prawda? Jest to instrument, na którym niezmiernie łatwo jest grać.

— Świetnie! — rzekł doktor, zapisując coś w swoim notatniku. — Rzemień do ostrzenia brzytwy. Na rzemieniu może grać jeden z braci Pinto, a na maszynie do szycia Mateusz. No, a co jeszcze?

— Potrzebny nam będzie łańcuch — rzekła primadonna — do pieśni o brzęczącej uprzęży. Musi to być mały, lekki łańcuszek o srebrzystym dźwięku. Przywiążemy jeden jego koniec do pulpitu dyrygenta i każemy jakiemuś chłopcu potrząsać nim w regularnych odstępach czasu. Dzyń, dzyń, dzyń! Dzyń,

dzyń, dzyń! Dzyń, dzyń, dzyń! Przy czwartym dzyń, dzyń, dzyń — zacznę śpiewać.

— Dobrze — powiedział doktor i znowu coś sobie zapisał. — Co jeszcze? A co będzie z pieśnią wiosenną zięby?

— Będę ją śpiewała bez akompaniamentu — odparła zięba, która miała grać rolę niewiernego kochanka primadonny. — Jej melodia jest tak subtelna i cicha, że każdy inny dźwięk mógłby ją zagłuszyć. Tylko niech pan poprosi publiczność, by podczas śpiewu zachowywała zupełną ciszę, bo inaczej zepsuje całkowicie wrażenie, jakie ma wyrzeć moja pieśń.

— Postaram się o to — rzekł Jan Dolittle i znowu zapisał coś w notatniku. — Zwróć na to uwagę w programach. Czy będzie wam potrzebny jeszcze jakiś instrument?

— Nic poza pocięgłem i młotkiem szewskim — odpowiedziała Pipinella. — Na tym instrumencie trzeba będzie grać bardzo umiejętnie, gdyż użyjemy go jako miary czasu w występach solowych, a także w trio na końcu drugiego aktu, w którym mój towarzysz ucieka z zieloną ziębą i zostawia mnie umierającą na brzegu morza. Będzie on wtedy naśladował krople deszczowe, gra powinna być bardzo cicha.

— Świetnie! — rzekł doktor zamykając swój notatnik. — Tak więc nasza orkiestra będzie się składała z maszyny do szycia, rzemienia do ostrzenia brzytw, łańcucha, i pocięgła szewskiego. Wystaram się o nie jutro i wtedy przećwiczmy cały program wraz z muzyką.

## Zniknięcie primadonny

Przygotowania do opery kanarków szły świetnie, ale na trzy dni przed premierą popsuło się wszystko. Kłopoty, jeden za drugim, spadały teraz na głowę doktora Dolittle.

Przede wszystkim wśród kosów wybuchła poważna epidemia kataru krtani i anginy i mimo słynnego lekarstwa na kaszel szerzyła się wśród ptaków jak ogień. Wobec tego trzeba było nie tylko odwołać próby, gdyż, ma się rozumieć, doktor w obawie, aby nie zaraziły się inne ptaki, nie mógł gromadzić całego zespołu na scenie; należało także uczynić nagłe zmiany w programie opery, gdy okazało się, że kosy na pewno nie wyzdrowieją na czas pierwszego przedstawienia.

Doktor wysłał ptaki z powrotem na wieś (wybuch choroby kładł na karb zbytniego forsowania ich gardłek w złym powietrzu miasta), a Pyskacz zaproponował, że sprowadzi całą gromadę wróbli, aby zastąpić nimi kosy. Tak też zrobiono. Ponieważ te miejskie ptaki nie miały tak pięknych głosów ani tak wytwornej sylwetki jak kosy, zmieniono charakter utworu na rodzaj pieśni komicznej i wypadło to bardzo dobrze.

W gruncie rzeczy doktor uważał, że w jego operze za mało jest pierwiastków komicznych, tak że w rezultacie chór wróbli w czwartym akcie (bezczelne ptaki wyśmiewają się w nim z pelikanów-marynarzy, właśnie przybyłych z obcych krajów) okazał się jednym z najbardziej udanych numerów widowiska.

Następny kłopot — było to nagłe i tajemnicze zniknięcie primadonny na dwa dni przed zapowiedzianą w ogłoszeniach premierą. Nikt nie wiedział, co się z nią stało, a doktor szalał z obawy, że gwieździe jego sceny mogło przytrafić się jakieś nieszczęście. Miał wprawdzie innego kanarka; który mógł zastąpić Pipinellę, ale afisze i wszystkie ogłoszenia kładły nacisk na to, że w przedstawieniu po raz pierwszy wystąpi w Londynie słynna mezzosopranistka, a sama opera będzie historią jej własnego życia. Zniknęła również Jip. W końcu, gdy doktor wysłał wszystkie wróble z Pyskaczem w pogoń za Pipinellą i wezwał na pomoc wszystkie dzikie ptaki z okolic Londynu — znaleziono primadonnę i Jipa na przedmieściu i sprowadzono ich z powrotem do cyrku.

Okazało się, że w sobotę rano Pipinellą zobaczyła za ogrodzeniem cyrkowym kogoś, w kim rozpoznała ukochanego pana, czyściciela okien. Wezwawszy na pomoc Jipa, pofrunęła za nim. Obydwoje biegli śladami tego człowieka przez całe miasto; w końcu w cuchnących zaułkach koło portu Jip zgubił ślad i był zmuszony zaniechać tropienia. Jan Dolittle błagał swą czołową aktorkę, by już więcej nie zniknęła, i oświadczył, że później, gdy przedstawienia rozpoczną się, sam zrobi wszystko, co będzie mógł, by pomóc Pipinelli w odszukaniu jej przyjaciela.

Pipinella przyrzekła więc, że nie będzie więcej uciekała, i próby wznowiono.

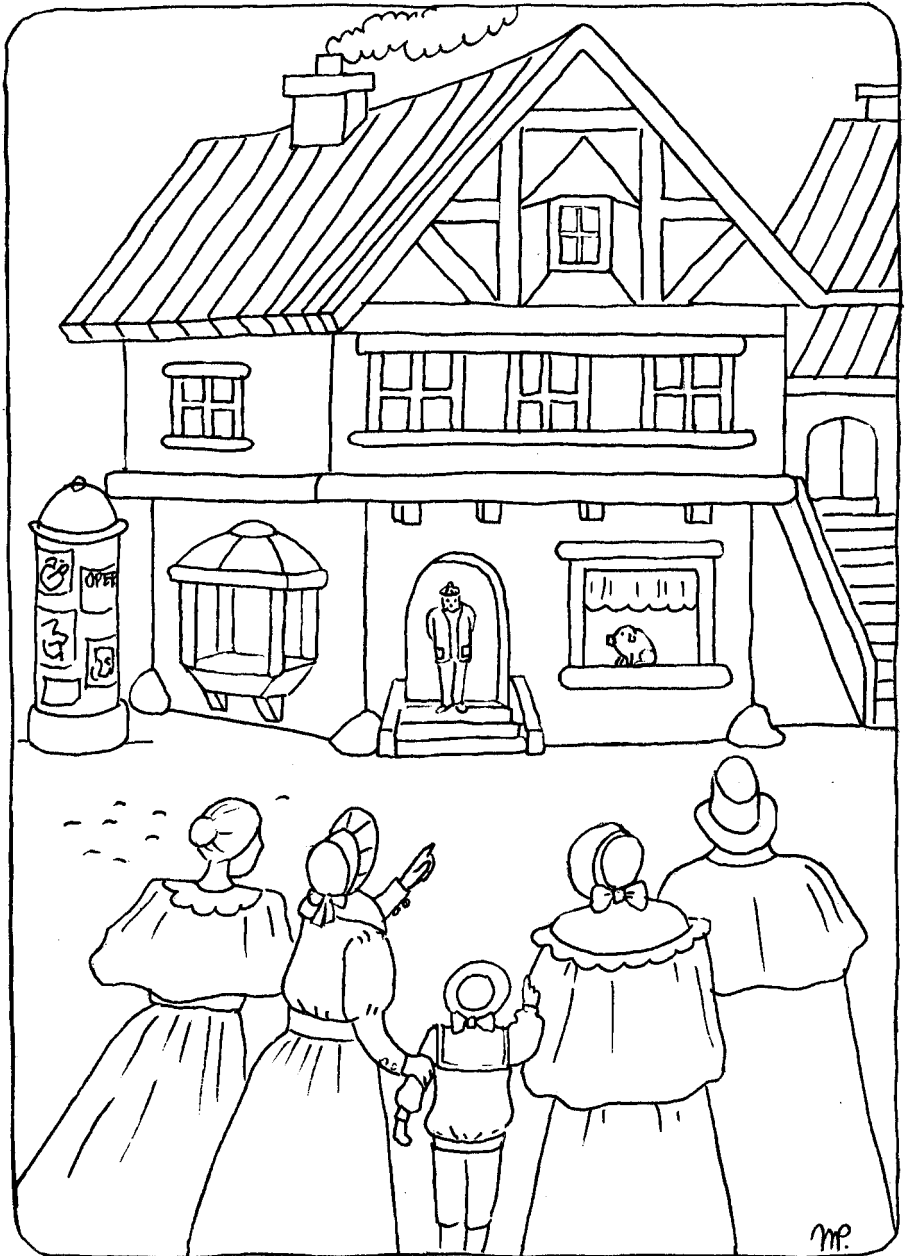
Tego samego dnia doktor przeniósł swoją trupę operową do pomieszczenia w mieście, po to, żeby być bliżej teatru, w którym miały się odbyć ostatnie próby w pełnym ukostiumowaniu.

Oddano doktorowi do dyspozycji duży pusty dom miejski, a w obawie przed dalszymi epidemiami i nieszczęśliwymi wypadkami Jan Dolittle trzymał każdy gatunek ptaków w oddzielnym pokoju. Peli-kany mieszkały w salonie, kanarki w jadalni, flami-angi zajmowały dużą dwuosobową sypialnię na pier-wszym piętrze, wróble — kuchnię, podczas gdy gwiazda Pipinella miała dla siebie osobny pokój, któ-ry był gabinetem poprzedniego właściciela. Doktor sypiał na parterze, a państwo Mugg na pod-daszu.

W tym czasie ptaki były ogromnie podniecone tym, że zbliża się pierwsze przedstawienie. A hałas, jaki robiły bezustannie powtarzając swe pieśni przez cały dzień, był mimo zamkniętych okien frontowych tak wielki, że gromada małych chłopców stała wciąż przed domem, nasłuchując i dziwiąc się, co też może się dziać w środku. Wypadło tak, że tydzień, w któ-rym miało się odbyć pierwsze przedstawienie opery, był tygodniem Bożego Narodzenia. Spacerujących po mieście Geb-Geb, Jipa i innych domowników do-ktora czarował wesoły, świąteczny wygląd sklepów, gdzie w oknach ubranych jemiołą i gałązkami świer-kowymi wystawione były różne smakołyki i eleganc-kie podarunki.

Widzieli wiele ogłoszeń i jaskrawych kolorowych plakatów zapowiadających pantomimy i przedsta-wienia świąteczne dla dzieci. Wśród nich rzucały się w oczy wielkie ogłoszenia o następującej treści:

P I P I N E L L A  
P T A S I A O P E R A ,





W KTÓREJ ŚPIEWACZKA KOLORATUROWA  
PIPINELLA,  
JEDYNY KANAREK MEZZOSOPRAN,  
WYSTĄPI PO RAZ PIERWSZY W LONDYNIE  
W TOWARZYSTWIE SŁYNNIEJ TRUPY  
PTAKÓW-AKTORÓW DRA DOLITTLE  
W TEATRZE WIELKIM  
NA STRANDZIE  
NASTĘPNY PUNKT PROGRAMU  
PANTOMIMA Z PUDDLEBY  
WYSTĄPI W LONDYNIE PO POWROCIE  
Z MANCHESTERU,  
GDZIE ŚWIĘCIŁA SZALONE TRIUMFY

Czytanie tych zapowiedzi pierwszego występu w stolicy było bardzo podniecające.

Jip interesował się jednak w równym stopniu ogłoszeniami o innych przedstawieniach i męczył doktora tak długo, aż ten obiecał wreszcie zaprowadzić całe towarzystwo na występ marionetek albo na jakieś inne widowisko.

W przeddzień pierwszego przedstawienia, wieczorem, odbył się wielki obiad u Pattiego, w znanej restauracji włoskiej na Strandzie, to jest na jednej z najwspanialszych handlowych ulic Londynu. Dyrektorzy teatru wyprawili tę ucztę na cześć doktora Jana Dolittle i jego towarzyszy, dla uświetnienia ich pierwszego występu w Londynie. Doktor włożył swój stary frak, którego nie nosił od czasu, gdy jeszcze praktykował jako lekarz w Puddleby. Przybyli także państwo Mateuszostwo Mugg, kłown Hopp, siłacz Herkules, Henryk Crockett, właściciel teatru

marionetek, bracia Pinto wraz z żonami i Fred, dozorca menażerii.

Była to niezwykle przyjemna uczta, choć podczas drugiego dania frak doktora, za ciasny dla niego, nie wytrzymał i pękł z trzaskiem na plecach, w chwili gdy doktor pochylił się, by porozmawiać z jednym z gości.

Mateusz i Teodozja, których początkowo onieśmiewała wspaniale nakryty stół i piękne suknie żon dyrektorskich i którzy czuli się nieswojo — nabrali znów dobrego humoru dzięki temu niespodziewanemu zdarzeniu i z wielką przyjemnością bawili się do końca wieczoru.

Na zakończenie, przy winie, dyrektorowie, doktor, Mateusz i Herkules wygłosili mowy.

Dyrektorowie mówili o tym, jak bardzo są szczęśliwi, mogąc powitać Jana Dolittle i jego operę w swym teatrze.

Doktor przez cały czas prawił o muzyce i o tym, czym będzie, jak się spodziewa, dla muzyków i kompozytorów rozwój zainteresowań muzycznych w królestwie zwierząt.

Mateusz Mugg wygłosił bardzo długą mowę. Jego pierś pęczniała dumą pod gorseм wypożyczonego fraka, gdy mówił o swych młodzieńczych marzeniach, by zostać aktorem. Oświadczył dyrektorom („koledzy artyści” — oto jak zwracał się do nich w swej mowie), że chwila, w której on i jego partner, sławny Jan Dolittle, witani radośnie w Londynie, mają wystawić w tym mieście swoje najwspanialsze widowisko, „Ptasią Operę”, jest najdonioślejszym momentem w jego życiu. „Zaszczyty, które nas dziś

spotykają, przeczuwałem już wiele lat temu — wołał — gdy namawiałem wielkiego przyrodnika, by zainteresował się działalnością teatralną”.

Mateusz mówił bardzo wiele i powiedziałyby jeszcze więcej, a nawet mówiłyby przez całą noc, gdyby Teodozja nie pociągnęła go za połę fraka i nie nakazała głośnym szeptem, by przerwał.

Herkules przygotował bardzo krótką przemowę, dotyczącą głównie systemu, który pozwolił doktorowi zorganizować cyrk na zasadach spółdzielczych, tak aby wszelkie zyski były dzielone między aktorów. „Ten system — oświadczył — uczynił z niego średniozamożnego człowieka i w krótkim czasie, mam nadzieję, pozwoli mu wycofać się z pracy scenicznej, gdyż ambicją całego jego życia było osiedlić się na brzegu morskim w małej willi z ładnym ogrodem i hodować tam chryzantemy i róże”.

Bracia Pinto, poprosiwszy o głos, oświadczyli, że mowy wygłaszać nie będą, ale gotowi są wykonać sztuki trapezowe na świecznikach wiszących w sali restauracyjnej. Pomysł ich nie został jednak wprowadzony w czyn, gdyż obawiano się, że świeczniki nie okażą się dostatecznie wytrzymałe.

Wreszcie kilku reporterów prasowych, również przybyłych na uroczystość, powitało doktora w Londynie w imieniu prasy. Przyjęcie zakończyło się o godzinie pierwszej w nocy i wszyscy wrócili do domu zadowoleni.

## Pierwsze przedstawienie „Ptasiej Opery”

W ciągu tych dni Dab-Dab niepokoiła się bardzo o zdrowie doktora. Dał się on opanować dziecinnemu entuzjazmowi, jeszcze gorętszemu niż entuzjazm aktorów. Nie przestawał biegać na wszystkie strony i zdawał się być jednocześnie w dwóch lub trzech miejscach, a rozsądna stara gospodyni kiwała ze smutkiem głową, obawiając się skutków takiego postępowania.

— Wiem, że to człowiek o żelaznym zdrowiu — mówiła — ale przez ostatnie trzy dni był na nogach bez wytchnienia i prawie wcale nie spał. Dzięki Bogu, że wieczór premiery się zbliża. Ludzkie siły i mięśnie nie wytrzymałyby dłużej tego tempa pracy.

„Regent” nie był ani małym, ani podrzędnym teatrem. Wielu słynnych aktorów grało w nim sztuki Szekspira. Znany był z tego, że wystawiano w nim najlepsze i najciekawsze widowiska, dyrektorzy cieszyli się doskonałą opinią wśród publiczności, a premiery były oczekiwane z ciekawością przez krytyków teatralnych. W teatrze mieściło się około dwóch tysięcy widzów, scena była duża, zaopatrzona we wszystkie najnowsze urządzenia do oświetlenia, zmiany dekoracji itd.

Dla „Ptasiej Opery” doktor zmniejszył jednak wydatnie scenę, zawieszając dwie ogromne draperie z karnarkowożółtego jedwabiu, które kosztowały dyrektorów mnóstwo pieniędzy. Programy zostały wydruko-

wane na kanarkowożółtym papierze, woźni zaś, którzy wskazywali miejsca publiczności, ubrani byli w liberie z kanarkowożółtego aksamitu.

Jan Dolittle był, ma się rozumieć, zajęty do ostatniej chwili za sceną doglądaniem tysiąca drobiazgów, o których zawsze się zapomina i które pozostają nie wykonane aż do czasu premiery nawet w najlepiej zorganizowanych widowiskach. Pomagali mu Mateusz, Teodozja i Pyskacz, który tego niezwykłego wieczoru kłął więcej niż kiedykolwiek w swoim ptasim życiu. Dwaj współpracownicy, których własnością był teatr, także robili wszystko, co mogli, by pomóc, ale doktor w niewielu sprawach mógł się nimi wyręczyć. Tak więc za kulisami było bardzo gwarno i ruchliwie.

Jip miał się przebrać do swej roli w pantomimie dopiero później, a tymczasem przez pierwszą część wieczoru biegał tam i z powrotem, przynosząc doktorowi wieści z widowni i donosząc, jak idzie sprzedaż biletów w kasie.

— Niech pan posłucha, doktorze — szepnął, gdy pojawił się po raz czwarty, przerywając doktorowi charakteryzowanie jednego z pelikanów marynarzy. — Przed teatrem jest po prostu tłum, trzech policjantów utrzymuje w porządku ludzi, tłoczących się koło kasy. Ogonek ciągnie się w dół aż na ulicę. A właśnie teraz ogromnie wytworny powóz zatrzymał się przed wejściem, wyszły z niego dwie damy i jakiś pan, wszyscy obsypani diamentami. Możliwe, że jedna z tych dam jest królową, kto wie... Ale to pewne, że powóz należy co najmniej do księcia.

Po kilku minutach sprawozdanie Jipa potwierdził

jeden z dyrektorów, który stał przy wejściu, robiąc przegląd teatru.

- Przyjacielu! — zawołał chwytając doktora mocno za rękę. — Zapowiada się, że będzie to najwspanialsza premiera, jaką kiedykolwiek widziano w teatrze... Wszystkie fotele są wyprzedane, teraz sprzedajemy ostatnie miejsca stojące, a jest jeszcze dwadzieścia minut do podniesienia kurtyny.

— Jaka to publiczność, inteligentna? — spytał doktor.

— Najlepsze towarzystwo z miasta — odpowiedział dyrektor. — Niech pan podejdzie i rzuci okiem przez dziurkę w kurtynie. Staraliśmy się specjalnie o pozyskanie muzyków, sfer kulturalnych i arystokracji.

Doktor w towarzystwie dyrektora, Jipa i Geb-Geb podszedł do kurtyny, znajdował się w niej otwór wielkości oka, przez które aktorzy mogli patrzeć na widownię, sami nie będąc widziani.

— No, co pan sądzi o publiczności? — spytał dyrektor, gdy doktor przyglądał się przez chwilę.

— Wielkie nieba! — krzyknął doktor, nie odejmując oka od dziury. — Przecież tam jest Paganini we własnej osobie...

— Pigi-świni! — kwiknęła Geb-Geb. — Kto to jest?

— Paganini! — powtórzył doktor. — Największy skrzypek świata. To on siedzi w piątym rzędzie i rozmawia z siwowłosą panią, siedzącą za nim. Zawsze pragnąłem go poznać. O Boże! To jest ktoś, kto pozna się na muzyce w naszym przedstawieniu.

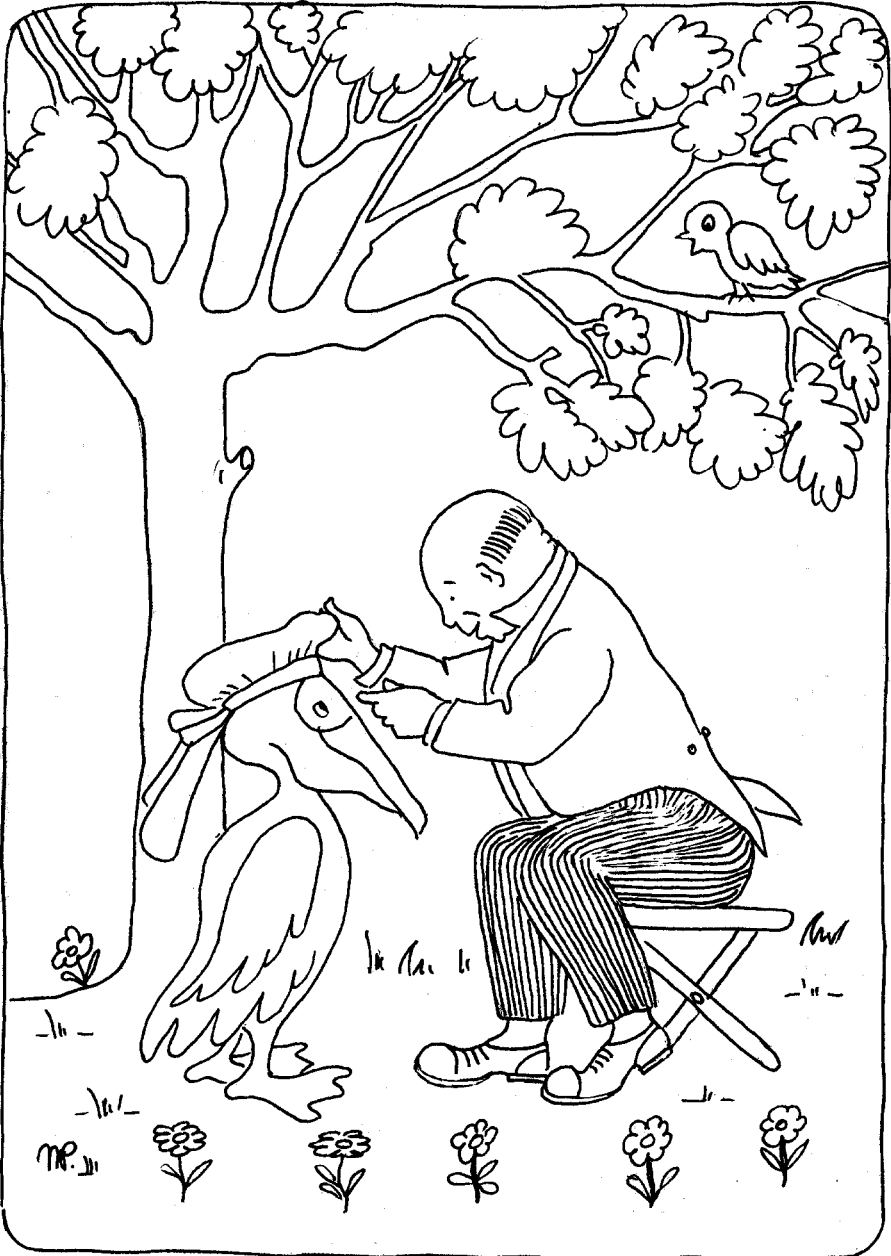
Niezwykła orkiestra opery składała się z Mateusza

Mugga (łańcuch i maszyna do szycia), Jerzego Pinto (brzytwa i rzemień) i jednego członka zwykłej orkiestry teatralnej (pociągiciel i młotek szewski). Gdy muzykanci wkroczyli trzymając swe dziwne instrumenty, ogólny szmer przebiegł przez widownię, która nie wiedziała, co o tym sądzić.

Publiczność wciąż jeszcze napływała, gdy dyrygent (sam Jan Dolittle) podszedł do pulpitu, trzymając zwykłą białą pałeczkę.

Punktualnie o ósmej doktor zwrócił się do widowni i nagle wszyscy umilkli, wyczekując jakiejś mowy lub zapowiedzi.

Doktor powiedział widzom w krótkich słowach, jak i dlaczego stworzył operę ptasią. Rzekł, że choć widowisko to ma bawić i cieszyć, nie powinno być przyjmowane jako farsa, operet czy krotoczwila — taki charakter będzie miała pantomima z Puddleby, która nastąpi po operze. Jeśli chodziło o muzykę, to widowisko traktowano z powagą i jego autorzy czują, że ma ono prawo do zainteresowania i uznania muzyków i kompozytorów, jako pierwsza, nigdy dotąd nie podjęta próba połączenia pomysłów muzycznych ptaka i człowieka. Autorzy spodziewają się, że wybitni muzycy, znajdujący się na widowni, nie będą krytykowali zbyt pochopnie tego, co może się pozornie wydawać szorstkie dla nie przyzwyczajonego ucha, ale wstrzymają się z wydaniem sądu aż do wysłuchania wszystkich czterech aktów. Potem z lekkim ukłonem doktor odwrócił się i stanawszy twarzą do orkiestry, uderzył pałeczką w pulpit, by pobudzić jej uwagę. Widownia wstrzymała oddech (jak to czyni zawsze, nim zabrzmi muzyka) i wszyscy usadowili





się, by słuchać wygodnie i w spokoju. Jan Dolittle podniósł małą, białą pałeczkę, obejrzał się wokoło na swych muzykantów i rozpoczęła się uwertura.

Orkiestra wykonywała istotnie dziwny i zupełnie nowy rodzaj muzyki. Mimo niezwykłego charakteru instrumentów sam efekt był jednak bezsprzecznie muzyczny. Uwertura, choć bardzo krótka, w ciągu kilku chwil przebiegła przez wszystkie motywy, akompaniamenty i takty licznych pieśni operowych. Srebrzysty brzęk łańcucha, jednostajny turkot maszyny do szycia, rap-tap-tap młotka i kopyta i miękkie zss-zss rzemienia do ostrzenia brzytwy utworzyły mieszaninę dźwięków nieoczekiwanie przyjemną dla ucha.

Część publiczności zaczęła śmiać się, ale inni słuchacze najwidoczniej nie byli skłonni do drwin. Pewna starsza pani w okularach w jednym z pierwszych rzędów pochyliła się naprzód i powiedziała do swej sąsiadki, że muzyka ta przypomina jej jazdę saniami w Rosji, przed laty.

Doktor słyszał jej szept, gdy mówiła: „Konie pędziły galopem wzdłuż pokrytego śniegiem wybrzeża tak blisko wody, że piana morska rozpryskiwała się od czasu do czasu wkoło nas. Dźwięczało to zupełnie tak samo: dudnienie kopyt, brzęczenie uprzęży, wycie wiatru i szum morza. Przypominam sobie, że mówiłam do mojej siostrzenicy, która była wtedy ze mną, że mógłby to być wspaniały motyw operowy, gdyby tylko jakiś kompozytor mógł go usłyszeć! Jestem szczęśliwa, że przyszedłam tu dziś wieczorem”.

Po pięciu minutach uwertura zacichła i publiczność poruszyła się znowu wyczekująco na swych

miejskach, widząc po zmianie świateł wkoło sceny, że kurtyna podniesie się niebawem w górę.

Doktor nasłuchiwał teraz jednym uchem, czy ktoś z widzów nie wychodzi. Obawiał się, że wobec tak dziwnego i nieoczekiwanego widowiska — znajdują się ludzie, którzy wyjdą z teatru już po uwerturze. Ale nikt nie opuścił swego miejsca. Jeśli nawet ktoś ze słuchaczy nie był zachwycony, to wszyscy czekali jednak z zainteresowaniem. Kiedy wreszcie kurtyna podniosła się powoli i cicho w górę, ogólny, przytłumiony szmer zachwytu rozległ się w całej sali, tak niezwykle był widok roztaczający się na scenie.

## Rozdział VIII

### Dramat życia Pipinelli

Na pierwszy rzut oka cała scena zdawała się być zajęta przez jedną olbrzymią klatkę ptasią. Gdy się jednak spojrzało uważniej, można było dostrzec w głębi pokój. Dekorację zrobiono w ten sposób, by widzowie mieli wrażenie, że to oni sami siedzą w klatce i. przez jej pręty patrzą na świat. Za grubymi kratami, tyczkami i miseczkami z wodą i z siemieniem służąca (pani Mugg) odkurzała meble i krzątała się spokojnie.

Snop złotego światła słonecznego, który padał z okna, znajdującego się w głębi sceny, oświetlał klatkę i pokój, w którym ona zdawała się wisieć; wysoko w przedniej części klatki, najbliżej widowni, umieszczono gniazdo, z którego wyglądała głowa kanarzycy, wysiadującej jaja. I choć klatka była olbrzymia,

a gniazdko i ptaki maleńkie, całość nie wyglądała dziwnie ani nieproporcjonalnie. Natomiast widzom wydawało się, że są również bardzo mali i siedzą w klatce razem z kanarkami.

Kiedy służąca podeszła bliżej i wsunęła liść sałaty między pręty klatki, można było dostrzec, że jej potężna postać, wypchana, w specjalnym obuwiu, została celowo wyolbrzymiona, tak by nie wydawała się za mała w stosunku do klatki.

Poza tym zastosowano jeszcze inne sposoby oświetlenia, nawet szybki ze szkieł powiększających, tak że drobniutkie ptaszki stały się dokładnie widoczne nawet z ostatnich rzędów teatru.

Nagle ptak, który dotąd siedział nie zauważony na dnie klatki obok dzbanuszka z wodą, skoczył na pręt i stanął pośrodku klatki w pełni słonecznego światła. Jego jasne pióra widziane od strony ciemnej widowni migotały złotym blaskiem. Ptak ten grał rolę ojca Pipinelli — pierwszy akt przedstawiał dzieciństwo primadonny, a na scenie była klatka i gniazdo, gdzie się urodziła.

Po chwili kanarek-ojciec dziobnął trochę sałaty, skoczył na górne pręty i zaczął karmić swoją żonę, siedzącą w gniazdku. Potem samiczka podniosła się i karmione pisklęta odegrały świetnie swoje role. Szczególnie ten ptaszek, który grał rolę Pipinelli w wieku niemowlęcym, był doskonały. To on — największy urwis w rodzinie — wyrывał innym ptakom jedzenie sprzed dzióbka i co chwila o mało nie wypadał z gniazda.

Gdy kanarzyca-matka zasiadła wreszcie znowu w gnieździe, ojciec powrócił do snopa światła słone-

cznego i zwróciwszy się nagle do widowni, zaśpiewał pierwszą arię opery. Była to tylko krótka, łatwa pieśń, mówiąca głównie o sałacie i blasku słonecznym, ale — pełna polotu — zachwycała publiczność.

Mateusz, który grając na maszynie do szycia ukradkiem obserwował widownię, zauważył, jak nieliczne dzieci, znajdujące się w teatrze, reagują na przedstawienie. Mniej niż dorosłych interesowała je sama muzyka. Śmiały się wtedy, kiedy miały ochotę do śmiechu, i wstrzymywały oddech w szczerym zdumieniu, gdy były bardzo przejęte. Zachwycały się gniazdkiem, a szczególnie niegrzecznym pisklęciem, które, jak się domyślamy, miało przedstawiać małą Pipinellę. Gdy tylko wysuwała ona dzióbek spod skrzydła matki, próbując naśladować śpiew ojca, dzieci wybuchały śmiechem. Ich śmiech był tak zaraźliwy, że ogarnął wkrótce całą publiczność.

Pod koniec pierwszego występu solowego, uciszwszy swą maszynę do szycia, Mateusz nabrał pewności, że zanosi się na dobre przyjęcie opery. Publiczność była w znakomitym humorze już teraz, choć nie słyszała jeszcze żadnego z chórów, a najpiękniejsze dekoracje i kostiumy nie zostały pokazane.

Przy końcu pierwszego aktu, doktor, chociaż był tak ciekawy uwag publiczności, musiał porzucić pulpit dyrygenta i biec pośpiesznie za kulisy. Przygotowywano tam setki rekwizytów do następnego aktu, a doktor chciał wszystkiego dopilnować osobiście.

Spotkał go tam niebawem jeden z dyrektorów, który był na sali i badał sytuację.

— No, jak im się podoba? — spytał doktor.

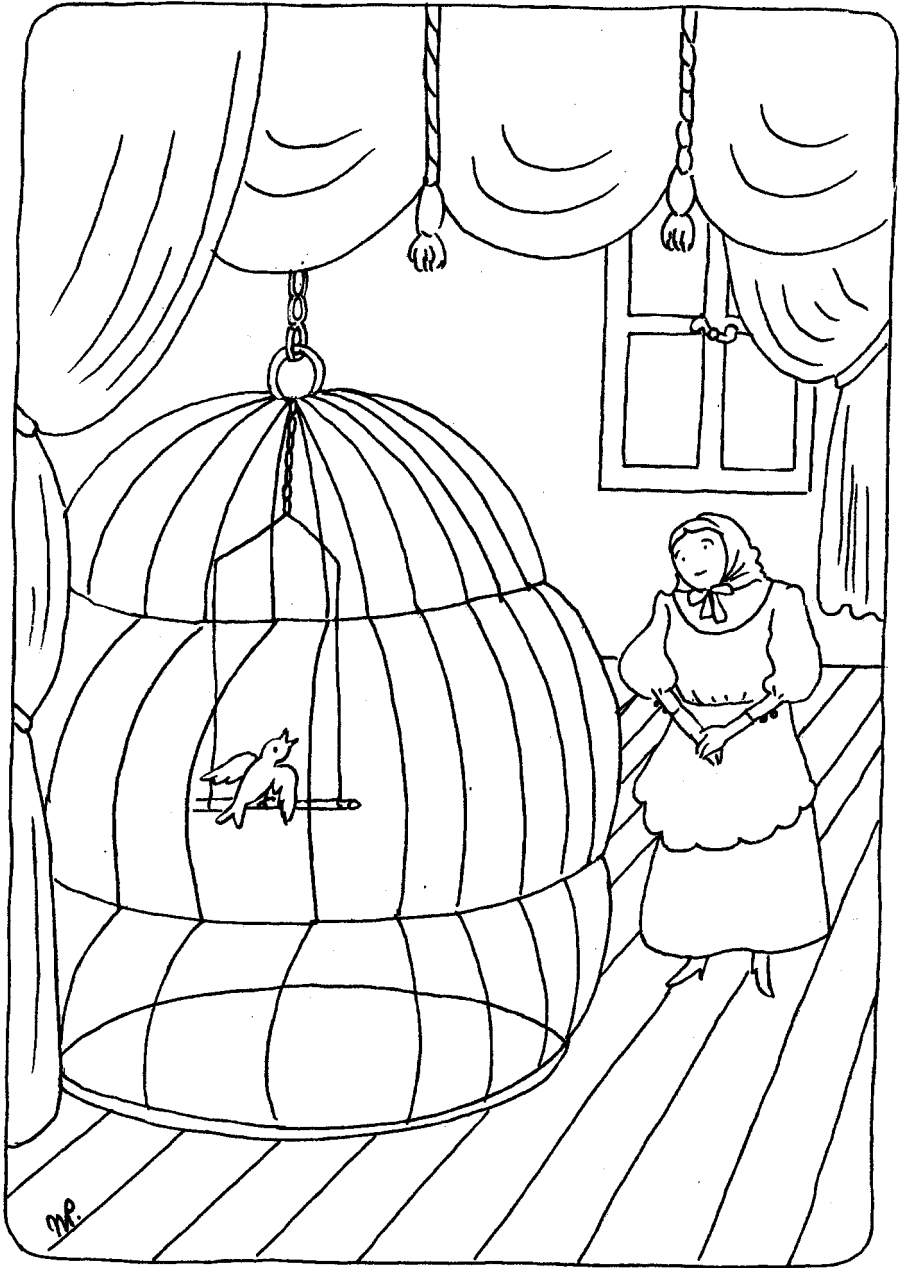
— Trudno powiedzieć — odrzekł dyrektor. — Za-

interesował ich pan. Co do tego nie ma wątpliwości, Nigdy nie widziałem równie spokojnego i czekającego z zainteresowaniem audytorium. Jeśli chodzi o muzykę, nie jestem pewien, czy ją zrozumieli nawet najwięksi znawcy. Ja sam nie wiem, czy ją zrozumiałem. Ale, jeśli nie jestem złym prorokiem, będzie się o tym dużo mówiło. To czasami lepsze niż zachwyty widowni. Wszystko, co wywołuje dyskusję i różnicę zdań, zaciekawia publiczność — ludzie chcą wówczas wszystko sami zobaczyć i ocenić. Chciałbym, żeby pan choć na chwilę mógł wyjść na widownię. Jeszcze nigdy w życiu nie widział pan tylu zaciekawionych widzów.

— A jak ocenia przedstawienie Paganini? — spytał doktor zawiązując kapelusik marynarski na głowie pelikana.

— Niewiele mówi — odpowiedział dyrektor — ale myśli z natężeniem. Siedzi jak zawsze otulony w płaszcz swego szatańskiego spokoju. Ale i on jest zaciekawiony. Gdyby tak nie było, wyszedłby już dawno, może pan być pewien. Wynik będzie zależał od tego, jak potraktują nas krytycy. Jeśli poświęcą nam jutro dużo miejsca w gazetach, wszystko będzie dobrze. Doświadczenie mówi, że — jeśli chodzi o przedstawienia muzyczne — nic nie szkodzi, gdy krytycy wygłaszają ujemne zdanie, aby tylko mówili dużo. Dyskusja — tego właśnie nam potrzeba. I zdaje się, że będziemy jej mieli pod dostatkiem.

W drugim akcie zjawiała się po raz pierwszy Pipinella we własnej osobie. Doktor specjalnie dopiero teraz wprowadzał ją na scenę, by oszczędzić głos primadonny, która odtąd bezustannie grała przez dal-



sze trzy akty. W akcie było kilka odsłon, a gdy kurtyna spadała, podczas przerw grała zwykła orkiestra teatralna. Pierwsza scena rozgrywała się w zajezdzie.

Kanarki śpiewające sopranem są rzadkością, zaś do oceny pięknego głosu Pipinelli nie potrzeba było specjalnie wyrobionego ucha. Pierwsza pieśń, którą śpiewała primadonna — "Wyjdz, dziewczę, dylizans nadjeżdża" — uzyskała szalony sukces. A gdy ptak zaśpiewał „Dźwięczącą uprząż” przy akompaniamentnie łańcucha Herkulesa-siłacza, niektórzy słuchacze byli tak zachwyceni, że powstali z miejsc i krzykali: „bis!”

Kapelmistrz skinął na orkiestrę i pieśń została powtórzona.

Potem nastąpiła scena ze starym Jackiem i pieśń skomponowana dla niego. Wreszcie wesoły marsz „Jestem dzieckiem pułku”, który dosłownie podbił cały teatr. Liczni pracownicy teatru, jak było zaplanowane, maszerowali za sceną w takt pieśni. Tym razem publiczność domagała się dwukrotnego bisowania, ale i to nie wystarczyło — niektórzy ludzie wołali, by śpiewano jeszcze raz, tak długo, póki kapelmistrz Dolittle nie wycofał się szybko, aby nie nadwerżyć i nie sforsować głosu czołowej śpiewaczki.

Ma się rozumieć, że w jednej operze nie można było ująć wszystkich zdarzeń, które zaszły w burzliwym życiu Pipinelli. Pokazano w niej najważniejsze przeżycia: dzieciństwo, chwile spędzone w zajezdzie, wędrówki z żołnierzami, podziemne życie w kopalni węgla. Była to bardzo wzruszająca scena, pano-

wały ciemności, blask dawała tylko mała lampa górnicza, oświetlająca drewnianą klatkę na czarnej ścianie, a zza sceny bezustannie rozlegały się dzwoniące odgłosy kilofów i łopat.

Potem następował pobyt Pipinelli u ciotki Róży, którą grała dzielna pani Mugg, spokojne życie w wiatraku, burza przepięknie zainscenizowana, moment, gdy klatka Pipinelli zostaje zerwana przez wiatr, jej ucieczka przed kotem (do tej sceny doktor pożyczył z teatru kota, który grał swą rolę ze zdumiewającą zręcznością), spotkanie Pipinelli z drugim mężem i okrutne porzucenie jej na brzegu morskim, lot nad morzem i lądowanie na wyspie. W ten sposób kończył się trzeci akt. Interesujące było śledzić przez cały ten czas, jak Jan Dolittle starał się ująć w obrazach scenicznych życie Pipinelli, tak aby ludzie, którzy nie rozumieli mowy aktorów, mogli zobaczyć jasno, co dzieje się na scenie. Pisząc libretto wraz z Pipinellą, doktor często powtarzał, że sztukę — niezależnie od tego, czy jest ona muzyczna, czy nie — należy zbudować tak, aby publiczność była w stanie zobaczyć to, co się dzieje, nawet nie słysząc słów.

W „Ptasiej Operze” udało się to istotnie. Uwagi dorosłych ani dzieci nie uszło nic z tego, co pokazywano na scenie, nawet ogólny sens pieśni był dla nich jasny, chociaż nie rozumieli języka, w którym były one śpiewane.

Bez wątpienia zarówno pod względem muzycznym, jak i poetyckim najbardziej zachwyciła publiczność scena na brzegu morskim. W niej śpiewano tę czarowną, tajemniczą pieśń miłosną, podczas gdy Pipinella i jej małżonek szukali miejsca na uwicie gnia-



zdka. Światła na scenie przyćmiono, aby wywołać wrażenie bladego zmierzchu wieczornego, i tylko lekki odbłask zachodu rumienił niebo i morze. W wielkim, przepełnionym ludźmi teatrze słychać było odgłos spadających kropli, podczas gdy ptak gruchał i szeptał swą wzruszającą serenadę, na którą od czasu do czasu odpowiadała spoza sceny jego towarzyska, Pipinella.

Starsza pani z pierwszego rzędu wyjęła chustkę do nosa i zaczęła płakać. A gdy Pipinella przekonawszy się, że porzucił ją niewierny kochanek, rozpostarła skrzydła, by lecieć przez ocean do obcych krajów, pani ta głośno szlochała. Rozweseliła ją dopiero scena na statku oraz chór swawolnych marynarzy pelikanów, którzy z głośnymi okrzykami zjawili się u okrętowego fryzjera, aby dać się ogolić w takt melodii duetu brzytwy i rzemienia. Łzy współczucia starszej damy zamieniły się szybko w pomruki zadowolenia z wesołych dowcipów zachrypniętego basa.

Gdy tylko kurtyna opuściła się przy końcu ostatniego aktu, doktor, nie zważając na oklaski i okrzyki, pobiegł za kulisy, żeby spojrzeć na swoją trupę. Zaledwie jednak dobiegł do ubieralni, jeden z dyrektorów chwycił go za ramię:

— Połowa publiczności chce pana zamordować, a połowa pragnie uściskać — zawołał prawie bez tchu. — Jedni mówią, że jest pan oszustem, a inni uważają za geniusza. W każdym razie musi pan wygłosić mowę. Czy pan słyszy, jak pana wywołują? Przynoszę też specjalne polecenie od Paganiniego. Pragnie poznać pana, zanim rozpocznie się pantomima.

## Triumf i powodzenie

Ów dziwaczny geniusz, Paganini, wówczas gdy Jan Dolittle spotkał go po raz pierwszy, cieszył się już od lat taką światową sławą, jakiej nikt jeszcze w życiu nie osiągnął. Jak wspomniałem, doktor zawsze pragnął go poznać od czasu, gdy jako młody człowiek słyszał go grającego w Wiedniu. Zawołał więc zaraz Mateusza Mugga i udzieliwszy mu kilku pośpiesznych wskazówek, dotyczących pantomimy, podążył za dyrektorem na widownię.

Niccolo Paganini był wysokim, szczupłym mężczyzną o chudej twarzy, otoczonej kręconymi włosami. Niektórym ludziom przypominał samego szatana. Paganini powstał, gdy doktor zbliżył się do jego fotela, a potem, potrząsając jego ręką, z dziwnym, osobliwym ukłonem poprosił go o zajęcie miejsca obok siebie. Wtedy wiele osób na widowni wyciągnęło szyje, pokazując go sobie i szepcząc cicho. Dyrektor, który znowu powrócił za kulisy, cieszył się bardzo, gdyż oryginalna postać wielkiego skrzypka znana była wszystkim, a fakt, że posyłał on specjalnie po twórcę opery, świadczył o tym, iż dziwna nowa muzyka, którą doktor zaprezentował publiczności, znalazła jego uznanie. Musiało to wyrzucić wielkie wrażenie na krytykach.

— To, co nam pan pokazał, jest niezwykle interesujące — rzekł poważnie Paganini. — Czy pan sam gra na jakimś instrumencie?

— Owszem, na flecie — odpowiedział doktor — ale tylko po amatorsku.

— Hm! A czy komponował pan już wcześniej utwory muzyczne?

— Nie — rzekł Jan Dolittle. — A i ta muzyka nie jest moim dziełem. Skomponowały ją same ptaki. Ja uporządkowałem ją tylko, zorkiestrowałem, a i to także pod ich kierunkiem.

— Rzeczywiście? — spytał Paganini. — Ale w jaki sposób dowiedział się pan, jakie są ich życzenia?

— O, bo ja... ja... ja znam mowę ptaków — powiedział doktor nieśmiało. — Ale zazwyczaj nie lubię o tym mówić.

— Dlaczego?

— Bo ludzie śmieją się ze mnie.

Ku zdziwieniu doktora Paganini nie okazywał ani trochę podejrzliwości czy niewiary.

— Jaka to głupota z ich strony — powiedział ze spokojem, a jego płomienne oczy rozjaśniły się tajemniczym blaskiem. — Tylko głupiec mógłby słuchać pańskiej opery, nie domyślając się od razu, że przez całe lata musiał pan rozmawiać z ptakami i zwierzętami po to, aby tak cudownie wyrazić muzyką ich myśli. To przecież takie proste, pierwotne, naturalne. W pana ariach zawarte są tony tak wysokie, że zwykłe ucho ludzkie nie może ich dosłyszeć. Ale ja mam niezwykle ucho i mogłem je słyszeć dokładnie, podczas gdy większość słuchaczy dziwiła się, dlaczego ptak ma wciąż jeszcze otwarty dziób, gdy pieśń już umilkła.

— Tak, Pipinella mówiła mi o tym — potwierdził doktor. — Jest jedno takie miejsce w „Pieśni o brzę-

czącej uprząży", a drugie w „Pieśni miłosnej zięb", gdzie nuty wykraczają poza granicę tonów, które może złowić ludzkie ucho.

— Obdarzył nas pan bardzo pięknym przedstawieniem — rzekł Paganini. — Mam nadzieję i liczę na to, że w Londynie znajdzie się dosyć muzykalnej publiczności, by ocenić to, czego pan dokonał.

Tymczasem rozpoczęła się pantomima, której towarzyszyła zwykła orkiestra teatru „Regent". Doktor, dziękując za wyrazy uznania wielkiemu muzykowi, udał się z powrotem za kulisy. Czuł, że jest wynagrodzony za wszystkie trudy, nawet gdyby już nikt inny nie zrozumiał dzieła, które pokazał światu.

W gruncie rzeczy ani doktor, ani dyrektor teatru nie mieli tego pierwszego wieczoru nawet pojęcia, jakie szalone wrażenie wywołała opera. Był to bowiem ten rodzaj sukcesów, które zaczynają się spokojnie, ale rosną i rosną z każdą chwilą. W końcu „Ptasia Opera", ostatnie wielkie osiągnięcie doktora jako kierownika teatru, stała się nie tylko wielkim wydarzeniem w historii cyrku Jana Dolittle, ale największym przebojem londyńskiego sezonu muzycznego.

Tego nie spodziewał się na razie nikt mimo wielkiego powodzenia premiery. Po przedstawieniu doktor polecił, by nazajutrz rano dostarczono mu do jego wozu egzemplarze wszystkich pism londyńskich.

Zdania były bardzo podzielone. Jedni krytycy mówili dobrze o operze, inni znowu bardzo źle, ale wszyscy poświęcali jej dużo miejsca. Kilku krytyków nazwało ją największym wydarzeniem kulturalnym stulecia, rewolucją w dziedzinie muzyki. Inni znów nie znajdowali dość słów, aby ją potępić.

„Najohydniejsze oszustwo — pisała jedna z gazet — jakie kiedykolwiek popełniono na inteligentnej publiczności, zostało wczoraj wieczorem wystawione w teatrze «Regent», gdzie właściciel menażerii nazwiskiem Dolittle zgromadził na scenie mnóstwo piszczących ptaków i dodał im akompaniament orkiestry, złożonej z brzęku patelni, młotów, noży do ostrzenia brzytwy i pociągła”.

Większość pism była jednak ostrożna i nie dawała konkretnej oceny, czekając na głosy przedstawicieli świata muzyki. Te nazywały operę „bardzo interesującą”, „niezwykłą”, „nową”, „subtelną”. Obecność Paganiniego i jego widoczne uznanie dla przedstawienia wpłynęło silnie na większość opinii.

Wszystkie te krytyki — dobre i złe — sprawiły, że zainteresowanie operą było ogromne. Coś, co mogło wywołać tyle różnorodnych ocen, musiało być ciekawe. Toteż drugiego wieczoru teatr był jeszcze bardziej przepełniony niż pierwszego. Poza tym na całe tygodnie w kołach towarzyskich stolicy, w których mówi się o muzyce i innych sztukach pięknych, opera kanarków stała się głównym tematem rozmów. Signor Paganini oblegany był przez reporterów pism, proszących go o wyrażenie swej opinii o operze. U znanych kompozytorów, spotykanych w pierwszym tygodniu w teatrze „Regent”, zamawiano artykuły do pism o operze kanarków. Zgadziali się na to — a niektórzy z nich w dalszym ciągu potępiali w mocnych słowach „blagę” opery. Różnice zdań, ścieranie się poglądów, spowodowały, że teatr był co wieczór coraz bardziej przepełniony.

Wkrótce wyłoniła się w prasie nowa kwestia, do-



starczająca jeszcze więcej tematów do rozmów: kim jest ten tajemniczy doktor Dolittle? Czy rzeczywiście, jak mówił Paganini, mógł on rozmawiać z ptakami w ich własnym języku? Pusty dom doktora w zachodniej dzielnicy i jego wóz cyrkowy były teraz przez cały dzień oblegane przez dziennikarzy, którzy chcieli widzieć właściciela i dowiedzieć się, czy ten nieprawdopodobny fakt jest prawdą.

Doktor bronił się przed tym wypytywaniem go, oglądaniem i badaniem przez cały dzień, toteż przebiegał się, uciekał i ukrywał przed ludźmi. Nie zawsze jednak mu się to udawało, dopiero Herkules uratował go swoim pomysłem. Zaproponował, że będzie wkładał cylinder doktora i siedział przez cały dzień na krześle z poduszką pod kamizelką, udając doktora i pozwalając się rysować i wypytywać.

Stąd pochodzą te wszystkie dziwne portrety Jana Dolittle, które ukazywały się w owym czasie w pismach londyńskich, oraz niektóre dziwaczne wypowiedzi na temat muzyki, które jakoby doktor wygłaszał wobec dziennikarzy. Chociaż poczciwy Herkules nosił na głowie cylinder doktora, który zresztą musiał wypchać, to jednak nie miał w swej głowie rozumu doktora. Co się zaś tyczy muzyki, to nasz atleta nie umiał odróżnić jednego tonu od drugiego.

Dyrektorzy teatru „Regent” byli naturalnie zachwyceni całą tą krytyką i reklamą. Jedyne kwestią czasu było to, że wszyscy mieszkańcy Londynu zechcą usłyszeć operę.

Przy końcu pierwszego tygodnia popyt na bilety był istotnie tak wielki, że zaczęto poważnie zastanawiać się nad tym, czyby nie przenieść opery do in-

nego, większego teatru, aby pomieścić tłumy chętnych, którzy codziennie odchodzili od kasy bez biletów.

Najbardziej cieszyły się z powodzenia doktora w Londynie jego własne zwierzęta. Co wieczór, gdy aktorzy pantomimy z Puddleby składali swój ostatni ukłon przed kurtyną, gromadzili się potem w garderobie, aby zdjąć kostiumy i pogawędzić o przedstawieniu.

— Gdybyśmy tylko potrafiły — powtarzała Dab-Dab po raz dwunasty — powstrzymać doktora, aby nie wydał wszystkich pieniędzy, które zarobi! Nie mam pojęcia, jaką umowę zawarł on z właścicielami teatru, w każdym razie, przy takim napływie publiczności, powinien zarobić na tym co najmniej mająteczek.

— Tak, ale pomyśl o tym — powiedział Jip, ściągając przez głowę swój kostium pierrota — że inni członkowie cyrku dzielą z nim jego zarobek. Wszyscy — Herkules, kłown Hopp, właściciel Toby'ego, właściciel teatrzyku marionetek, państwo Mugg, bracia Pinto. Nawet ogromna ilość pieniędzy, podzielona między ośmiu ludzi, nie wyniesie wcale tak dużo.

— Nic nie szkodzi — rzekła Dab-Dab i wytarła lusterko swą spódniczką baletową, którą dopiero co zdjęła. — I tak będzie to duża suma. Mam nadzieję, że doktor nie założy nowych przytułków dla starych koni albo chorych kotów i nie wyda wszystkich pieniędzy, za które moglibyśmy wrócić do Puddleby.

— Stare, kochane Puddleby — mruknął Jip i wsadził głowę w swoją słynną złotą obrożę, która wciąż jeszcze stanowiła jego codzienne ubranie. — Jakaż



by to była radość zobaczyć znów stary ogród i rynek, i most, i rzekę.

— I dom — westchnęła Dab-Dab. — Biedny dom zawali się wkrótce, jeśli nie zostanie odnowiony.

— Wydaje się, że nie byliśmy tam już wieczność — zakwiczało prosię. — Przeklęty klej, jak to się trzyma! Gdyby Teodozja mogła znaleźć inny sposób umocowywania mojej peruki. Ogród warzywny zdziaczał już pewnie zupełnie, a grządki rabarbaru z pewnością zagłuszyło zielsko.

— Ja — odezwał się Sus ze smutkiem — nie mogę brać udziału w waszej radości, gdyż razem z Tobbym zostaniemy tutaj. Gdy doktor porzuci cyrk, nie zobaczymy go już pewnie nigdy. Nie możecie więc wymagać od nas, abyśmy się cieszyli z jego zarobków. To będzie straszne, gdy wyjedzie. Zmienił przecież zupełnie całe życie w cyrku. Mój pan jest porządnym człowiekiem, stary Crockett, pan Tobby'ego, również, ale świat nie będzie już dla nas tym, czym jest, gdy zabraknie wśród nas Jana Dolittle.

— O tym jeszcze nie myślałem — rzekł Jip. — Ale nie traćcie humoru. Może się znajdzie jakieś wyjście. Teraz doktor ma już całą gromadę psów. Może Hopp i Crockett, gdy się wzbogacą, pozwolą wam pojechać razem z nami i z doktorem do Puddleby. Byłoby to strasznie przykre, gdyby nasza rodzina miała się rozlecieć.

## Reklama zwierząt

Powodzenie teatru miało wpływ na przedsiębiorstwo cyrkowe. Gazety w swoich codziennych wzmiankach o operze i o znanych osobistościach, które znajdowały się wśród widzów, donosiły również o niezwykłym nowoczesnym cyrku prowadzonym na przedmieściu przez nadzwyczajnego Jana Dolittle. I wkrótce tak zwane wyższe sfery, które nigdy nie chodzą do cyrku, zaczęły tłumnie do niego napływać.

Wielu wpływowych ludzi, dbających o dobro zwierząt, głosiło zasadę doktora, opowiadając o znakomitych warunkach życia wszystkich członków trupy cyrkowej. Sprowadzono do cyrku dzieci ze szkół, które częstowano herbatą i pierniczkami; spędzały tu rozkosznie czas w towarzystwie doktora, Mateusza, Teodozji i wszystkich zwierząt, uczestniczących w przedstawieniu.

Na początku drugiego tygodnia stało się coś nieprzewidzianego, mającego związek z sukcesami doktora: chodzi mianowicie o reklamę zwierząt. Gazety i publiczność łamały sobie wciąż głowy nad zagadnieniem, czy Jan Dolittle — albo „czarownik z Puddley", jak go nazywało wielu dziennikarzy — naprawdę może się porozumiewać ze zwierzętami i ptakami w ich języku. To, że potrafi organizować najrozmaitsze nadzwyczajne rzeczy, jak chóry ptaków, nie ulegało już żadnej wątpliwości. Tak samo wiadomo było, że doktor posiadał bezsprzecznie najbardziej tajemniczy dar wpływania na zwierzęta,

by odgrywały swe role bez przymusu, swobodnie i naturalnie.

Pytanie, czy istotnie doktor umie z nimi mówić, pozostawało jednak wciąż nie rozstrzygnięte i było gwałtownie dyskutowane.

Mimo publicznego rozgłosu doktor zachowywał swą zwykłą skromność. Odmawiał wszelkich wyjaśnień na ten temat. Jego praca ze zwierzętami, jak mówił, wynikała z ich własnej woli, a czy przy tym doktor mówił z nimi, czy nie, ludzie powinni byli sami osądzić, patrząc na rezultaty tej pracy.

Zaczęło się więc od tego, że doktor zaczął otrzymywać dużo listów od przedsiębiorców z zapytaniem, czyby nie wypożyczył im swych zwierząt dla celów reklamy. Obiecywano za to dużą zapłatę. Fabrykant klatek dla ptaków pisał, że gotów jest płacić dziennie dwadzieścia funtów znakomitej koloraturowej śpiewaczce Pipinelli, gdyby zechciała w oknie wystawowym jego sklepu pokazywać zalety jego klatek; wystarczyłyby na to trzy godziny dziennie, czyli — innymi słowy — ofiarowywał primadonnie siedem funtów za godzinę. Za tę sumę miała tylko wlatywać i wylatywać z klatki, aby pokazać, że woli klatkę fabrykanta od życia na wolności, gdyż jest ona tak wygodnie i doskonale wykonana.

Pisał też do doktora fabrykant kiełbas i ofiarowywał mu równie wysokie honorarium dla Geb-Geb, gdyby zechciała pokazywać figle Pantalona w jego wystawie. Miała ona, zupełnie tak jak w pantomimie, skakać przez sznur, który tym razem byłby sznurem serdelków, pochodzących ze słynnej wytwórni kiełbas.

Wielka restauracja chciała zaangażować dwugłow-

ca do noszenia plakatów. Miałyby tylko przejść przez kilka głównych ulic w pobliżu restauracji z tablicą na grzbiecie, na której byłby napis:

WYJEŹDŻAJĄC LUB PRZYJEŹDŻAJĄC,  
WSTĄPCIE NA OBIAD  
DO RESTAURACJI MERRINANA.  
MENU — JEDEN SZYLING SZEŚĆ PENSÓW.

— Wielki Boże! — zawołał doktor po przeczytaniu kilku takich listów. — Chciałbym wiedzieć, za kogo nas ci ludzie biorą. Nie wyobrażałem sobie, żeby można było robić zwierzętom takie brutalne i obraźliwe propozycje.

— Nie jestem wcale tego taki pewny, doktorze — odezwał się karmiciel kotów pocierając w zamyśleniu podbródek.

— Czego nie jesteś pewny, Mateuszu? — zapytał doktor.

— Nie jestem pewny, czy powinien pan te propozycje tak całkowicie odrzucić — powiedział Mateusz. — Przypuśćmy, że klatki tego jegomościa są naprawdę lepsze od innych. Co by w takim razie szkodziło, gdyby im Pipinella zrobiła reklamę. Ja na pana miejscu nie dałbym tym firmom tak od razu kosza, ale zaproponowałbym im urządzenie reklamy przez zwierzęta na swój sposób. Zrobiliby pan tym dużo dobrego i zarobił kupę pieniędzy.

— Nie bardzo cię rozumiem, Mateuszu — powiedział doktor. — Sam pomysł jest dla mnie wstrętny, a sądzę, że i zwierzęta będą tego zdania. Co masz na myśli, mówiąc o sposobie reklamy?

— Mogłaby to być reklama, ucząca ludzi właściwego i lepszego obchodzenia się ze zwierzętami — powiedział Mateusz podnosząc się z przejęciem z krzesła. — Przez całe życie starał się pan o to, aby ludzi nauczyć poszanowania dla świata zwierząt, a teraz ma pan do tego taką okazję. Może pan teraz wszystko, co zechce, napisać, ale nie w taki sposób: „Szanowny panie, jesteś pan skończonym idiotą”, tylko tak: „Szanowny panie, zawiadamiam pana, że ja i moje zwierzęta interesujemy się każdym rodzajem reklamy, która szerzy zasady ludzkiego traktowania niemych stworzeń”.

— Tylko nie niemych, Mateuszu — przerwał mu doktor — nie znam niemych stworzeń. Ale wiem, co masz na myśli, mów dalej. Przepraszam, że ci przerwałem.

— Jeżeli — mówił dalej Mateusz — pan wystąpi z planem, który zrobi reklamę zarówno pańskim cełom, jak i tym ludziom, to dlaczego się nie zgodzić?

— Ale co na to powiedzą zwierzęta? — zapytał Jan Dolittle. — Nie zdaje mi się, żeby im ten pomysł przypadł do smaku.

— Co się tyczy starego dwugłowca, to pewne, że nie — powiedział Mateusz. — Umarłby ze wstydu, spacerując z plakatami na grzbiecie. Ale inne zwierzęta na pewno zgodzą się z ochotą na to, aby pracą zarobić na poprawę bytu swych towarzyszy. Na przykład — propozycja fabrykanta klatek. Pipinella na pewno nie będzie miała nic przeciw temu. A gdyby się panu nie podobały te klatki, to powie pan fabrykantowi, żeby zrobił inne, według pańskiego gustu, bo tylko wtedy zrobi mu pan reklamę. Rozumie pan, o co mi chodzi?



— Hm — rzekł doktor, gdy Mateusz skończył swój wykład o uczciwej reklamie. — Może i masz słuszność, ale boję się, że będziemy mieli rzadziej sposobność do reklamowania dobrych towarów niż złych.

— Tego jeszcze nie wiemy — rzekł Mateusz — ta heca dopiero się zaczęła. Nawet nie przeczytał pan jeszcze wszystkich listów, które dziś rano nadeszły. Czy nie wspominał mi pan o tym, że jest wśród nich także list z działu bydła na wystawie rolniczej?

— Tak, tak, zdaje się, że jest — powiedział Jan Dolittle i wyciągnął ze stosu leżącej obok niego poczty podłużną, poważnie wyglądającą niebieską kopertę, z której wyjął list i przeczytał go Mateuszowi.

— Widzi pan — rzekł Mateusz, gdy doktor skończył czytanie. — Nic lepszego nie mogło pana spotkać. Zaproszenie do współpracy z Królewskim Towarzystwem Rolniczym Poprawy Rasy Bydła. Proszę, aby pan nadesłał na nową wystawę wszystkie pomysły, które pan ma w tej dziedzinie. To się nazywa zaszczyt. Królewskie Towarzystwo Rolnicze to nie byle co. Toż to cała parada. Sama królowa zasiada w zarządzie. Teraz dopiero zdobędzie pan nazwisko jako rzeczoznawca zwierząt. Niech pan łapie sposobność.

— Do kroćset! — zawołał doktor wstając. — Zdaje mi się, że masz rację. Czy przypominasz sobie te naczynia do picia, które wynalazłem dla bydła?

— Naturalnie — powiedział Mateusz. — Higieniczne naczynia do picia dla bydła wynalazku doktora Dolittle. Zrobił je pan po to, aby ustrzec bydło od zarazy. Ale chłopci nigdy się tym zbytnio nie interesowali. Ci, co nie wezmą do gęby tego, czego nie znają,

nie dopuścili pańskich naczyń na jarmarki. Widzi pan! Jeżeli teraz wystąpi pan ze swoimi naczyniami pod protektoratem Towarzystwa Rolniczego i pokaże je na wystawie rolniczej, zupełnie inaczej zostaną one przyjęte przez rolników.

Podczas gdy doktor rozmyślał jeszcze nad słowami Mateusza, zastukano do drzwi, Dolittle powiedział „proszę” i wówczas Teodozja wprowadziła małego, grubego jegomościa, którego twarz wydała się doktorowi znajoma.

— Ten pan pragnie mówić z doktorem — powiedziała Teodozja.

— Nazywam się Braun — przedstawił się gość. — Ostatnim razem, gdyśmy się spotkali, wypędził mnie pan z cyrku Blossoma, bo nie podobały się panu lekarstwa, które sprzedawałem.

— Ach, tak — rzekł Jan Dolittle. — Teraz sobie przypominam. To nie moja wina, że pana wyrzuciłem, tylko pańska. Ludzie nie chcieli pana słuchać, gdy się dowiedzieli, że jest pan szalbierzem. Co pana znowu sprowadza do mnie?

— Otóż właśnie, doktorze — powiedział Braun. — Nie mam do pana urazy, chociaż wtedy byłem oburzony. Muszę przyznać, że to, co sprzedawałem, nie było nic warte. Ale w każdym razie nie było szkodliwe. Teraz przychodzę z czymś lepszym. Mam tutaj... — i mały jegomość wyciągnął z kieszeni butelkę z naklejoną wydrukowaną etykietą — rzeczywiście dobre lekarstwo, maść dla koni. Nie chcę, aby mi pan wierzył na słowo. Zostawię ją panu, aby ją pan mógł wypróbować i zbadać. A jeśli się spodoba — liczę, że pomoże mi pan ją sprzedać. Miałem ciężkie



przejścia, odkąd mnie pan owego wieczoru tak zdemaskował. Pokładam teraz dużo nadziei w tej maści i chciałbym bardzo usłyszeć pańskie zdanie o niej.

— W każdym razie nie daje się pan łatwo zrazić — rzekł doktor uprzejmie. — Każę zbadać maść i jeśli uznam, że może ona wzbogacić liczbę dobrych środków leczniczych dla zwierząt, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby panu pomóc w jej rozpowszechnieniu.

## Rozdział XI

### Pałac gastronomiczny Geb-Geb

Pokoje mieszkalne zwierząt doktora Dolittle przeniesione zostały w tym czasie do dużego pustego domu w zachodniej dzielnicy miasta, aby członkowie zespołu pantomimy z Puddleby mieli bliżej do teatru. Mimo to aktorzy spędzali zwykle część dnia w cyrku i wydawali się sami sobie teraz, gdy doktora stać było na wożenie ich dorożką, bardzo ważni, jeżdżąc tam i z powrotem z mieszkania do cyrku.

Z początku bawiło ich bardzo gospodarowanie od piwnicy do strychu w nowym, wielkim, pięciopiętrowym budynku; Dab-Dab oświadczyła natychmiast doktorowi, że jeśli ona ma prowadzić gospodarstwo, ptaki, występujące w operze, muszą się wynieść z kuchni, prócz tego trzeba będzie dokupić kilka garnków i rondli oraz trochę mebli.

Geb-Geb zainteresowała w nowym domu najbar-

dziej winda, którą potrawy z kuchni w suterenie wjeżdżały do jadalni i na inne, wyżej położone piętra. Była tym zachwycona i Dab-Dab nie mogła na nią wpłynąć, aby choć na chwilę przestała się bawić tym urządzeniem.

— Z tą windą, latającą po całym domu — powiedziała pierwszego wieczoru, gdy się wszyscy zebrali przy kolacji — można by urządzać nową, wspaniałą zabawę. Wiecie, jaką?

— Jabłka, gruszki, śliwki mam! — zażartował Jip — Albo coś innego w tym rodzaju, równie smacznego i posilnego.

— Nie, posłuchajcie — rzekła Geb-Geb — to wspaniały pomysł, jeden z najlepszych, jakie mi przychodziły do głowy. Chciałabym zbudować pałac gastronomiczny. Pałac o wielu piętrach, w którym winda biegałaby bezustannie z góry na dół i z dołu do góry. Wszystkie piętra zajmowałyby jadalnie, i to najrozmaitsze. Najwyżej mieściłby się pokój dla dzieci do spożywania lodów waniliowych. Naturalnie musiałabym zaangażować dobrego architekta, który by zrobił piękny plan gmachu. Na piątym piętrze umieściłabym ciastkarnię, pod nią pokój do jedzenia zup, aby ci, którzy jedzą lody, nie słyszeli mlaskania. W tym pokoju podawano by stale dwanaście gatunków zup. Na trzecim piętrze raczono by się przekąskami, gulaszem, bigosem, baraniną z ryżem, pieczonymi kartoflami i...

— Ach, przestań — przerwała Dab-Dab — możemy sobie wyobrazić dalszy ciąg twojej głupiej zabawy. Gdybyś urządziła na każdym piętrze inną restaurację, usadowiłabyś się w windzie i jeździłabyś

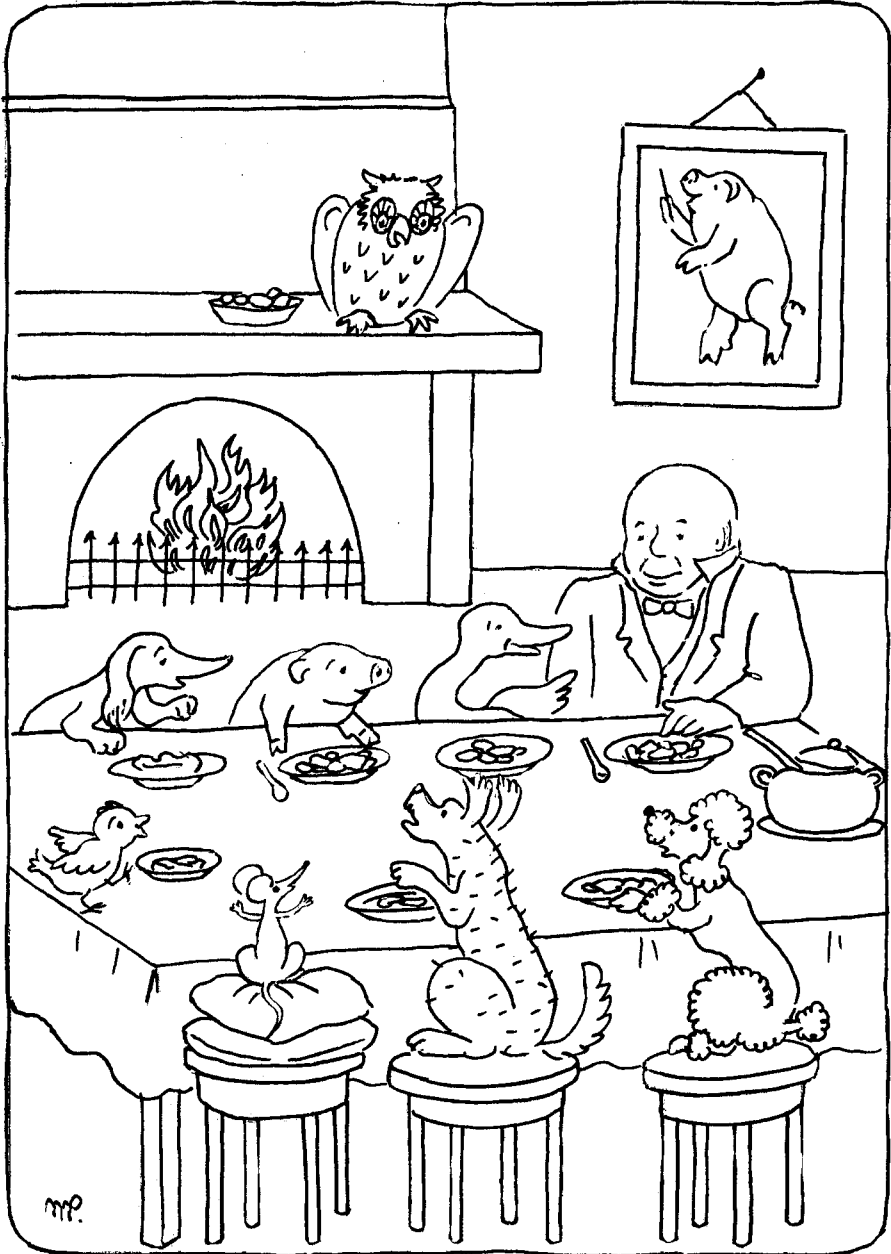
w niej tam i z powrotem, nabawiając się na każdym piętrze innej choroby żołądkowej. Na litość boską, siadaj nareszcie do stołu i nie przeszkadzaj.

— Niektórym stworzeniom nie warto zwierzać się z dobrych pomysłów — powiedziała Geb-Geb i zasiadła ze smutkiem nad talerzem płatków owsianych — mimo to twierdzę, że dopiero taki pałac zasługiwałby na nazwę domu rodzinnego.

— A gdzie byś spała — zapytał doktor — jeśli wszystkie pokoje służyłyby za jadalnie?

— Rozumie się, że w windzie — rzekła Geb-Geb — tak abym była od razu rano gotowa do śniadania. Ale nie potrzebowałabym dużo snu, gdyby przy zjeżdżaniu winda zatrzymywała się na wszystkich piętrach, co pobudzałoby stale mój apetyt.

Świnka była tak zachwycona swoim nowym wynalazkiem i wielkimi możliwościami gastronomicznymi, że zajmowała się tym projektem bezustannie. Jeździła windą tam i z powrotem i planowała, gdzie postawi szafkę na pomidory, a gdzie komodę na jabłka; wymyślała setki nowych urządzeń w swoim pałacu gastronomicznym, aż pewnego dnia, gdy winda stanęła między dwoma piętrami, Geb-Geb nie mogła przyjść w porę na obiad. Dab-Dab słyszała wprawdzie jej wołanie o pomoc i wiedziała, co się stało, ale — by dać jej nauczkę — nie przysłała z pomocą, dopóki obiad się nie skończył.



MP

## Zwierzęta w teatrze

Jak sobie możecie wyobrazić, były to bardzo podniecające czasy dla domowników doktora Dolittle, jakkolwiek nawykli oni przecież do ruchliwego życia. Każdy dzień przynosił coś nowego. A Londyn był w okresie świątecznym taki wesoły i ożywiony, że już sam spacer po gwarnych ulicach stanowił przeżycie dla istot nie przyzwyczajonych do wielkiego miasta.

Jak już wspomniałem, zwierzęta często zamęczały Jana Dolittle prośbami, aby poszedł z nimi do jednego z wielu teatrów grających w mieście. Obiecał im to, co prawda, nie mógł się jednak dotychczas na to zdobyć, gdyż miał wciąż mnóstwo roboty, a poza tym do większości teatrów nie wpuszczono by zapewne zwierząt na widownię — szczególnie świń i kaczek. W trzecim tygodniu występów operowych doktor postanowił jednak poświęcić trochę czasu na odpoczynek. Przypomniawszy sobie wówczas o obietnicy i radził się Mateusza, w jaki sposób zdobyć miejsca. Chętny do pomocy pan Mugg, który zawsze gotów był poprzeć wszystko, co mogło dostać się do gazet i zrobić reklamę cyrkowi albo operze, widział w tym pomysłe okazję ku temu, ale nie powiedział nic doktorowi. Oświadczył jedynie:

— Bardzo słusznie, panie doktorze, postaram się o miejsca. Co zwierzęta chciałyby zobaczyć?

— Geb-Geb — powiedział doktor — chciałyby zobaczyć pantomimę-farsę, ale psy wolałyby variétés

w Teatrze Westminsterskim. Występują tam rozmaite zwierzęta, a Jip, Toby i Sus interesują się tym ze względów zawodowych. Myślę, że pójdziemy tam z nimi, naturalnie jeśli dyrekcja nas wpuści.

Doktor przyzwyczajony był od dawna do pokazywania się na ulicach w towarzystwie swoich zwierząt, chociaż teraz, odkąd miał pieniądze, wsiadał z nimi często do dorożki. Wątpił jednak, aby Mateusz uzyskał od któregośkolwiek z dyrektorów pozwolenie na wpuszczenie zwierząt do teatru.

Karmiciel kotów nie poszedł jednak do kasy, aby kupić bilety. Ubrał się w najlepsze ubranie, ogolił i udał się z wizytą do właściciela Teatru Westminsterskiego, któremu przedstawił się z godnością jako współpracownik doktora Dolittle. Powiedział, że wielki kompozytor i impresario zamówiłby chętnie łożę na przedstawienie popołudniowe na najbliższą środę. Otoczenie jego stanowiłby zespół sławnej pantomimy z Puddleby, który występuje obecnie jednocześnie z operą kanarków w teatrze „Regent”, a składa się z trzech psów, świni, kaczki, sowy i białej myszy. Mateusz nie omieszkał zwrócić uwagi właścicielowi teatru, że obecność tak znakomitej trupy stanowić będzie doskonałą reklamę dla variétés, zwłaszcza że wielki Jan Dolittle, o którym mówi cały Londyn, również będzie obecny. A ponieważ towarzystwo zajmie oddzielną łożę, publiczność nic przeciwko temu mieć nie może.

Właściciel teatru pojął natychmiast, że jest to dobra okazja dla jego zespołu. Nie tylko więc się zgodził, ale ofiarował doktorowi do dyspozycji łożę darmo z najserdeczniejszymi pozdrowieniami. Potem kar-

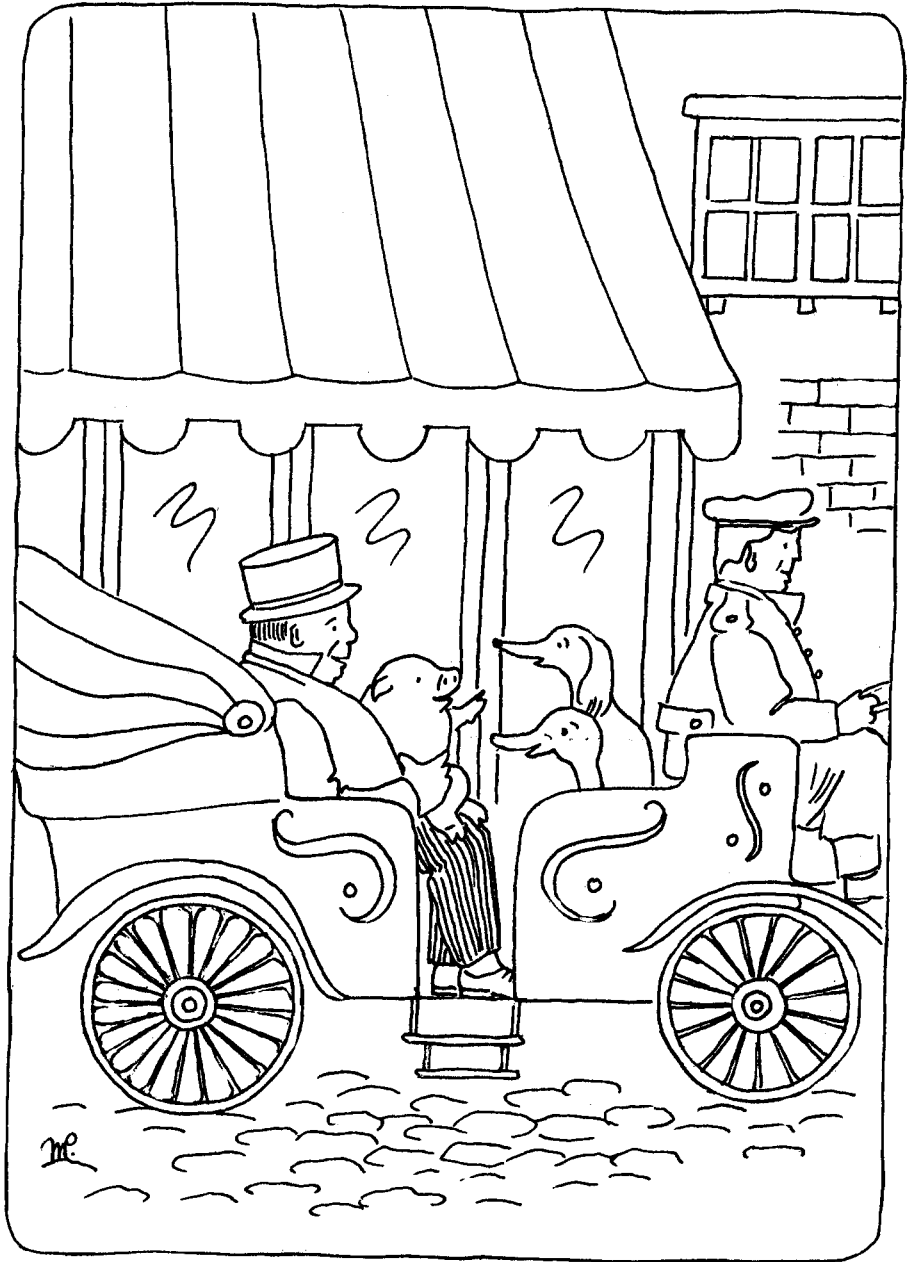
miciel kotów, bardziej niż kiedykolwiek przekonany o tym, że powołany jest na wielkiego impresaria, wybrał się wciąż jeszcze w najlepszym swym ubraniu do redakcji najwybitniejszych pism londyńskich i zakomunikował redaktorom, że Jan Dolittle ze swoją trupą będzie w najbliższą środę na przedstawieniu popołudniowym w Teatrze Westminsterkim i prosił ich o przysłanie reporterów, którzy by mogli opisać w gazecie to zdarzenie oraz naszkicować słynne zwierzęta jako widzów na przedstawieniu.

Aktorów pantomimy z Puddleby ucieszyła bardzo wiadomość, że ich pragnienie pójścia do teatru ma się spełnić i że bilety już przysłano. Chociaż Geb-Geb wolałaby pójść na farsę, ucieszyła się jednak, gdy doktor jej wytłumaczył, że variétés to również teatr, w którym poszczególne numery, wykonywane przez zwierzęta, przeplatają się z innymi.

Jej radości nie zmniejszył nawet fakt, że Teodozja uparła się, aby umyć jej ryjek — okoliczność ta zwykle wywoływała przeraźliwy kwik.

Towarzystwo pojechało do teatru dorożką. Przy wejściu otoczyło doktora kilku dziennikarzy, zamówionych przez Mateusza, którzy usiłowali uzyskać z doktorem wywiad. Jan Dolittle nie zgodził się na to i powiedział, że dzisiaj ma wolny dzień. Mateusz namówił go jednak, aby się zatrzymał i zamienił z dziennikarzami kilka słów, zanim odejdą.

Woźni, których dyrekcja uprzedziła o przybyciu osobliwych widzów, zaprowadzili towarzystwo uroczyście i uprzejmie do łoży. Po drodze Jan Dolittle przypomniał sobie, że nie zabrał słodyczy dla rodziny. Zamierzał posłać po nie Mateusza, gdyż zdaniem





jego łakocie uzupełniają rozkosz, jaką daje teatr, ale gdy weszli do łoży, ujrzał, że wyjątkowo uprzejmy dyrektor pomyślał i o tej przyjemności. Na siedzeniach leżała smakowita paczka dla każdego członka zespołu: pęczek marchwi dla Geb-Geb, kawałek sera dla białej myszy, sardynki dla Dab-Dab, pasztecik z mięsem dla Tu-Tu, pudełko pralinek dla doktora i Mateusza i trzy kotlety baranie dla trzech psów.

— Bardzo to uprzejmie ze strony pana dyrektora — rzekł doktor i wziął pralinki do ust. — Bardzo miło i uprzejmie. Patrzcie, ile publiczności! Teatr jest przepełniony.

Zwierzęta spoglądały z ciekawością i wzruszeniem na morze głów pod nimi. Wkrótce spostrzegły, że to one same stanowią główny obiekt ogólnego zainteresowania. Ze wszystkich stron publiczność wskazywała na nie palcami i szeptała między sobą.

— Gwałtu, rety, poznano mnie! — zawołała Geb-Geb. — Czy mam wstać i ukłonić się, doktorze?

— Nie — rzekł Jan Dolittle — to zbyteczne. Uważaj lepiej, przedstawienie zaraz się zacznie.

Jako pierwszy wystąpił komiczny włóczęga z trzema psami. To zainteresowało ogromnie Jipa, Susa i Toby'ego. Zwierzęta zamieniały między sobą szepcąc uwagi i podczas jakiegoś wyjątkowo trudnego popisu z balansowaniem tak się przejęły, że zaczęły czekać, dając psom na scenie pewne rady. To wywołało jeszcze większe wrażenie: psy, usłyszawszy szczekanie, spojrzały w górę i — poznając doktora Dolittle i jego gromadkę — przerwały przedstawienie, zbiegły ze sceny i skoczyły do łoży doktora, witając go wraz z jego towarzystwem. Po chwili porzą-

dek został przywrócony, psy wróciły na swoje miejsce, na scenę.

Między drugim a trzecim numerem przedstawienia Dab-Dab powiedziała do Geb-Geb:

— Dlaczego siedzisz tak cicho i uśmiechasz się tak niemądrze?

— Pst — odrzekła Geb-Geb — jeden z reporterów rysuje mnie. Siedzi w drugim rzędzie, chcę wyglądać jak najładniej.

— Nie rysuje ciebie — zaprzeczył Jip — tylko doktora.

W tej chwili ktoś zastukał do drzwi i wszedł dyrektor, aby ich przywitać.

Po kilku chwilach rozmowy powiedział, że byłoby mu bardzo miło, gdyby całe towarzystwo zechciało w antrakcie przejść się po korytarzach teatru.

— Wiele osób z publiczności pragnie lepiej przyjrzeć się panu i jego rodzinie — oczywiście jeśli pan nie będzie miał nic przeciwko temu.

— Przejdziemy się bardzo chętnie — wtrąciła Geb-Geb swoim najbardziej wyniosłym tonem.

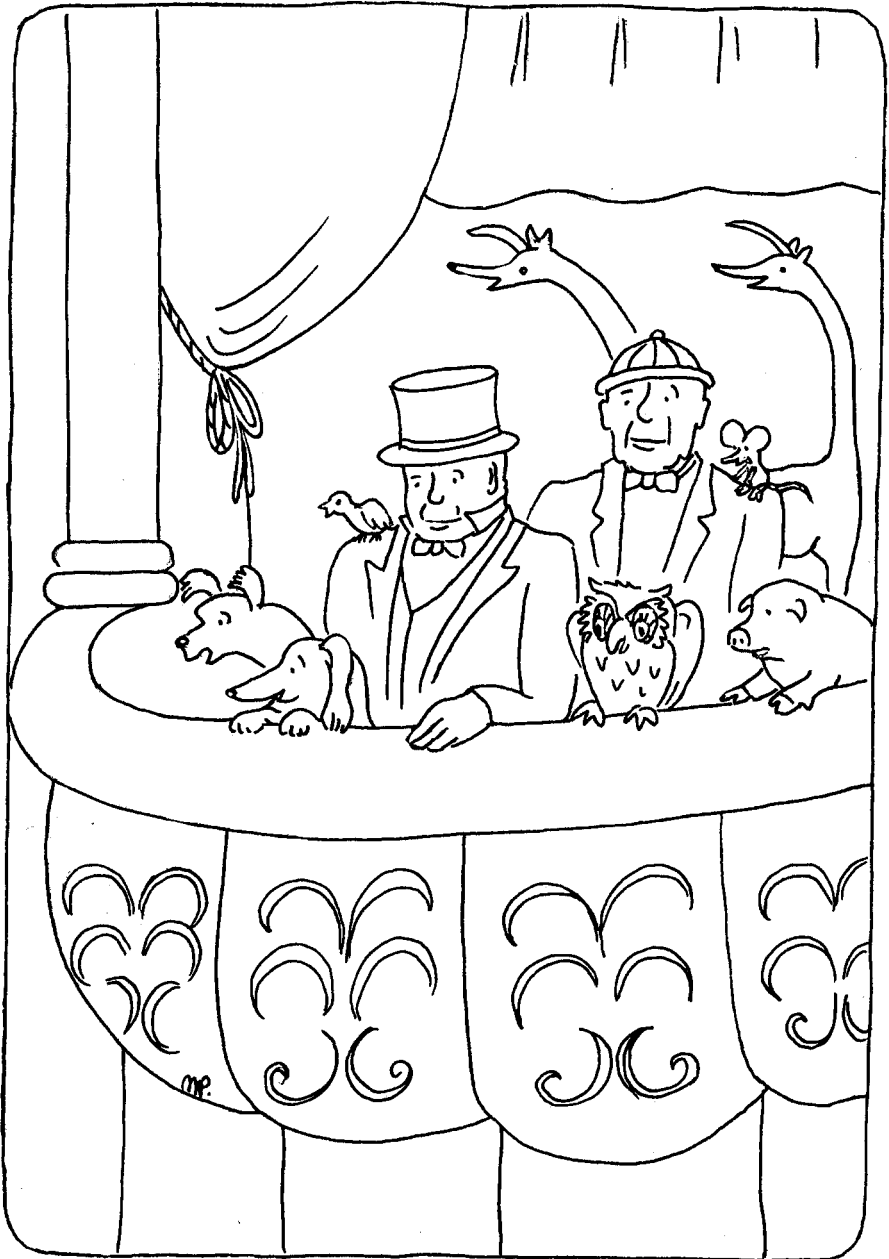
## Rozdział I

Przyjęcie wieczorne  
u księżnej

Gdy w antrakcie zwierzęta ukazały się w bufecie teatru, wywołały wielkie wrażenie. Była to duża sala, mieszcząca się za widownią, gdzie Stały stoliki, przy których można było coś wypić albo zjeść. Ci, których zmęczyło przedstawienie, mogli tutaj pospacerować i rozprostować kości.

Gdy świnia, psy i kaczka (Tu-Tu i biała mysz nie chciały się narażać na tłok i usadowiły się na ramieniu doktora) zaczęli spacerować po sali, biegło za nimi mnóstwo dzieci, śmiejąc się i piszcząc z zachwytu, dorośli zaś rozstąpili się i utworzyli dwa szeregi dla przechodzących — podobnie jak to się dzieje na ślubach królewskich. Wszędzie rozlegały się szepoty:

— Ten w cylindrze to sam Jan Dolittle; ten drugi, zezowaty, to jego pomocnik. Powiadają, że doktor mówi językami wszystkich zwierząt, jakie istnieją — szeptał jakiś gruby jegomość do swojej żony.



— Nie wierzę — odpowiedziała kobieta — ale ma przyjemną twarz.

— To prawda, mam — przekonywał ją mały, równie okrągły i gruby chłopiec, którego kobieta trzymała za rękę — mam kolegę, który był na pantomimie z Puddleby. Mówi, że to jest najcudowniejsza rzecz, jaką sobie można wyobrazić. Świnia zachowywała się podobno nadzwyczajnie, kaczką tańczyła przebrana za baletnicę, a pies — ten pośrodku, za doktorem — występował jako pierrot.

— Tak, Willy, ale to nie dowód, że doktor umie mówić ze zwierzętami w ich języku — powiedziała kobieta. — Przy dużej wprawie każdy człowiek może dojść do cudownych rezultatów.

— Ale mój kolega zauważył — upierał się chłopiec — że kiedy podczas przedstawienia świni obsunęła się peruka, doktor zawołał do niej zza kulis po świńskiego i świnia natychmiast podniosła przednią łapę i poprawiła perukę.

Geb-Geb paradowała z jeszcze większą dumą niż zazwyczaj, gdyż wszystkie dzieci — a było wśród nich wiele takich, które ją podziwiały w pantomimie — pokazywały na nią palcami jako na sławną aktorkę, która pierwsza wśród zwierząt zagrała klasyczną rolę Pantalona. Przed samym dzwonkiem i końcem antraktu zjawiła się mała pensjonarka i poprosiła doktora o autograf, wielu zaś innych ludzi podczas spaceru po korytarzu składało mu powinszowania, zadawało pytania i męczyło w najrozmaitszy sposób.

Wśród nich znajdował się także ów przedsiębiorca, który pisał do doktora w sprawie reklamy klatek. Był, jak mówił, zachwycony, że poznaje osobiście

wielkiego przyrodnika i kompozytora. Widział już wiele razy operę kanarków, a jutro wybiera się na nią po raz piąty z ciotką ze wsi, która przyjechała w odwiedziny do Londynu. Żegnając się, zapytał doktora, czy zdecydował się już pozwolić primadonnie Pipinelli na zrobienie mu reklamy dla klatek. Jan Dolittle odpowiedział, że musi zapytać o to Pipinellę i że da mu odpowiedź za kilka dni.

Potem podszedł inny jegomość, który widocznie słyszał poprzednią rozmowę, i mówiąc z wybitnie francuskim akcentem, przedstawił się jako monsieur Jules Poulain z Paryża. Powiedział, że jest fabrykantem perfum i że słyszał bardzo wiele o doktorze Dolittle i jego sławnym psie Jipie. Wiadomości w gazetach o cudownym węchu psa — Mateusz dostarczył ich dziennikarzom — nasunęły mu myśl, że pies mógłby wieloma pożytecznymi wskazówkami wzbogacić sztukę i wiedzę fabrykantów perfum. Zapytał, czy jego firma mogłaby zasięgnąć rady Jipa, jako fachowca, i czy Jan Dolittle zechciałby sam służyć w tym wypadku za tłumacza.

Teraz, kiedy zwierzęta doktora stały się aktorami, wiele w ich codziennych przyzwyczajeniach musiało ulec zmianie. W czasach występów cyrkowych obowiązki ich kończyły się punktualnie o ósmej i doktor pilnował, aby kładły się spać o dziewiątej. Teraz nie były nigdy wolne przed jedenastą wieczór, nie mogło więc być mowy o wczesnym kładzeniu się do łóżka, a jadanie późnej kolacji weszło w zwyczaj. Wszystkie były szczęśliwe, gdy wracały po przedstawieniu i zasiadały do miłej pogawędki przy kakao i jajecznicy z sałata, przygotowanej przez Dab-Dab.

Innym zwyczajem, który, podobnie jak późna kolacja, podobał się bardzo Geb-Geb, było późne wstawanie. Obrała sobie windę za sypialnię i zapychała ją poduszkami z siana. Tutaj wielka aktorka chrapała spokojnie do dziesiątej albo jedenastej rano, o której to godzinie Dab-Dab, podając śniadanie, wrzucała najczęściej pokrywę od garnka do windy, aby zbudzić śpiocha.

Często pora pójścia na spoczynek przesuwiała się jeszcze bardziej wskutek zaproszeń na kolację po przedstawieniu. Pewnego razu zaproszono zwierzęta do wytwornego pałacu, należącego do pięknej rosyjskiej księżny, która przyjmowała niezwykle towarzystwo z wyjątkową gościnnością. Pomysł zaproszenia aktorów pantomimy z Puddleby oraz słynnego sopranu, Pipinelli, bawił ją niesłychanie. Ponieważ doktor obawiał się, że księżna zamierza uczynić z jego rodziny śmieszne widowisko, postanowił nie przyjmować zaproszenia. Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, otrzymał powtórne zaproszenie, tym razem ustne. Ponieważ zjawił się z nim ni mniej, ni więcej tylko sam wielki Paganini, który podsunął tę myśl księżnej, doktor w imieniu swoim i zwierząt przyjął zaproszenie.

Księżna przysłała po wszystkich powóz z dwoma lokajami. Kolacja była wspaniała. Przybyli na nią wszyscy sławni i znani ludzie w mieście — znakomite gwiazdy sceny, wielcy kompozytorzy, pisarze, malarze, rzeźbiarze, jak również posłowie, książęta, hrabiowie i liczna szlachta niższego rzędu.

Mimo iż zgromadzono tak wytworne towarzystwo, wyczuwało się od razu, że aktorzy pantomimy z Pud-

dleby uważani są za najważniejszych gości. Wszyscy podziwiali ich doskonale zachowanie przy stole i maniery towarzyskie, jakkolwiek zdarzyło się w ciągu wieczoru kilka drobnych uchybień. Tak więc, gdy weszli do wspaniale urządzonego mieszkania, Jip rozpoczął wieczór od tego, że wpędził ulubienicę księżny, białą kotkę angorę, do komina, z którego musiano ją wyciągnąć, a potem wsadzić do wanny.

Podczas kolacji Geb-Geb, siedząca między markizą a dyrygentem orkiestry symfonicznej, zwróciła na siebie ogólną uwagę, gdy lokaj podawał szparagi. Zamiast wziąć kilka, opróżniła od razu półmisek sądząc, że cała jego zawartość jest przeznaczona dla niej. Również podczas deseru zadziwiła towarzystwo tym, że jabłka i pomarańcze kładła do ust w całości, bez obierania i dzielenia na części.

Poza tym wszystko poszło doskonale. Po kolacji Pipinella i Fifi zachwycili towarzystwo duetem z trzeciego aktu; akompaniował im doktor na maszynie do szycia.

## Rozdział II

### Jip i fabrykant perfum

Jak przewidział Mateusz, zwierzęta, dowiedziawszy się o propozycjach reklamowych, nie tylko ofiarowały swą pomoc, ale z zapalem poparły ten pomysł.

— Rozumie się, że karmiciel kotów ma rację, panie doktorze — zapiszczała biała mysz. — Odpowiednia reklama może zrobić dużo dobrego. Zabawimy



się przy tym świetnie. Niech pan sobie tylko wyobrazi Geb-Geb, tańczącą w oknie wystawowym rzeźnika.

— Kiełbas nie będę reklamować dla nikogo — rzekła Geb-Geb stanowczo. — Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby tańczyć w sklepie z zabawkami, reklamując skakanki lub coś w tym rodzaju. Ale kiełbasy — nie, za nic na świecie.

Jan Dolittle poparł ją mówiąc, że ma zupełną rację.

— Niech pan sobie tylko przypomni, ile rzeczy moglibyśmy zareklamować — powiedział Jip. — Przecież na mnie wypróbował pan kiedyś środek przeciwko łysieniu, pamięta pan? To było wtedy, kiedy otrzymał pan list od eskimoskiego psa z prośbą o środek przeciwko wypadaniu sierści w zimie. To był cudowny lek! Moja sierść tak zgęstniała w ciągu dwóch miesięcy, że w Afryce o mało nie udusiłem się z gorąca.

— A niech pan nie zapomina o swoich słynnych kroplach od kaszlu dla kanarków — wtrącił Fifi. — Każdy sklep ze zwierzętami ma jakiś środek na poprawienie głosów ptasich, ale żaden nie jest tak skuteczny jak pański. Dlaczego nie dawać ptakom wszystkiego, co najlepsze?

— A pańska metoda leczenia płaskich stóp u młodych kacząt? — zauważyła Dab-Dab. — Gdyby każda kaczka-matka wychowywała dzieci według pańskiej metody, przysłużyłby się pan ogromnie całej rasie.

— A pański środek na owłosienie dla myszy — pisnęła biała mysz — to także ogromnie ważny wynalazek.

— Według mnie — powiedział Sus — gdyby doktor zechciał napisać książkę o operacjach i tym podobnych sposobach leczenia zwierząt i rozpowszechnił ją wśród ograniczonych weterynarzy, uczyniłby tym dużo dobrego. Jedynie wyleczone przez pana zwierzęta wiedzą, jakimi zdobyczami Jan Dolittle wzbogacił wiedzę lekarską.

Tak oto długo i zżywieniem rozmawiały zwierzęta na ten temat, a każde z nich podawało doktorowi swój pomysł, w jaki sposób powinien on zaznajomić świat z cudownymi odkryciami i wynalazkami, do których doprowadziły go długie i niezwykle doświadczenia prowadzone wśród zwierząt.

W końcu osiągnęły to, że doktor — zanim o godzinie drugiej w nocy posłał swoje zwierzęta do łóżek — przyrzekł im, iż zajmie się tą sprawą i pozwoli sobie w tym dopomóc.

— Dobrze — rzekł biorąc świecę z kominka i zapalając ją — odpowiem jutro na kilka z tych listów i zobaczę, co się da zrobić. Można ostatecznie o tym pomówić. Jeśli ci ludzie nie zgodzą się na mój sposób reklamy, zawsze będzie można rzucić to wszystko. Na początek trzeba odwiedzić francuskiego fabrykanta perfum z Paryża. Myślę, Jip, że twój ostry węch, wyzyskany przez tak wykształconych technicznie ludzi jak pan Poulain i jego pomocnicy, może istotnie wzbogacić wiedzę.

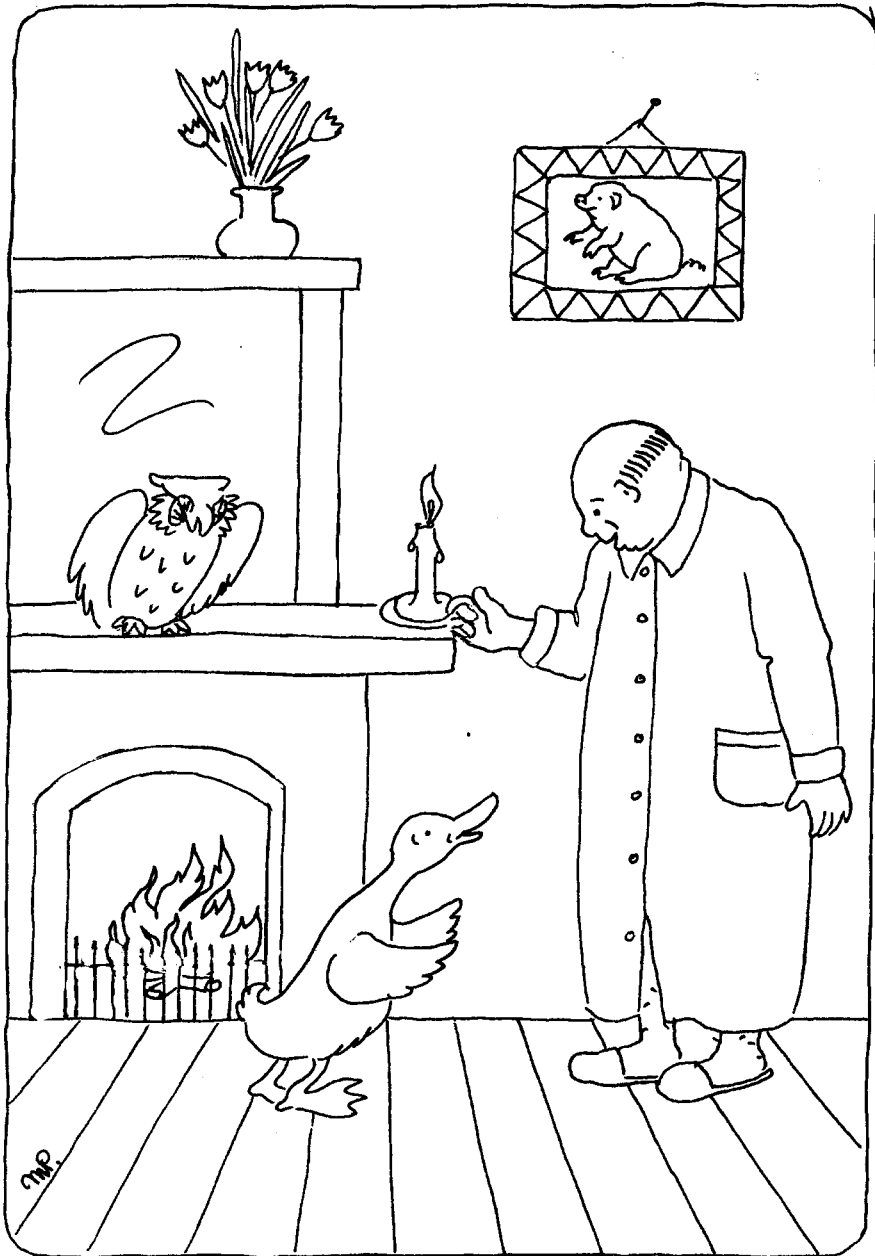
Następnego dnia doktor poszedł z Jipem do pana Poulaina z Paryża. Ten znany fabrykant perfum założył niedawno z doświadczonymi robotnikami, których sprowadził z Francji, filię swojej fabryki w Londynie.

Był uszczęśliwiony tym, że Dolittle zjawił się z psem, gdyż obawiał się, że doktor niechętnie przyjmie jego propozycję i nie odpowie nawet na list. Francuz traktował gościa z największą uprzejmością, zaprowadził go natychmiast do swego prywatnego biura i po krótkiej, miłej rozmowie sprowadził chemików, robotników i dyrektorów.

Kiedy ci ludzie — było ich razem pięciu — weszli, pan Poulain zamknął drzwi i zwrócił się do nich po francusku, gdyż wszyscy pracownicy jego firmy byli Francuzami, a poza tym zauważył, że i doktor mówi płynnie tym językiem.

— Panowie — powiedział — z wielką przyjemnością pozwalam sobie zaznajomić was z nadzwyczajnym naukowcem, doktorem Janem Dolittle. Jest to pierwszy w dziejach człowiek, któremu udało się z powodzeniem wejść w kontakt ze zwierzętami. Chociaż wielu ludzi wątpi, że umie on mówić językiem zwierząt, ja wierzę w to i wierzę, że nauka wzbogaci się jego wiedzą. Jak panowie zauważyli, ma on ze sobą psa. Nasz przemysł, panowie, jest przemysłem zapachów, woni, a żaden człowiek nie ma takiego węchu jak pies. Przy tym ten pies nie jest zwyczajnym psem. Złotą obrozę, którą nosi, podarowano mu za uratowanie człowieka na pełnym morzu, co zawdzięcza jedynie swemu zmysłowi węchu. Wszak to zgadza się z prawdą, czy tak, panie doktorze?

— Tak — rzekł doktor również po francusku. — Nie wiedziałem, że ta historia jest znana. Jip nie lubi się tym chwalić, zapewne mój pomocnik, pan Mugg, podał ją do pism. Ponieważ stała się już głośna, nie mogę zaprzeczyć, że tak jest istotnie.



— Dobrze — powiedział pan Poulain — w takim razie, panowie, uważam to za szczęście, że za pośrednictwem doktora Dolittle będziemy mogli radzić się tak nadzwyczajnego psa w sprawach zapachów. Proponuję, aby każdy z nas zadał mu jakieś pytanie.

Jipowi, wielkiemu znawcy, podsunięto próbkę perfum. Jego pierwszy sąd, przetłumaczony przez doktora na francuski, zaskoczył nieco pana Poulaina i jego otoczenie.

Jip powiedział mianowicie, powąchawszy flaszeczkę najwytworniejszych i najdroższych perfum wyrobu firmy, że czuć je serem.

— Serem? — zawołał naczelny chemik, zerwał się i powąchał sam. — To musi być pomyłka. Nie czuję zapachu żadnego sera, czuję tylko jaśmin i akację, jest to gatunek, którym się szczycimy.

— Nic na to nie poradzę — powiedział Jip. — Czuję zapach kwiatów, o których pan mówi, ale czuję również zapach sera, a mianowicie sera camembert.

Ta odpowiedź zaniepokoiła wszystkich bardzo.

— To straszne — powiedział pan Poulain, załamując ręce — nasza słynna marka „Sen o miłości” pachnie serem? Ja sam wprawdzie nie czuję tego, ale jeśli pies wywęszył ten zapach, to inni ludzie, nawet klienci, mogą go także poznać. — I dyrektor kazał natychmiast przywołać naczelnego nalepiacza etykiet, gdyż on ostatni dotykał flaszki.

Naczelny nalepiacz etykiet był mizernie wyglądającym, małym Francuzem, którego nagłe wezwanie do kierowników firmy śmiertelnie przstraszyło.

— Czy pan jada ser? — zagrzmiał pan Poulain z podniesionym palcem. — Proszę odpowiadać!

Ze łzami w oczach mały człowieczek przyznał się do tego, że zwykł jadać na śniadanie bułeczki posmarowane serem camembert, które mu żona co dzień przygotowuje. Uważał jednak zawsze bardzo, aby jego śniadanie nie stykało się z perfumami, i dlatego bułeczki przechowywał w innym pokoju, oddalonym od tego, w którym nalepiano etykiety.

— To się na nic nie zdało — powiedział pan Poulain surowo. — Perfumy albo etykiety czuć serem. Do mojej fabryki nie wolno panu przynosić sera. Jeśli pan chce jeść ser, niech go pan je w święta albo podczas urlopu.

Mały człowieczek ukłonił się i przyrzekł święcie, że odtąd będzie jadł ser camembert tylko u siebie w domu. Kilku chemików, którzy mieli zadawać Jipowi pytania, usiłowało obrócić tę całą sprawę w żart: albo nie wierzyli temu, żeby zwyczajny pies mógł ich czegoś w ich zawodzie nauczyć, albo też wątpili, jak większość ludzi, w to, że doktor jest istotnie w stanie rozumieć mowę zwierząt i potrafi ją przetłumaczyć. Jednak po tym widocznym zdemaskowaniu nalepiacza etykiet, zajmującego ser, zaczęli i oni przyznawać, że może to mieć jakieś naukowe podstawy. Odtąd zadawano pytania wielkiemu fachowcowi z całą powagą, podsuwano mu do zbadania coraz to inne próbki wody toaletowej, pudru i mydeł perfumowanych.

Widocznie zmysł powonienia psa był jednak zbyt ostry i wyrafinowany dla celów ludzkiej fabryki perfum. Niemal o każdym wyrobie, który mu przedstawiono, z wyjątkiem kilku, których zapach chemiczny był bardzo silny, Jip wyrażał się bardzo niepochlebnie. Wciąż bowiem węszył jakiś zupełnie inny,

uboczny zapach, który się niepostrzeżenie domie-  
szał.

— Nie uznaję tej wody do włosów — mówił odsu-  
wając flaszkę. — Czuć ją na milę świńskim sadłem.  
A co się tyczy tego mydła, to człowiek, który je wy-  
rabiał, ubrany był w samodział. Czuję wyraźnie za-  
pach wełny tkaney ręcznie. Przy tym tłuszcz, którego  
użyto do wyrobu mydła, był zjełczały.

— Powąchaj to — powiedział pan Poulain i posta-  
wił przed Jipem ładne pudełko jedwabne z pudrem  
— uważamy ten puder za niezwykle wytworny wy-  
rób.

— Tytoń — rzekł Jip powąchawszy puder. — Pa-  
chnie tytoniem, francuskimi papierosami.

Pan Poulain był zrozpaczony i zapytał Jipa, jakie  
są jego ulubione perfumy.

— Rostbef — powiedział Jip. — Dlaczego nie wy-  
rabiacie wody z zapachem rostbefu?

— Och! la la! — zawołał Francuz i podniósł ręce do  
góry. — Ależ damy nie będą chciały pachnieć rost-  
befem!

— Dlaczegoż by nie? — powiedział Jip. — To taki  
zdrowy, przyjemny zapach.

W końcu, gdy Jip swoimi mało pochlebnymi uwa-  
gami o wyrobach firmy wprowadził jej przedstawi-  
cieli w ponury nastrój, doktor skierował tę konfe-  
rencję na pożyteczniejsze tory następującą uwa-  
gą:

— Zdaje mi się, panowie, że osiągnęlibyśmy więk-  
szy pożytek z niezwykłego zmysłu powonienia tego  
psa, gdybyśmy mu zaproponowali wykład o zapa-  
chach albo gdybyście go zapytali, gdzie, według nie-

go, można znaleźć najwytworniejsze, najsubtelniejsze zapachy.

— Ma pan słuszność — zawołał zrywając się z miejsca pan Poulain — wytworność, subtelność, to są zalety, które chcielibyśmy nadać naszym perfumom, a wysubtelniony węch psa może nam w tym pomóc. Ale rostbef, jego ulubiony zapach! Och! la la!

— To kwestia gustu — rzekł Jan Dolittle. — Pies lubi naturalnie inne zapachy niż człowiek, ale spróbuję wyjaśnić mu, co się podoba powonieniu człowieka. Myślę, że będzie potem mógł wam przyjść z pomocą.

Kiedy doktor porozumiał się z Jipem, pies wygłosił przy stole wykład o sztuce wachania.

Tego dnia Teodozja zapisała w dzienniku cyrkowym, że zdarzyło się to po raz pierwszy, aby pies, nawet przy pomocy tłumacza, wygłosił odczyt przed publicznością, złożoną z ludzi.

Był to wielki sukces, a pan Poulain i jego pracownicy, mimo że urażeni poprzednimi niepocholebnymi uwagami Jipa o ich umiejętnościach, słuchali z wielką uwagą. Pierwsza część wykładu dotyczyła tego, co Jip nazwał rozróżnianiem zapachów. Przeszło pół godziny zajmował się prelegent wielkimi trudnościami, które nie pozwalają odróżniać pojedynczych zapachów, tak aby można się było każdym z nich rozkoszować w czystej postaci. Nie da się tego osiągnąć i na tym polega niedoskonałość większości wyrobów firmy Poulain. Ludzie przeważnie nie posiadają aż tak rozwiniętego węchu. Stając nad brzegiem morza, człowiek zazwyczaj oddycha głęboko, a potem mówi: „Ach, jakże cudowny jest zapach morza!” I na tym



poprzestaje. Tymczasem ta woń, którą on nazywa słonym zapachem morza, składa się z dziesięciu różnych zapachów, pomieszanych ze sobą.

Profesor-pies przytoczył wiele przykładów takich mieszanych zapachów, spotykanych w codziennym życiu, które nazwał zapachami grupowymi. Dopiero gdy się dojdzie do umiejętności odróżniania poszczególnych zapachów, można osiąść doskonały węch.

Treścią ostatniej części wykładu były wskazówki, gdzie można znaleźć subtelne zapachy, poszukiwane przez przemysł perfumeryjny, z którymi doktor zapoznał Jipa. Większość tych wskazówek była bardzo osobliwa i zadziwiła słuchaczy. Na przykład Jip powiedział, że nory, w których gnieźdzą się myszy polne, wyścielone są pewnym gatunkiem liści, ułożonych zawsze w jednakowy sposób. Liście te wydają złożoną woń, rozkoszniejszą od tej, jaka unosi się w najpiękniejszych ogrodach. Opowiedział też o pewnym ptaku wodnym, spokrewnionym z ptakiem rajskim, który wyściela swoje gniazdo piórami innych ptaków i mchem szczególnego gatunku. Otóż i te gniazda wydają woń, nie dającą się porównać swoją subtelnością z innymi zapachami. Poza tym opowiedział o korzonkach, które znajduje polując na szczury i króliki i które, pogryzione i zgniecione, również niezwykle, cudownie pachną.

Wszystkie te wskazówki doktor przetłumaczył, a następnie zostały one najdokładniej zapisane przez sekretarza pana Poulaina.

Jeszcze w tym samym tygodniu paryski fabrykant perfum wysłał przyrodników i botaników na poszu-

kiwanie tych okazów, o których im Jip opowiedział. A w kilka miesięcy później ukazały się na rynku rozmaite nowe perfumy i pudry, których wytwórny zapach rozgłosił sławę pana Poulaina z Paryża po wszystkich zakątkach świata, gdzie tylko istnieją subtelne nosy.

### Rozdział III

## Reklama

Doktor, nie znając się na interesach, nie wyznaczył honorarium dla Jipa jako dla rzeczoznawcy. Mimo to pan Poulain zachował się bardzo przyzwoicie i przysłał pocztą sporą sumę pieniędzy.

— Tak, tak — powiedział doktor, wyjmując je z koperty i zapisując sumę. — Te pieniądze należą się prawnie tobie, Jip. Ja ich z pewnością nie zarobiłem.

— Ach, na cóż mi pieniądze, doktorze? — zapytał Jip i wysunął pysk przez okno, węsząc szczury na podwórzu. — Niech je pan zatrzyma, panu się zawsze przydadzą. A zresztą czyż nie jestem panu dłużny za dom i utrzymanie przez tyle lat?

— Znowu się zaczyna, panie doktorze — powiedziała Dab-Dab z irytacją. — Za każdym razem, gdy zjawiają się pieniądze, zaprzecza pan, że się panu należą. Nie ma takiego drugiego na świecie.

— Ależ Dab-Dab — rzekł doktor — zarabiamy przecież teraz tak dużo na operze. Nie jesteśmy już biedni. W zeszłym tygodniu spłaciłem resztę długów Blossoma, a mimo to mam w banku więcej pieniędzy niż kiedykolwiek w życiu.

— Żadnych pieniędzy na świecie nie może być za dużo dla pana, i tak je pan przecież wszystkie wyda — irytowała się dalej Dab-Dab. — Moją jedyną troską jest teraz to, jak pana ściągnąć do Puddleby, zanim pan znów zostanie bez grosza.

— Mimo to — powiedział doktor — uważam, że powinienem te pieniądze złożyć w banku na imię Jipa. Kto wie, czy nie nadejdzie dzień, kiedy będzie potrzebował pieniędzy. Przypuśćmy, że mnie się coś przytrafi. Należałoby się tylko dowiedzieć, czy bank może otworzyć rachunek dla psa: To bardzo interesujące, muszę zasięgnąć informacji.

Działalność Jipa w firmie pana Poulaina spowodowała, że mały, ale elegancki sklep z obrożami dla psów w jednej z najwytworniejszych dzielnic Londynu zwrócił się z inną propozycją. Była to firma sprzedająca rozmaite specjały. Damy z najlepszego towarzystwa kupowały tam jedwabne dziane kaftaniki dla swoich pinczerków, porcelanowe miseczki do mleka i drogie wypikowane koszyczki do spania dla swoich perskich kotów. Był to kwitnący, dochodowy sklep. Właściciel napisał do doktora, że jest mu wszystko jedno, jakiego rodzaju wymyśli reklamę, wybór pozostawia jemu i jego zwierzętom.

Gdy Jip dowiedział się o tym, nie był wcale zachwycony.

— Znam takie sklepy — powiedział — sprzedają tam różne fatałaszkę, jedwabne obroże, smoczki gumowe w kształcie kości dla przekarmionych mopsów i nowo narodzonych piesków i inne głupstwa. Wolałbym nie mieć nic do czynienia z podobnymi sklepami. Dlaczego te wychuchane pieszczoszki elegan-

kich dam mają okrywać jedwabnymi, małpiarskimi kaftaniczkami swoje tłuste brzuszki, gdy setki naprawdę dzielnych psów, przezywanych kundlami, skazane są na wałęsanie się we wschodniej dzielnicy miasta i zdobywanie z trudem pożywienia?

Jan Dolittle przyznał słuszność Jipowi i interes ze sklepem nie doszedłby do skutku, gdyby nie Dab-Dab. Gosposia, wysłuchawszy tej rozmowy, wzięła później Jipa na stronę i wytłumaczyła mu, że zdobycie w ten sposób pieniędzy dla doktora będzie dobrym uczynkiem. Im więcej zgromadzą pieniędzy, tym pewniejszy będzie ich powrót do Puddleby, a większość pieniędzy zużytkuje się przecież na potrzeby zwierząt, które je zarobiły.

— Niech tam — zgodził się wreszcie Jip — zobaczę, co się da zrobić. W żadnym razie nie stanę jednak w oknie dla reklamy jedwabnych obróżek albo koszyczków dla kotów.

Jip zabrał się więc do roboty i przy pomocy doktora obmyślił bardzo ciekawy projekt wystawy reklamowej w oknach sklepu z obrożami dla psów.

Sus, Toby i inne psy musiały również wziąć w tym udział. Był to doskonale dobrany zespół. Sus był naturalnie jak zwykle komikiem, który ze wszystkiego stroił żarty. Toby — zuchwałym małym kundlem, pewnym siebie i wtykającym we wszystko nos. Gryf robił wrażenie wściekłego, gryzącego psa, chociaż w istocie był bardzo łagodny, owczarek Blek zaś grał rolę wzorowego, odpowiedzialnego psa.

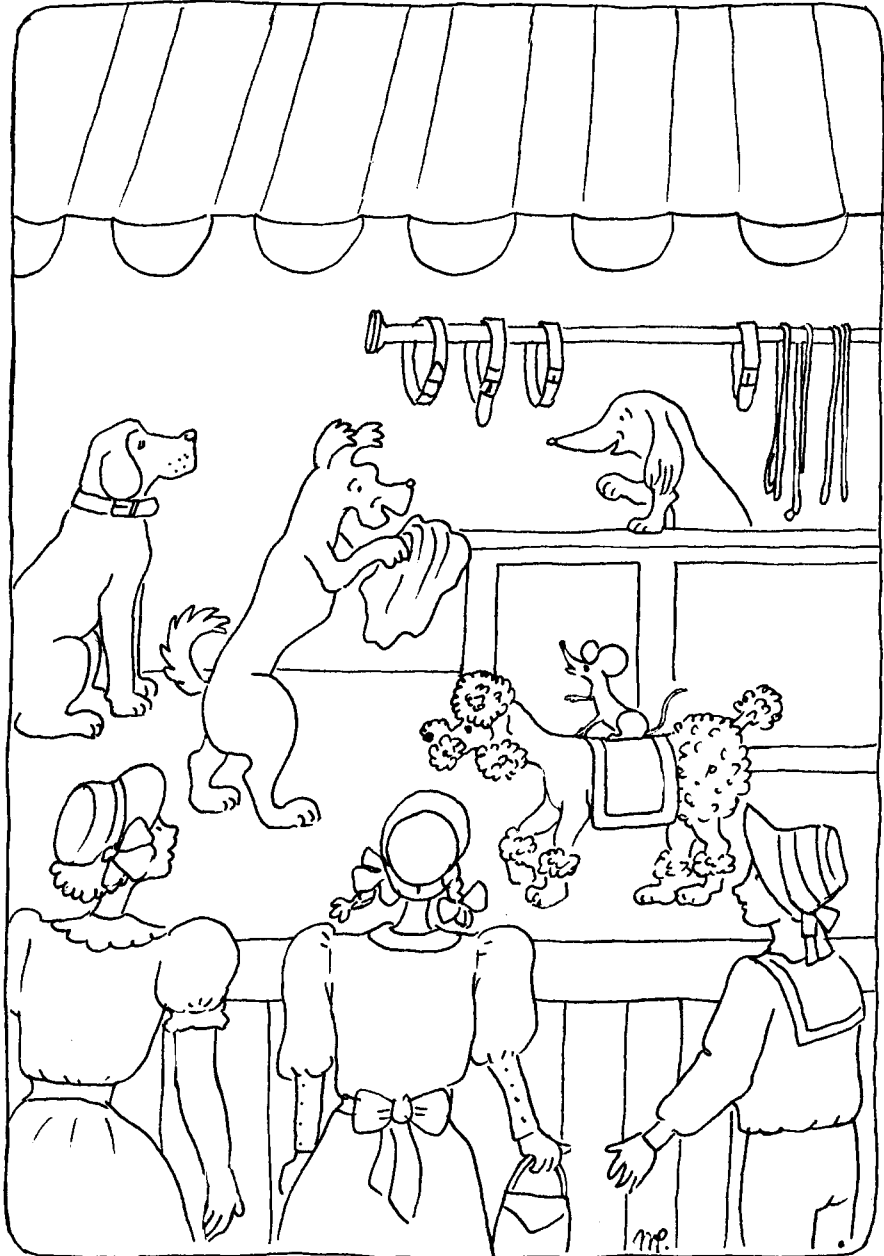
Małe widowisko, które psy zorganizowały, było bardzo proste, nie obmyślono go z góry, lecz raczej improwizowano. Psy stawały albo siadały w wysta-

wie sklepu, tworząc rodzaj klubu towarzyskiego. Jip grał rolę kupca, znoszącego im obroże, ciepłe płaszczyki, mydło i tym podobne przedmioty. Tobby grał bardzo umiejętnie rolę rozpieszczonego, despotycznego pieska pokojowego, niezadowolonego ze wszystkiego. Blek występował zaś w dostojnej roli wielkiego psa, przymierzającego te wszystkie obroże i płaszczyki. Sus, jako błazen, udawał, że nie wie, co się robi z tymi rzeczami. Kładł obrożę na odwrót, płaszcz na lewą stronę, potykał się i robił najrozmaitsze głupstwa.

Żywe zwierzęta w oknie wystawowym zwracają zawsze uwagę przechodniów, a taka liczba psów, występujących w rolach aktorów, ściągała przed sklep tłumy, jakich tam nigdy nie widziano. Schodzili się policjanci, by sprawdzić, co się dzieje, a ich obecność ściągała coraz więcej ludzi przypuszczających, że stało się coś niezwykłego. Była to dla sklepu najlepsza reklama, jaką można było sobie wyobrazić.

Mateusz ze zwykłym sobie sprytem kupieckim nalegał, aby właściciel sklepu wystawił w oknie tabliczkę z napisem, że psy te są członkami słynnej trupy cyrku Dolittle i opery zwierząt. Była to, rozumie się, doskonała reklama opery kanarków, pantomimy z Puddleby i cyrku we wschodniej części Londynu.

Geb-Geb, która odmówiła wzięcia udziału w reklamowaniu kiełbas, grała z powodzeniem rolę w sklepie z zabawkami w wytwornej dzielnicy Londynu. Tam świnka-aktorka wśród zachwyconych dzieci, które otaczały sklep przez cały dzień, skakała przez skakankę, nakręcała mechaniczne zabawki i bawiła się równie dobrze, jak publiczność.



Podobnie Pipinella po obejrzeniu klatek fabrykanta, który prosił o jej pomoc, spełniła swoje zobowiązanie. Jej rola polegała na wlatywaniu i wylatywaniu z klatki i okazywaniu żywym i wesołym zachowaniem, że klatka się jej podoba. Sława cudownego głosu kanarzycy tak się rozniosła, że sama jej obecność uzasadniała pobierane przez nią ogromne honorarium, wynoszące siedem funtów za godzinę.

Rozdział IV

## Kieszonkowy koń

Jednak najwięcej korzyści przyniosły Janowi Doolittle i jego rodzinie kontakty z Królewskim Towarzystwem Rolniczym. To wielkie i ważne Towarzystwo urządzało swoje doroczne wystawy w jednym z najokazalszych gmachów wystawowych Londynu. Gmach ten zresztą nie był wystarczający i musiano donajmować okoliczne budynki i sąsiadujące grunta. Wystawa cieszyła się zawsze wielkim powodzeniem u publiczności i w ciągu dwóch tygodni zwiedziła ją nie tylko publiczność miejska, ale i chłopci oraz wszyscy ludzie interesujący się rolnictwem, którzy przybywali tłumnie ze wszystkich okolic Anglii. Każdy z tych czternastu dni poświęcony był oddzielnej sprawie, ale większa część wystawy otwarta była przez cały czas jej trwania.

Jednego dnia rozdawano nagrody najlepiej utrzymanym krowom i najtłuściejszym owcom, innego dnia odbywał się pokaz koni chłopskich, w którym brały udział najpiękniejsze ogiery i nagrodzone ko-

nie od pługą z całego kraju. Były dni poświęcone mleczarstwu, hodowli drobiu i tak dalej.

Kiedy tylko Mateusz Mugg dowiedział się, że Królewskie Towarzystwo Rolnicze pisało do Jana Dolittle, udał się bez wiedzy doktora w odwiedzinach do kierownika wystawy. Wystawa miała być otwarta w następnym tygodniu. Mateusz Mugg przedstawił się zarządowi w swój zwykły sposób — jako wspólnik wielkiego Jana Dolittle, doktora medycyny. Powinnował komitetowi przede wszystkim mądrego pomysłu zaproszenia słynnego przyrodnika do współpracy z Królewską Wystawą Rolniczą. Potem przeszedł na swój ulubiony temat i opowiadał przez godzinę o zdumiewających odkryciach, wynalazkach i naukowych udoskonaleniach swego wspólnika. W wielu z tych opowieści faktyczne dokonania Jana Dolittle zostały ubarwione, ale Mateusz opowiadał o nich dostatecznie przekonująco, aby wywrzeć wrażenie na słuchaczach.

W dwa dni po krótkiej wstępnej wyprawie pana Mugga przewodniczący i sekretarz wystawy przyszli z wizytą do Jana Dolittle. Był to niemały zaszczyt nawet dla sławnego doktora, który z dumą pokazał dostojnym gościom swój cyrk.

Gości zachwycił doskonały stan zwierząt. Fred, dozorca, oprowadził ich po swojej wzorowej menażerii i pokazał takie zagrody dla słońi i lwów, jakich nigdy dotąd nie widzieli.

Największe wrażenie zrobiły na zwiedzających stajnie cyrku — duma doktora — białe emaliowane żłoby, białe kamienne wiadra, wełniane derki dające się prać, wentylatory, które konie mogły same włą-



czać i wyłączać; cudowna czystość, zdrowa i wesoła atmosfera zachwyciła ich po prostu. Zapytali doktora, jak tego wszystkiego dokonał i wpadł na takie pomysły. Doktor uśmiechał się i próbował zmienić temat, ale przewodniczący zarządu z uporem donnał się odpowiedzi.

W końcu Jan Dolittle powiedział:

— Na pewno mi pan nie uwierzy, tak jak nie wierzy większość ludzi, ale w istocie każdy drobiazg i wszystkie urządzenia w tych stajniach zostały obmyślane przez same konie. Tak mianowicie wyobrazają one sobie dobrze prowadzoną stajnię. Ja zmieniłem tylko ich życzenia w rzeczywistość, gdyż rozumiem ich mowę.

Po wizycie dyrektora i sekretarza w cyrku zarządowi wystawy zależało jeszcze bardziej na zapewnieniu sobie współpracy doktora. Zaproszono go do obejrzenia hali i terenów wystawowych na dwa dni przed otwarciem, aby mógł udzielić rad co do pomieszczeń dla zwierząt oraz poddać pomysły w innych sprawach.

W wyprawie towarzyszył mu naturalnie Mateusz, a również Dab-Dab, której zdania o wystawie kaczek doktor był bardzo ciekawy. Do towarzystwa przyłączył się Jip, którego interesował pokaz tresowanych owczarków, a także Geb-Geb; chciała ona koniecznie zobaczyć nagrodzone kartofle.

Teren wystawy był większy, niż przypuszczali. Wiele namiotów i stoisk nie było jeszcze gotowych, większość dopiero budowano, ale i tak całość przedstawiała się imponująco. Wystawiono wszystko, co miało jakikolwiek związek z rolnictwem: pługi, bro-

ny, żniwiarki, wylęgarnie, kurniki, nożyce do strzyżenia owiec, różne rodzaje ogrodzeń, nagrodzone warzywa, hodowlę pomidorów w oranżeriach, chemiczne aparaty do badań gruntów, wspaniałe konie wszelkich ras, od czarnej szkapy chłopskiej do małego rasowego kucyka. Ciągnęło się to wszystko dosłownie milami i trzeba było dużo czasu, aby zwiedzić całą wystawę.

Oczywiście Mateusz, jak zwykle, postarał się o to, aby dać doktorowi sposobność do podzielenia się swą wiedzą. Gdy Jan Dolittle stanął z podziwem przed parą rasowych kucyków, wystawca zwrócił się do niego, pytając, czy rzeczywiście, jak słyszał, doktor sam poczynił ciekawe doświadczenia, dotyczące hodowli kucyków.

— Ojej, ojej — zaśmiał się doktor — więc i tym pochwalił się Mateusz? Tak, zajmowałem się trochę hodowlą, ale niewiele.

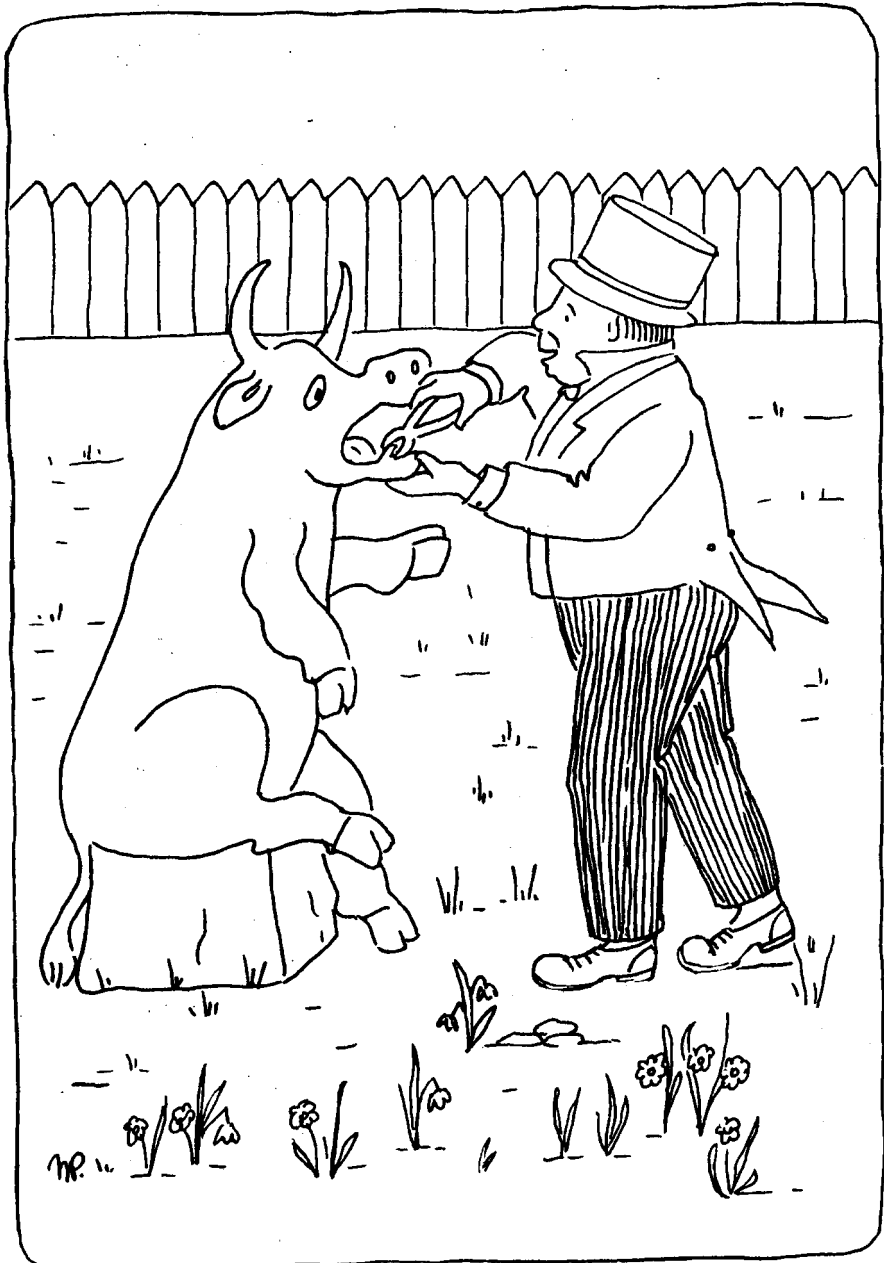
— Niewiele! — krzyknął Mateusz. — A konik-karzełek, którego pan wyhodował i który był jeszcze mniejszy od najmniejszego z kucyków?

— Tak, tak, możliwie najmniejszy wzrost Shetland-kucyków jest teraz najbardziej pożądanym — rzekł hodowca. — Za taki zaprzęg można osiągnąć najwyższą cenę, jeśli kuczki są dobrze dobrane i najmniejszego wzrostu. Cieszyłbym się, gdyby mi pan udzielił jakichś wskazówek na ten temat.

— To, o czym mówił Mateusz — wyjaśniał doktor — zdarzyło się przed kilku laty, gdy podróżując znalazłem się w Burmie. Dowiedziałem się tam o specjalnym gatunku ryżu, który — dawany był od urodzenia jako pokarm — wpływa ogromnie na zaha-

mowanie jego wzrostu. W owym czasie przepadano tam za małymi zwierzętami, chciałem więc wypróbować, co się da w tej dziedzinie osiągnąć. Po kilku próbach udało mi się wyhodować kucyka, który mógł się pomieścić w moim kapeluszu. Było to bardzo mądre, małe stworzenie, ale nie powtórzyłem już nigdy tego eksperymentu. Zwierzątko cierpiało bowiem ogromnie z powodu swej nienaturalnej postaci, mimo że panie z Burmy o mało go na śmierć nie zapieściły — pod tym względem wiodło mu się bardzo dobrze. Pewnego dnia jakiś pies wziął go za królika i trzymając w zębach, uciekał z nim tak prędko, że namęczyłem się porządnie, aby go dogonić i odebrać mu mego konika. Doszedłem wtedy do przekonania, że muszę ograniczyć jego swobodę, aby uchronić zwierzątko przed mnóstwem czyhających na nie wrogów, którzy nie odważyliby się go napastować, gdyby miało normalny wzrost. Wydało mi się to niesprawiedliwością wobec niego. W końcu podarowałem mego kieszonkowego konika królowi syjamskiemu, który urządził dla niego mały ogródek, otoczony murem pokrytym siatką, chroniącą przed jasztrębiami. Postanowiłem nigdy więcej nie hodować kieszonkowych koni.

Współpraca Jana Dolittle z Królewską Wystawą Rolniczą okazała się bardzo owocna. Skłonił on na przykład komitet, by przeznaczył dla niego specjalne zagrody z pół tuzinem pięknych koni i krów, i tam mógł zademonstrować swoje higieniczne wiadra do pojenia bydła. Wynalazł je przed kilku laty, aby zapobiec szerzeniu się wśród zwierząt zarazy racic i pysków oraz innych chorób. Wiadra posiadały tę



właściwość, że opróżniały się same; gdy konie ocierały się o nie pyskami, odkręcały kurek wodociągu i napełniały wiadra automatycznie. Tak więc naczynia te opróżniały się i opłukiwały mechanicznie, gdy nie były w użyciu. W ten sposób zwierzęta zawsze miały świeżą wodę do picia.

Konie i krowy, które pierwsze wykonały próbę z higienicznymi wiadrami, przyzwyczały się do nich prędko i przez cały czas trwania wystawy ich zagrody oblegał tłum widzów.

Jeszcze jedno nowoczesne ulepszenie wprowadził Jan Dolittle: aptekę dla zwierząt. Można w niej było dostać wszystkie lekarstwa: maści, mydła, środki na porost sierści i wszelkie inne leki, które podczas swej długiej praktyki lekarskiej doktor uznał za dobre i niezawodne. Wśród nich znajdowała się także maść dla koni Brauna, którą doktor wypróbował. Również jego krople na kaszel dla kanarków (które okazały się tak samo skuteczne dla drobiu), jego maść przeciw liszajom i wiele innych środków można było dostać w tej aptece.

Poza tym doktor urządzał w niej osobiście każdego dnia po obiedzie pokaz swoich wynalazków w dziedzinie chirurgii zwierząt. Większość pacjentów, zgłaszających się co dzień do cyrku, była kierowana przez Jipa i Dab-Dab na wystawę rolniczą. Doktor zestawiał tam kości i leczył publicznie wszelkie cierpienia psów, koni i cieląt, tak że ci, których interesowała chirurgia zwierząt, mogli się tu dużo nauczyć.

Wielu weterynarzy, zwiedzających wystawę, krzywiło się na aptekę zwierząt i klinikę chirurgiczną; usiłowali oni ogłosić doktora oszustem. Nadzwyczaj-

ne powodzenie jego lecznictwa przekonało jednak w końcu publiczność o rzetelności tych zadziwiających metod. Również i fakt, że Dolittle był doktorem medycyny, utrudniał jego konkurentom zbuntowanie przeciwko niemu opinii publicznej. Bardzo prędko weterynarze przekonali się, że umie on więcej od nich i byli radzi, że mogą się od niego czegoś nauczyć.

W ostatnich tygodniach trwania wystawy godziny przyjęć doktora Dolittle stały się rodzajem odczytów o środkach leczniczych dla zwierząt i o chirurgii zwierząt. Stoisko doktora znikało po prostu w tłumie lekarzy i studentów, przypatrujących się i przysłuchujących, jak nastawia on zwichnięty obojczyk owcy, jak leczy kulejącego konia, jak plombuje zęby krowom i dokonuje cudownych operacji, o których nikt dotąd nie miał pojęcia.

Zarząd wystawy stwierdził po jej zakończeniu, że tego roku napływ publiczności był dwukrotnie większy niż w latach poprzednich, i przypisał to niezwykle zainteresowanie wystawą udziałowi w niej doktora Jana Dolittle.

Rozdział V

## Zespół cyrku Dolittle zwołuje wiec

Liczba przedstawień opery kanarków przewyższała o wiele cieszące się największym powodzeniem widowisko londyńskie. Mijał tydzień za tygodniem, a napływ widzów się nie zmniejszał; widownia co

wieczór była bardziej przepełniona, a liczba ludzi, odprawianych od kasy z powodu braku miejsc, coraz większa.

Setne przedstawienie zostało uczczone bankietem u Pattiego na ulicy Strand. Na uroczystości tej zabrakło kilku osób, obecnych podczas pierwszego przyjęcia. Powodem tego było przejście w stan spoczynku wielu członków zespołu, którzy zarobili już dość pieniędzy, aby móc sobie na to pozwolić.

Herkules powrócił do swego zacisznego domku i ogrodu róż nad morzem. Bracia Pinto porzucili swą pracę, tak samo jak Henryk Crockett, główny aktor teatryku marionetek.

Kiedy po bankiecie wygłaszano mowy, podniósł się również kłown Hopp i oznajmił towarzystwu, że dziś wieczór wystąpił ostatni raz przed publicznością. On także chce już porzucić cyrk, i jakkolwiek bardzo niechętnie rozstaje się ze swym najlepszym przyjacielem i dyrektorem Janem Dolittle — w tym miejscu wszyscy krzyknęli „hurra!” — to jednak przez całe życie marzył o podróżach do dalekich krajów. Teraz posiada nareszcie dość pieniędzy, aby móc spełnić to pragnienie. Jego pies Sus zdecydował się jednak na pozostanie z doktorem, a więc on sam nie rozstaje się całkowicie z cyrkiem, gdyż jego najbliższy długoletni towarzysz utrwali tutaj jego pamięć.

Stroje uczestniczących w uroczystości osób różniły się wyraźnie od tych, w których wystąpiły one za pierwszym razem.

Naczelna garderobiana, pani Mugg, prowadząca dziennik cyrku Dolittle, błyszczała od klejnotów.

Również Mateusz Mugg, który wygłosił długie płynne przemówienie, miał wpięte w koszuli trzy olbrzymie brylanty jako spinki, a czwarty, jeszcze większy, skrzył się w pierścionku na palcu. Sam Jan Dolittle miał nowiuteński frak, uszyty przez świetnego krawca. Zwierzył się jednak, że nie czuje się w nim ani w połowie tak wygodnie, jak w tym, w którym popękały szwy na plecach, gdy wygłaszał powitalną mowę na pierwszym bankiecie.

W swoim przemówieniu doktor wspominał nieobecnych byłych współpracowników. Mówił, że cieszy się, iż jego wytrwałość w prowadzeniu cyrku dała wielu członkom możliwość spełnienia życzeń. Pieniądze same przez się uważa zawsze za przekleństwo, gdyż zbyt często nie pomagają, lecz przeszkadzają one ludziom w czynieniu tego, czego najbardziej pragną. On sam ze swymi współpracownikami przebywa już trzy miesiące w Londynie, a rozkwitające pąki na drzewach w parku przypominają mu jego własny dom w Puddleby, jego ogród i plany, które od tak dawna zaniedbuje. Zanim upłyną następne trzy miesiące, spodziewa się, że i on będzie mógł porzucić cyrk, a i innym członkom zespołu, którzy przyczynili się do powodzenia „Ptasiej Opery”, również będzie się powodzić na tyle dobrze, aby mogli żyć zgodnie ze swymi życzeniami.

Pożegnanie kłowna Hoppa z cyrkiem Dolittle było wzruszające. Płacząc leżeli z Susem w objęciach, a gdy nadeszła chwila rozstania, Sus miotany był sprzecznymi uczuciami. Chciał iść za Hoppem, ale nie potrafił rozstać się z Janem Dolittle i jego zwariowanym zespołem. Nie mógł jednocześnie być tu



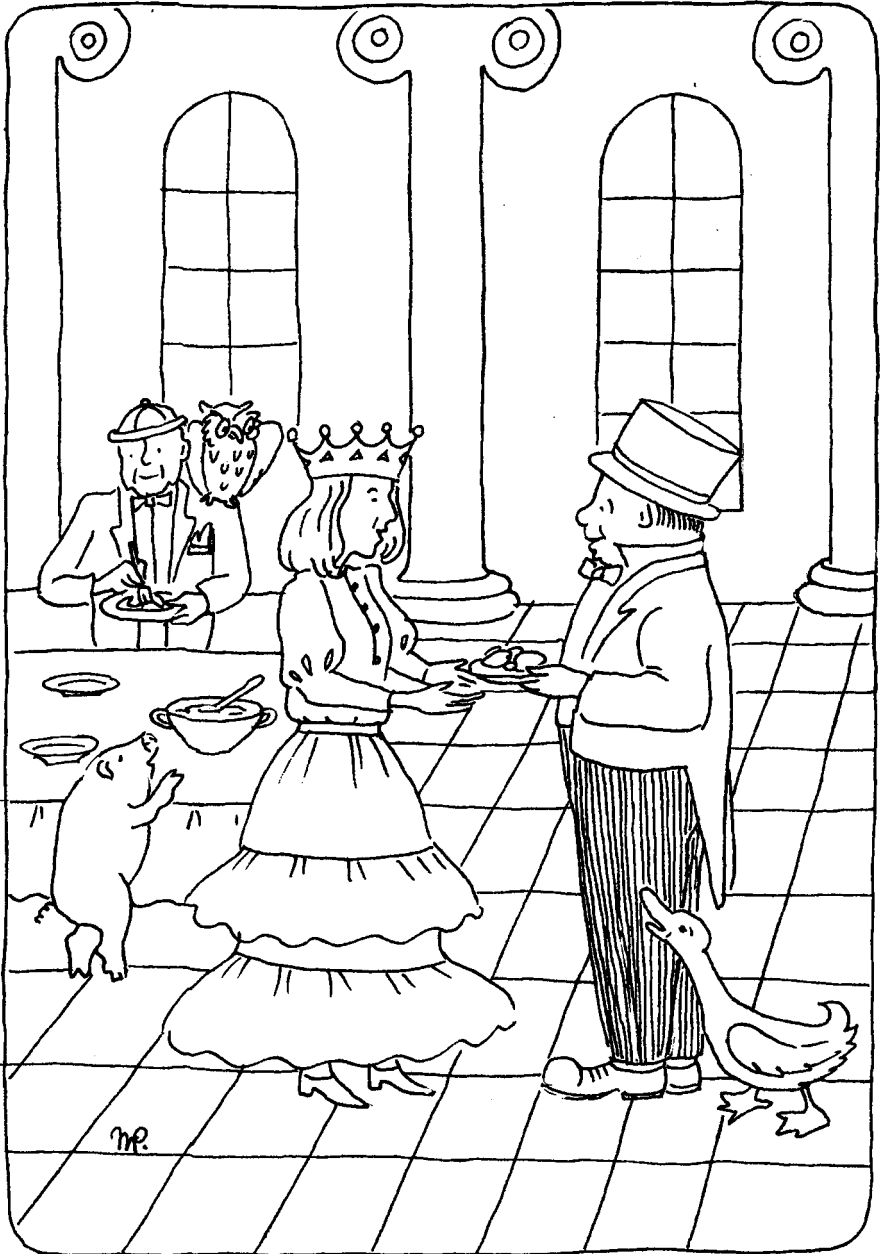
i tam — dopiero gdy go Hopp za pośrednictwem doktora zapewnił, że będzie stale w listach donosił o swoim zdrowiu i powodzeniu, pies pocieszył się. Jednak potem jeszcze przez całą noc nie dał spać Jipowi i Toby'emu, męcząc ich swymi wątpliwościami i skrupułami.

— Wiecie — powiedział nagle, gdy tamci w radosnej pewności, że zasnął nareszcie, zabierali się również do snu — wiecie, nie powinienem był go opuścić. Był dla mnie zawsze bardzo wyrozumiałym i dobrym panem. Jestem podły, że mogłem go po tylu latach opuścić.

— Ach, zapomnij o tym i zaśnij — powiedział Toby z gniewem. — Nie wiem, z jakiego powodu robisz sobie wymówki. Pracowałeś na swoje utrzymanie, pomagałeś mu w cyrku, byłeś w ogóle lepszym klow-nem niż on. Publiczność śmiała się o wiele częściej z twoich żartów niż z niego. Teraz wychodzi z cyrku z mnóstwem pieniędzy, które mu pomogłeś zarobić. Jeśli masz większą ochotę zostać przy Janie Dolittle, wówczas gdy Hopp będzie jeździł po świecie i bawił się, to twoja rzecz i nikogo nie powinno to obchodzić.

— Tak, tak, zapewne — powiedział Sus w zamyśleniu — a jednak Hopp był takim przyzwoitym człowiekiem.

— Mój pan, Henry Crockett, był również przyzwoitym człowiekiem — powiedział Toby. — A jednak opuściłem go, a właściwie on opuścił mnie w taki sam sposób. I ja również wolałem zostać przy Janie Dolittle. Przyczyniłem się do powodzenia teatrzyku marionetek. Nie czuję się winny. Do stu tysięcy pio-



runów, ostatecznie nasze życie należy do nas, nawet gdy jesteśmy tylko psami!

W końcu Sus dał się przekonać, że może nie mieć wyrzutów sumienia z powodu Hoppa, a Jip i Toby mogli wreszcie około drugiej po północy zasnąć i śnić spokojnie do rana. Jan Dolittle również źle spał tej nocy i myślał o różnych sprawach, związanych z operą zwierząt, a ponieważ legowisko psów mieściło się w korytarzu pod jego drzwiami, słyszał tę całą rozmowę.

To, co powiedział Toby, który, jak wiecie, zawsze upominał się o swoje prawa i twierdził, że psom przysługuje prawo do własnego życia, nasunęło doktorowi poważne myśli. I następnego dnia po długiej naradzie z buchalterką Tu-Tu na temat spraw pieniężnych, Jan Dolittle zwołał zespół cyrkowy na wiec.

W tym celu przyjechał z całą swoją świtą do cyrku. Było to osobliwe zebranie. Liczba obecnych zwierząt przewyższała o wiele liczbę ludzi. Jan Dolittle nie uświadamiał sobie dotąd, jak bardzo przzerzedziły się szeregi jego współpracowników. Wszyscy zgromadzili się w jednym z większych namiotów, a dyrektor Dolittle wstał i wygłosił przemówienie najpierw w języku ludzkim, a potem w języku zwierząt.

— Nasz wspólny system pracy, którym się kierujemy — mówił — okazał się, jak to mogę dziś stwierdzić — bardzo owocny. Uważam jednak, że będzie przywoicie, jeżeli teraz, gdy w głównej mierze dzięki operze kanarków złożyliśmy już pokaźną sumę na koncie bankowym, dopuścimy do zysków również zwierzęta, które tak poważnie przyczyniły się do po-

wodzenia naszych przedstawień. W każdym razie byłoby pożądane, aby, gdy cyrk się rozwiąże, wszyscy nasi aktorzy otrzymali zabezpieczenie. Proponuję więc, żeby nasi współpracownicy, zwierzęta, uzyskały w naszym przedsiębiorstwie taki sam udział, jak my, i żeby otworzyć im w bankach własne rachunki otwarte. Zająłem się już tą sprawą i dowiedziałem, że zwierzęta mogą posiadać swoje konta i książeczki czekowe, przynajmniej w niektórych bankach, jednak pod warunkiem, że ktoś będzie upoważniony do wypisywania za nie czeków. Dla omówienia tej sprawy zwołałem was tutaj i proponuję, byśmy się nad nią zastanowili.

Potem nastąpiła krótka dyskusja. Naturalnie wszystkie zwierzęta, z małymi wyjątkami, były tego samego zdania co doktor. Protest zgłosili jedynie: robotnik stawiający namioty i bileter z kasy cyrkowej. Powiedzieli, że nie mogą zrozumieć, na co zwierzętom potrzebne są pieniądze. Głosowali więc przeciwko temu wnioskowi.

Trzej inni członkowie zespołu — Jan Dolittle, Mateusz i Fred — głosowali za wnioskiem. W ten sposób wniosek został trzema ludzkimi głosami przeciw dwóm przegłosowany.

Kiedy tego samego wieczoru po przedstawieniu, przy kolacji, sprawa ta jeszcze raz była omawiana, doktor wyłuszczył zwierzętom swoje racje.

Nalewając sobie drugą filiżankę kakao, powiedział:

— Myślę nie tylko o tym, żeby zabezpieczyć zwierzęta na starość, gdy mnie już może nie być, ale spodziewam się w ten sposób podnieść ich pozycję w świecie. Istnieje stare przysłowie: „Pieniądze czy-

nią człowieka". Twierdzą zawsze, że pieniądze to straszna rzecz, ale równie straszne jest być ich pozbawionym, gdy inni je mają. Jednym z głównych zarzutów, które stawiałem zawsze ludziom, był ten, że nie mają szacunku dla zwierząt. Natomiast ci sami ludzie mają wielki szacunek dla pieniędzy. Może zwierzęta, posiadające własny majątek w banku, będą w stanie zdobyć szacunek tych ludzi. Jeśli ktoś postąpi wobec nich nieprzyzwoicie albo krzywdząco, będą mogły opłacić adwokatów, aby wystąpili w ich obronie.

— Ale w jaki sposób będzie się wypisywało czek, panie doktorze? — zapytała buchalterka Tu-Tu.

— I o tym również mówiłem już z adwokatami i dyrektorami różnych banków — powiedział Jan Dolittle. — Większość z nich uważała mnie za wariata i nie chciała ze mną mówić. Dwa banki oświadczyły jednak, że jeśli jakiejś osobie da się pełnomocnictwo do wypisywania czeków, do wpłacania i odbierania pieniędzy, nie będą miały nic przeciwko temu, żeby zwierzęta otworzyły konto na swoje imiona. Adwokaci zaś zdecydowali, że występując w obronie zwierzęcia-klienta trzeba będzie się zdać na decyzję sądu. Będzie to coś zupełnie nowego i bardzo interesującego. Chciałbym, aby wkrótce nadarzył się jakiś proces, by się przekonać, jaki to przybierze obrót. W każdym razie położenie zwierząt poprawi się znacznie, gdy będą mieć własne pieniądze i własną obronę prawną.

Wkrótce udział zwierząt we wspólnych zyskach cyrku Dolittle stał się faktem i w bankach otwarto rachunki na imiona zwierząt — członków trupy cyrkowej Dolittle.

Gdy wręczono Geb-Geb jej książeczkę czekową — była zachwycona. Zaczęła teraz zamęczać Tu-Tu ciągłymi pytaniami, czy buchalterka nie wie, ile ona, Geb-Geb, ma już pieniędzy w banku, a każdej napotkanej świni groziła, żeby się miała na baczności, mówiąc z nią, gdyż inaczej napisze list do swego adwokata i zaskarży ją do sądu.

Jip zyskał pokaźną sumę, bo doktor wpłacił na jego konto pieniądze, wypłacone przez pana Poulaina.

Dab-Dab oświadczyła, że jest jej obojętne, czy i gdzie jej pieniądze są złożone. Z początku nie pochwalala w ogóle tego pomysłu, ale po namyśle uznała go za doskonały, gdyż w ten sposób duża część pieniędzy została uchroniona przed roztrwonieniem przez doktora; później, gdy okażą się potrzebne, będzie je można zużytkować na powrót do Pudleby i do spokojnego życia.

## Rozdział VI

### Sposoby wydawania pieniędzy

Teraz, gdy zwierzęta miały już własne pieniądze, Jan Dolittle postanowił pozwolić im swobodnie nimi rozporządzać. Prawdę powiedziawszy doktor był do najwyższego stopnia zaciekawiony tym, jak zwierzęta będą sobie radziły. Uważał to za nowy eksperyment. Uważał, że mając swobodę, roztrwonią swoje świeżo uzyskane bogactwo. Jednak, jakkolwiek **doktor** nie wywierał na nie pod tym względem **żadnego** wpływu, okazało się, że zwierzęta ogromnie **pilnują** się wzajemnie.

Wieczorem tego dnia, kiedy stały się bogate, doktor został dłużej w teatrze z dyrektorami i zwierzęta zasiadły same w kuchni do kolacji.

— Co zrobisz ze swoimi pieniędzmi, Jip? — zapytała biała mysz.

— Nie wiem jeszcze dokładnie — rzekł Jip. — Miałem już od dawna chęć na otwarcie bezpłatnej kuchni dla psów we wschodniej części miasta. Nikt nie domyśla się nawet, ile ich ginie na ulicach. Miejsce, gdzie sieroty i przybłądy mogłyby przyjść, otrzymać kość albo przyzwoity posiłek, a nawet posłanie na noc, gdzie nie zadawano by im żadnych pytań, byłoby dla nich prawdziwym dobrodziejstwem. Mówiłem już o tym z Janem Dolittle, a on obiecał, że zastanowi się nad tym.

— Nie, nie wolno ci tego robić! — zawołała Dab-Dab z goryczą. — Żadnych przytułków dla zabłąkanych albo wynędzniałych psów! Nie, dziękuję. Wiem, co to znaczy. Pamiętasz przytułek dla starych koni? Właśnie od podobnych spraw musimy powstrzymać doktora. Ja zostawię swoje pieniądze tam, gdzie leżą, to znaczy w banku. Jan Dolittle może być teraz bogaty (jeśli to, co Tu-Tu mówi, jest prawdą, jest tak bogaty, jak burmistrz Londynu), ale nikomu pieniądze tak szybko nie przeciekają przez palce, jak jemu. Nie bójcie się, dzień, w którym doktor będzie znów bez grosza, nadejdzie niewątpliwie. Wtedy my, rozporządzając pieniędzmi, które złożył dla nas w banku, będziemy mogły mu pomóc. Niech mówi, co chce, żeśmy je same zarobiły, wy wiecie dobrze, że bez niego nie zarobiłybyśmy ani grosza.

— Ja — odezwała się, bijąc się w piersi, Geb-Geb — ja otworzę za swoje pieniądze sklep z warzywami.

— Na litość boską, słyszeliście, co ona wygaduje! — jęknęła Dab-Dab, wytrzeszczając oczy.

— Dlaczegoż by nie? — rzekła Geb-Geb. — Jestem dostatecznie bogata, żeby zakupić wszystkie głowy kapusty z całej Anglii. Jestem najbogatszą świnia w Londynie.

— Jesteś najgłupszą świnia na całym świecie — zakwakała gosposia. — Z pewnością połknęłabyś wszystkie swoje warzywa zamiast je sprzedawać. Jeśli koniecznie chcesz założyć sklep, to zaczekaj przynajmniej z tym, aż wrócimy do Puddleby.

I jakkolwiek zwierzęta z cyrku Dolittle uzyskały, pierwsze na świecie, niezależność, jaką dają pieniądze, nie skłaniały się wcale po wspólnej naradzie do nierozważnego i lekkomyślnego trwonienia grosza. Wszystkie nowe udogodnienia, które chciały wprowadzić, były rozsądne. Doktor stwierdził z triumfem słuszność swojej teorii, że właściwie traktowane zwierzęta mogą się zachowywać równie rozsądnie jak ludzie.

Trudno było jednak wymagać, aby zwierzęta wyrzekły się wszystkich przyjemności, które dawały się nabyć za pieniądze. Każde z nich, dowiedziawszy się przedtem od Tu-Tu, czym może rozporządzać, czyniło małe zakupy na własną rękę — dla uczczenia tego dnia, jak mówiła Geb-Geb.

Biała mysz kupiła przede wszystkim próbki zagranicznych serów i w tym celu poszła z doktorem do bardzo drogiego, położonego w zachodniej dzielnicy miasta sklepu, gdzie sprzedano jej po ćwierć kilogra-



ma sera każdego gatunku, jakie się tam znajdowały. Jan Dolittle nie znał nawet połowy tych nazw, również Geb-Geb, słynna smakoszka, nie próbowała nigdy wielu z tych gatunków. Mimo to zapamiętała sobie ich nazwy i smak, aby wspomnieć o nich w swojej nowej książce „Historia pożywienia” (w dziesięciu tomach), nad którą teraz pracowała.

Geb-Geb sama nabyła różne warzywa i owoce cieplarniane; kupiła wszystko, co o tej porze roku było najrzadsze i najdroższe, zaczawszy od karczochów, a skończywszy na gruszkach. Pewna klientka, która znajdowała się wówczas w sklepie, była oburzona, że te wszystkie smakołyki przeznaczone są dla świni, gdyż Geb-Geb kosztowała wszystko zaraz na miejscu. Ponieważ klientka była osobą, która do wszystkiego lubiła się wtrącać, zaczęła doktorowi prawić morały, że pozwala na to, aby tak wytworne nowalie marnowane były dla świni.

— Niech jej pan powie, że kupuję je sobie za własne pieniądze — powiedziała Geb-Geb, wychodząc na ulicę z dumnie podniesioną głową i rykiem pełnym szparagów.

Innym zbyt kownym przyzwyczajeniem Geb-Geb było codzienne polerowanie swych kopytek. Umówiono się z małym czyścicielem butów, który mieszkał w pobliżu, że podejmie się tej roboty; codziennie rano Geb-Geb stawała na jego podnóżku i dawała sobie czyścić kopytką, aż błyszczały tak, że można się było w nich przejrzeć. Dab-Dab gniewała się o to strasznie, nazwała to głupią próżnością i rozrzutnością, ale doktor uspokoił ją mówiąc, że to bardzo mało kosztuje, tylko pensa dziennie. W końcu nie



miałoby sensu dać Geb-Geb pieniądze i nie pozwolić, aby zadowolila własną próżność.

— Ale po co to? — upierała się oburzona Dab-Dab, czyszcząc piórka. — Jej z tego nic nie przyjdzie, a nas jej głupie polerowane kopyta nic nie obchodzą.

— Być może — rzekła na to Geb-Geb — w każdym razie jestem teraz najwytworniej ubraną świnia w Londynie.

— Najwytworniej ubraną? — zakwakała Dab-Dab. — Przecież nie jesteś w ogóle ubrana.

— No to najbardziej wypielęgnowaną — rzekła Geb-Geb — i właśnie tak być powinno. Muszę podtrzymać sławę mego nazwiska. Wszędzie wskazują na mnie dzieci i mówią: „Patrzcie, to Geb-Geb, znakomita aktorka”.

— Raczej znakomity pyszałek — mruknęła Dab-Dab i wróciła znowu do swoich garnków. — Zdaje mi się, że mogę przy tym zmywaniu zapracować się na śmierć, a to głupie, spalone stworzenie będzie się tymczasem przechadzało po ulicach i odgrywało jakąś rolę.

— Ależ Dab-Dab — uspokajał ją doktor — nie potrzebujesz teraz prowadzić gospodarstwa, wolałbym naprawdę, żebyś tego nie robiła. Możemy sobie przecież pozwolić na trzymanie służącej albo gospodyni.

— Nie — rzekła Dab-Dab. — Na to się nie skarzę. Nikt nie potrafi tak dbać o pana, jak ja. To mój obowiązek i nie odstąpię go nikomu. Nie podoba mi się tylko, że to głupie prosię staje na schodach i każe podziwiać przechodniom, jak jej czyszczą kopyta. W istocie nie zależy jej wcale na swym wyglądzie,

uważa tylko, że to należy do wykwintnej manier-y.

Nie wszystkie zwierzęta jednak użyły swych pieniędzy na zakupy w sklepach. Dab-Dab zdecydowała się w końcu na to, żeby przyjąć posługaczkę do pomocy przy zmywaniu. Ponieważ uczyniła to dla swojej wygody, uważała, że musi jej płacić pensję z własnych pieniędzy. Dziewczyna nie mogła naturalnie spać w domu, gdyż nie było dla niej miejsca, jedynie może wśród pelikanów, a te mogły nie udzielić jej gościny, gdyż wiadomo, że zwierzętom, występującym na scenie, może się przewrócić w głowie.

Pomywaczka została przyjęta, i gdy ją gosposia Dab-Dab — Jan Dolittle był tłumaczem — zaznałomiła z obowiązkami, przystosowała się doskonale do gospodarstwa Dolittle. W końcu tak się przejęła przynależnością do trupy teatralnej, że sama zapragnęła gorąco wstąpić na scenę. Chciała zostać śpiewaczką operową, ale Dab-Dab orzekła, że jest wprawdzie bardzo dobrą pomywaczką, ale do opery się nie nadaje. Mimo to zamęczała Jana Dolittle bezustannie, by dał jej rolę w operze, tak że w końcu doktor przychodził do domu dopiero wtedy, gdy pomywaczki już nie było. Rano zaś Dab-Dab uprzedzała go zawsze, w którym pokoju dziewczyna się znajduje, aby mógł się wymknąć na ulicę, nie spotkawszy jej na schodach lub w przedpokoju.

Sus zużytkował swój wkład w banku w osobliwy sposób, otwierając nowe możliwości zamożnym zwierzętom. Dowiedział się on przypadkowo od kilku chorych psów, które odwiedziły klinikę doktora, że posiada siostrę, mieszkającą na przedmieściu,

w południowej części miasta. Sus odwiedził ją i zabrał ze sobą doktora. Siostra wyszła w międzyczasie za mąż, minęło bowiem już siedem lat, odkąd jej nie widział, i była matką pięciorga ładnych, małych piesków. Dwa z nich okazały się wątłe i Maggie, siostra Susa, była niezmiernie rada z odwiedzin doktora, gdyż mogła zasięgnąć fachowej porady.

— Żadnemu z dzieci nic nie grozi — powiedział doktor — potrzeba im tylko świeżego powietrza. Powietrze londyńskie nie jest najlepsze. A ta szopa, w której mieści się twoja buda, jest bardzo ciasna i duszna. Małe muszą przebywać na powietrzu.

— Ale jak mam to zrobić, panie doktorze? — zapytała Maggie. — Z trudem biegają, a gdyby nawet dobrze biegały, nie odważyłabym się nigdy puścić ich samych na ulicę, dopóki nie nabędą rozumu, z obawy, że zostaną przejechane.

— Mam pomysł, panie doktorze! — zawołał nagle Sus. — Przyjmiemy niańkę do moich siostrzeńców. Teraz, kiedy mam pieniądze, mogę sobie na to pozwolić.

I tak się stało. W dzień czy dwa dni później ujrzano na ulicach zgrabną niańkę, wożącą w wózku pięcioro małych piesków; każdy z nich ubrany był w ciepły kaftanik, robiony na drutach z białej włóczki. Niekiedy towarzyszył im dumny wujaszek Sus, pies z cyrku Dolittle. Niańka została jednak po dwóch tygodniach odprawiona, a na jej miejsce przyjęto nową. Młode pieski skarżyły się bowiem, że czyści im publicznie uszy, a to uwłacza ich godności.

## Bank dla zwierząt

Po przyznaniu zwierzętom prawa do własnych pieniędzy doktor wpadł na nowy pomysł — otwarcia banku dla zwierząt. To przedsięwzięcie nie cieszyło się długim życiem, w każdym razie zasłużyło ono na wzmiankę w pamiętnikach doktora Dolittle, jako znamienne zdarzenie w historii zwierząt.

Jip, który interesował się zawsze losem swych mniej szczęśliwych braci, pierwszy naprowadził doktora na ten pomysł.

— Wie pan, panie doktorze — powiedział — jeśli ja mogę prowadzić skład kości, myślę, że inne psy mogłyby robić to samo. Jednym z powodów, dla których nie zabierają się do tego, jest to, że nie mogą przechować swych pieniędzy, nawet gdyby potrafiły je zarobić; dlatego uważam, że należałoby założyć prawdziwy bank dla zwierząt. Jeśli raz przyznamy, że zwierzętom służy to samo prawo posiadania, co ludziom, to cóż z tego wyniknie? Można by zwierzęta zatrudniać w rozmaitych zawodach, gdzie mogłyby dostawać pieniądze, pensje albo posiadać udziały. Przede wszystkim jednak potrzebny im jest bank.

— Rozumiem twój punkt widzenia, Jip — rzekł doktor. — Uważałem zawsze, że na przykład konie mają pełne prawo do otrzymywania zapłaty za swoją pracę. Powiedzmy: tyle a tyle za przewóz. Nie widzę także powodu, dlaczego psy podwórzowe nie miałyby dostawać tej samej zapłaty, co stróże. Wykonują przecież tę samą, a nawet cięższą pracę. Zastanów-

my się, jak nazwać taki bank: Kasą Pożyczkową Pracujących Zwierząt czy Stowarzyszeniem Psów i Kotów?

— Nie, nie będzie to miało nic wspólnego z psami i kotami — powiedział Jip — wyglądałoby to od razu na kłótnię. Poza tym koty nie wezmą w tym udziału, nie będą nigdy zarabiały pieniędzy, bo nie potrafią ich zużytkować. Nie posiadają żadnego instynktu społecznego i są z natury leniwe. Jedyne, czego pragną, to ciepłego kącika na słońcu albo przy piecu. Mam na myśli po prostu ogólny bank dla zwierząt. Miejsce, do którego każde stworzenie, gdy zechce, może przynieść swoje pieniądze, a towar zamienić na pieniądze, w przekonaniu, że go tam nikt nie oszuka i że majątek jego będzie strzeżony.

— Tak, sądzę, że masz rację — powiedział doktor — ale należy, się zastanowić, jak się do tego zabrać. Przepuszczalnie bardzo trudno będzie znaleźć bank, który zgodzi się wziąć na siebie obowiązki takiej instytucji. Wiesz przecież, że urzędnicy bankowi są przeważnie biedni. Pomysł wypłacania czeków dla psów i koni mogą uważać za uwłaczający ich godności. Poza tym wiele trudu kosztować będzie zainteresowanie tą sprawą finansistów. Rachunki zwierząt muszą być zabezpieczone przez bank, inaczej nie będą miały pokrycia i bank nie będzie ich wydawał. No cóż, zobaczymy. Zacznę od wizyty u bogatego przyrodnika, który pożyczył mi flamingi i pelikany. Posiada on udziały w licznych domach bankowych i może zainteresuje się tym projektem.

Kiedy doktor wyłożył swój plan przyrodnikowi, ten powiedział:

— Sam pomysł, kochany doktorze, oparty na ludzkim traktowaniu zwierząt, godny jest pochwały. Wydaje się on co prawda trochę zwariowany, ale nawet gdyby nie udało się urzeczywistnić go w całości, to nasze starania już same przez się będą stanowiły dobry uczynek. Możliwe, że pomysł ten nasunie inne, które zdobędą większe powodzenie.

Następnie porozumiał się ze swymi współnikami bankowymi i namówił ich, by zaryzykowali. Wynajęto dom w dobrym punkcie i wmurowano tam mocne kasy żelazne. Napis „Bank Zwierząt” widniał na wielkiej tablicy nad bramą i białymi emaliowanymi literami wypisany był na szybach.

Przyjęto urzędników i kasjerów, kupiono dla nich biurka i liczydła. Wydrukowano księgi handlowe z nazwą banku, wytłoczoną złotymi literami na grzbiecie, a także w wielkiej liczbie książeczki czekowe ze specjalnego grubego papieru, nadającego się do użytku dla zwierząt. Poza tym wydrukowano książeczki zwane prospektami i rozesłano je w setkach egzemplarzy, żeby zawiadomić, iż powstał nowy bank i jakie jest jego przeznaczenie; we wszystkich dziennikach zamieszczono wzmianki i ogłoszenia o dacie otwarcia nowego banku. Wywołało to dużo komentarzy, krytycznych i złośliwych uwag, ale wzbudziło zainteresowanie.

Aby mieć pewność, że przedsięwzięcie się uda, Jan Dolittle obmyślił wszystko najdokładniej. Wypłacił poprzedniego wieczoru swym zwierzętom ich udziały w zyskach cyrku i opery i, jakkolwiek niektóre z nich dały już poprzednio swoje pieniądze na przechowanie do innych banków, stanęły i one przed



drzwiami w ogonku, zanim nowa instytucja została otwarta, aby okazać, że mają zaufanie do banku dla zwierząt.

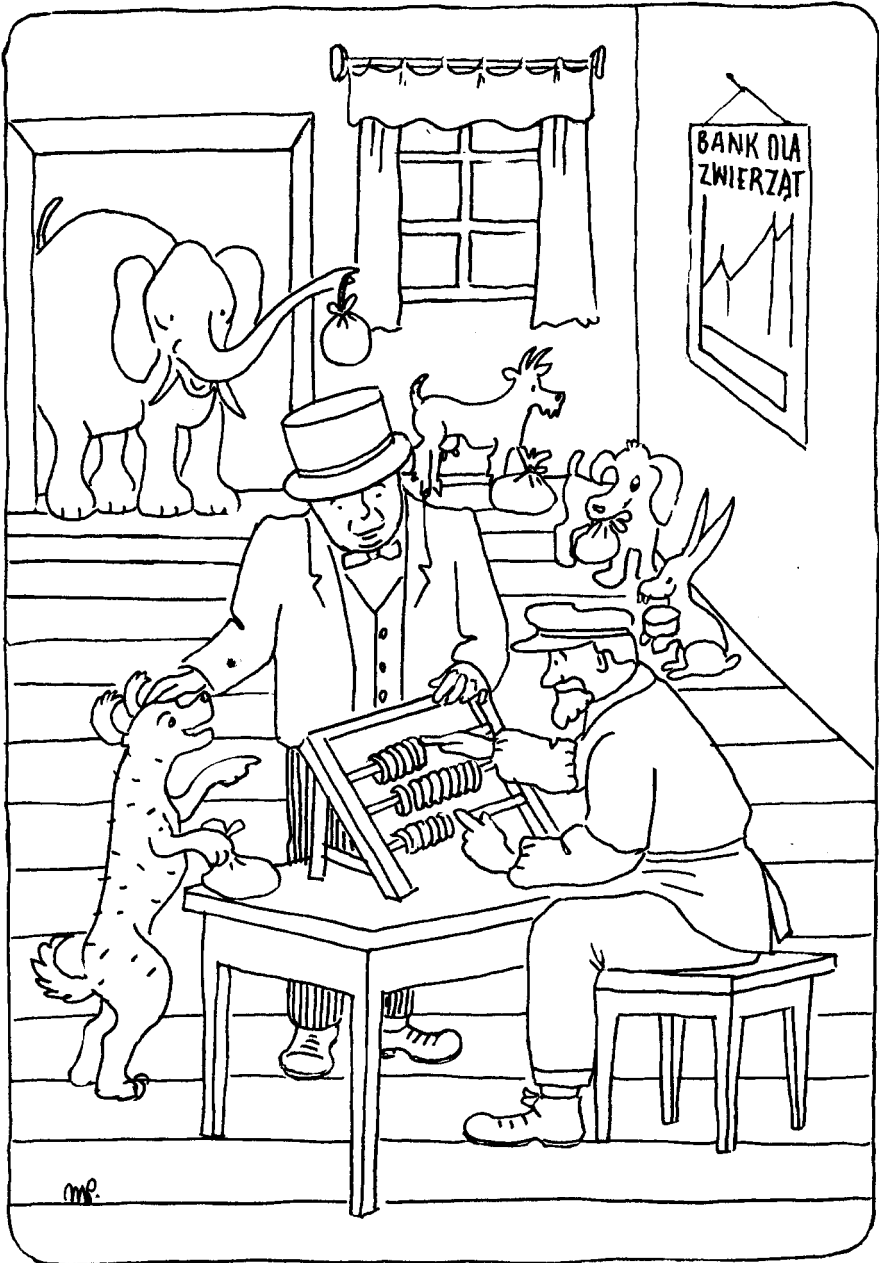
Poza własnymi zwierzętami doktor zaopatrzył w pieniądze wszystkie kosi i inne ptaki zespołu operowego, aby miały co wpłacić. Potem za pośrednictwem Tu-Tu i białej myszy zawiadomił całą zwierzyńnię z lasów i okolicznych pól, że bank zostanie otwarty o wiadomej godzinie i że każdy, kto zechce złożyć w nim pieniądze w depozycie, powinien stawić się na otwarcie, gdyż zrobi to dobre wrażenie.

Powodzenie banku przeszło najśmielsze oczekiwania doktora i Jipa. Na długo przed zapowiedzianą godziną otwarcia tłoczył się przed domem bankowym niezliczony tłum ludzi, którzy chcieli ujrzeć tę niezwykłą uroczystość, gdyż nazwisko doktora Dolittle, czarodzieja z Puddleby, które w ostatnich czasach tak często powtarzało się w gazetach na pierwszych stronach, było szczególną siłą przyciągającą.

Pewna stara kobieta z tłumu, która przybyła ze wsi, oświadczała, że nie ma zaufania do banku, ale mimo to wstała o piątej rano, aby przyjechać dylizansem i chociaż raz spojrzeć na cudotwórcę z Puddleby, który, jak głosiły gazety, był sprawcą tego przedsięwzięcia.

Oprócz licznych widzów, utrzymywanych przez policjantów w porządku, na swą kolej wpuszczenia do banku czekał długi sznur klientów-zwierząt. Zwierzęta Jana Dolittle stanowiły tylko mały procent licznie przybyłych koni, krów, psów, małą, jeży, kretów, łasic, gęsi i innych stworzeń wszelkich gatunków.

Doktor zwrócił uwagę Mateusza i przyrodnika, że



pomysł ich okazał się dobry, co widać już teraz przed otwarciem banku, ponieważ nikt z publiczności nie dokucza zwierzętom. W innym bowiem przypadku urwisy-ulicznicy nie daliby spokoju tym stworzeniom, tak różniącym się od spotykanych zwykle na ulicach miasta. Sam fakt, że przybyły one tu, aby złożyć swe pieniądze w banku, jak inni obywatele, kazał ludziom traktować je z szacunkiem.

Kiedy nareszcie na wieży kościelnej wybiła godzina dziewiąta, oczekujący tłum przebiegł dreszcz wzruszenia. Wielkie drzwi otworzyły się i wszyscy rzucili się naprzód, aby spojrzeć przez okna na to, co będzie się działo wewnątrz gmachu.

Policjanci musieli utworzyć łańcuch, aby powstrzymać tłum.

Jeden z przepisów banku głosił, że każde zwierzę, które wnosi do niego pieniądze, musi się zjawić w towarzystwie upoważnionej osoby. Dlatego każdemu ze zwierząt towarzyszył doktor albo Mateusz i podawał swe nazwisko kasjerowi przy okienku. Tego ranka miało miejsce tyle niezwykłych zdarzeń, że tłum widzów uważał, iż widowisko opłacało czas, stracony na oczekiwanie.

Pewien stary borsuk przyniósł sto złotych monet, pochodzących z zakopanego skarbu, na który natrafił kopiąc jamę w pagórku. Złoto zostało zważone, a jego wartość zapisana na dobro borsuka. Wielkie wrażenie wywołał zamknięty wóz, który utworował sobie drogę przez zwarty tłum i zajechał przed bank. Wsiadł z niego prawdziwy lew afrykański; był to lew z cyrku Dolittle, a towarzyszył mu Fred. Z wielką godnością król zwierząt wszedł do banku, złożył

tam dwieście szylingów i otrzymał specjalną książeczkę czekową ze złożonymi brzegami, którą wręczył mu sam dyrektor banku ze stosownym krótkim przemówieniem. Był to najważniejszy moment tego dnia, toteż został uwieczniony słowem i rysunkiem we wszystkich gazetach wieczornych stolicy.

Rzecz oczywista dla utrzymania banku konieczne jest prowadzenie licznych bieżących interesów. Tymczasem, jakkolwiek w dniu otwarcia zjawilo się bardzo wielu klientów, złożone pieniądze, gdy się wszystkie zliczyło, nie stanowiły wielkiej sumy. A gdy minął dzień otwarcia, a zarazem towarzysząca mu gorączka i sensacja, liczba klientów zaczęła się wydatnie zmniejszać, gdyż zwierzęta, mieszkające poza miastem, miały duże trudności z dojazdem. Dyrektor generalny banku powiedział doktorowi Dolittle przy końcu pierwszego tygodnia, że jeśli bank ma się utrzymać, trzeba znacznie zwiększyć liczbę zawieranych transakcji.

Bogaty przyrodnik uważał jednak, że ze względu na doktora i zwierzęta bank musi być czynny co najmniej dwa tygodnie; oświadczył dyrektorowi, że pokryje wszystkie straty i wypłaci pensje urzędnikom nawet wówczas, gdy bank nie będzie w ogóle miał żadnych wpływów.

Dab-Dab wskutek takiego obrotu sprawy niepokoiła się bardzo o doktora. Opowiadała wielokrotnie Jipowi i Tu-Tu, że nie będzie się czuła bezpieczna i szczęśliwa, dopóki nie sprowadzi Jana Dolittle z powrotem do Puddleby.

— Rozumie się, że i tam nikt go nie nauczy rozumu w sprawach pieniężnych — twierdziła — ale bę-

dzie miał przynajmniej mniej pokus do wydawania pieniędzy. Tutaj, w Londynie, jest ich stanowczo za dużo. Nie można przewidzieć, co mu danego dnia do głowy strzeli. Tylko szczęśliwym przypadkiem dowiedziałam się, że chciał bank zwierząt ratować od ruiny całym swym majątkiem. Mówił, że chce zostać jedynym klientem-człowiekiem i nie dopuści do tego, aby jego przyjaciel przyrodnik, który okazał mu tak wielką pomoc, stracił jeszcze więcej pieniędzy. Zużyłam więcej niż godzinę na to, aby go odwieść od tego szalonego pomysłu.

Chociaż w pismach humorystycznych zamieszczano dowcipy na temat zamknięcia banku dla zwierząt, zarówno ci, którzy pomagali przy zakładaniu banku, jak i same zwierzęta nie mieli wrażenia, że był to błędny krok, gdyż wiele stowarzyszeń, mających na celu zwalczanie okrucieństwa wobec zwierząt, odwiedziło bank i poznało przy tej sposobności Jana Dolittle.

Rozdział VIII

## Nowiny z Puddleby

Mateusz na polecenie doktora ogłaszał teraz wszystkim, że cyrk i opera wkrótce zamkną swe podwoje. Karmiciel kotów czynił to w taki sposób, że publiczność w poczuciu, iż jest to ostatnia okazja ujrzienia tak cudownego zjawiska, tłoczyła się liczniej niż kiedykolwiek do teatru "Regent" i do cyrku na łące.

Geb-Geb zapragnęła teraz popisać się czymś no-

wym i doprowadzała już samym tym pomysłem Dab-Dab do szału.

Pewnego wieczoru po kolacji bogata świnka powiedziała nagle:

— Mam nowy pomysł.

— Zapewne jeden z twoich najlepszych — zauważył Jip, który grzał się przy ogniu.

— Tak, jeden z najlepszych — rzekła Geb-Geb wybierając starannie jabłko, które chciała spożyć w łóżku. — „Ptasiej Opery”, która była poważnym i bardzo zyskownym przedsięwzięciem, nie będziemy już długo grać. Dlaczego nie mielibyśmy wystawić opery gastronomicznej, opery komicznej?

Wszyscy się roześmieli, tylko jedna Dab-Dab nie była usposobiona do takich niedorzecznych pomysłów. Podeszła do wielkiej aktorki i podsunęła jej swój dziób pod ryjek.

— Jeśli się ważysz — powiedziała — wymyślić jakieś nowe głupstwa i powstrzymać tym doktora od powrotu do Puddleby, to dopóki będę tu prowadziła gospodarstwo, nie dostaniesz nic więcej do jedzenia.

Jan Dolittle uprosił ją jednak ze śmiechem, aby pozwoliła śwince przedstawić swój projekt.

— Jest bardzo prosty — wyjaśniła Geb-Geb — na wskroś komiczna opera, w której znajdzie się tylko jedna poetyczna scena, gdy w nocy, przy blasku księżycy, nad wiosenną sałatą unoszą się wróżki gastronomii.

— Nie rozumiem — rzekł doktor — jak można napisać całą operę jedynie o jedzeniu. Przedstaw nam przynajmniej kilka scen.

— Dobrze — powiedziała Geb-Geb. — Jeden z nu-

merów może być nazwany kwartetem noży i widelców. Wiecie przecież, ile hałasu sprawiają niektórzy ludzie przy stole swymi nożami i widelcami, a potem składają je razem na talerzu na znak, że koncert jest skończony. Pomyślałam więc, że gdyby czworo ludzi jadło jednocześnie do taktu — noże i widelce w ruchu wywołają bardzo przyjemne dźwięki — powstałby interesujący kwartet.

— Dobrze — powiedział doktor. — A co dalej?

— Poza tym przyszedł mi na myśl chór zup — opowiadała dalej Geb-Geb. — Zauważyłam, że chlupanie zupy odbywa się w różnych tonacjach, a niektórzy ludzie czynią to nawet bardzo muzycznie. Partie na tenor mogłyby być chlupane przez małe psy, jak Toby, a role na bas...

— Przez świnię — wtrącił Jip.

— Jakież to wszystko niewypowiedzianie ordynarne — mruknęła Dab-Dab. — Na miłość boską, doktorze, niech pan tej świni każe iść do łóżka, zanim nie zapomnę, że jestem damą...

— Czy w twojej operze nie będzie żadnych tańców, Geb-Gebeczko? — zapytał Sus. — Nic, tylko żucie i chlupanie?

— Ależ rozumie się, że będą wstawki taneczne. Balet serwetek w pierwszym akcie i wspaniały marsz kelnerów w drugim, poza tym scherzo kaparowego sosu na zakończenie. Będą w tej operze gastronomicznej i wytworne fragmenty. Jedna z arii nazywać się będzie „Pieśni, które śpiewa mój kociołek”, inna — „Biedne, pokruszone ciasto pasztetowe” — bardzo łatwa, śpiewana przez komika-patelnię do smażenia pączków. Wreszcie pieśń miłosna,

która się zaczyna od słów: „Spotkajmy się w blasku księżycy przy wiadrze z odpadkami...”

— Twoją operę trudno będzie strawić — zauważył Jip.

— Ależ to nie jest w założeniu żadna wielka opera — broniła się Geb-Geb. — Będzie to łatwa opera, nie ciężkostrawna uczta, lecz opera buffo, jak to się mówi po francusku.

— Powiedziałbym raczej: opera-żarcie — warknął Jip.

— Wiecie — odezwał się doktor — że w tym jednak coś jest; Geb-Geb ma rzeczywiście pomysły i teraz, gdy stała się tak znana, fakt, że to ona jest autorką opery, przyciągnąłby niewątpliwie publiczność.

— Niech nas Bóg broni! — zawołała Dab-Dab. — Czyż nie mamy na pewien czas dość sceny? Czy nie mieliśmy dość powodzenia i nie zarobiliśmy dość pieniędzy? Londyńscy widzowie teatralni także nie będą wiecznie biegali na takie zwariowane widowiska. Ta „opera-żarcie” byłaby z pewnością znów nową piękną sposobnością do stracenia wszystkich zarobionych pieniędzy. Czyż i w tym musi pan koniecznie maczać palce? Pan chce wrócić do Puddleby, my wszyscy chcemy tam wrócić, musimy więc to uczynić, dopóki jeszcze są pieniądze. Świnie natchnęła próżność, a pan daje się natchnąć przez świnie.

— Moglibyśmy utworzyć doskonałą orkiestrę — ciągnęła dalej w zamyśleniu Geb-Geb — ze wszystkich naczyń kuchennych, pokryw do garnków i dźwięczących kieliszków do wina.

Na pomoc biednej Dab-Dab, która na myśl, że Jan



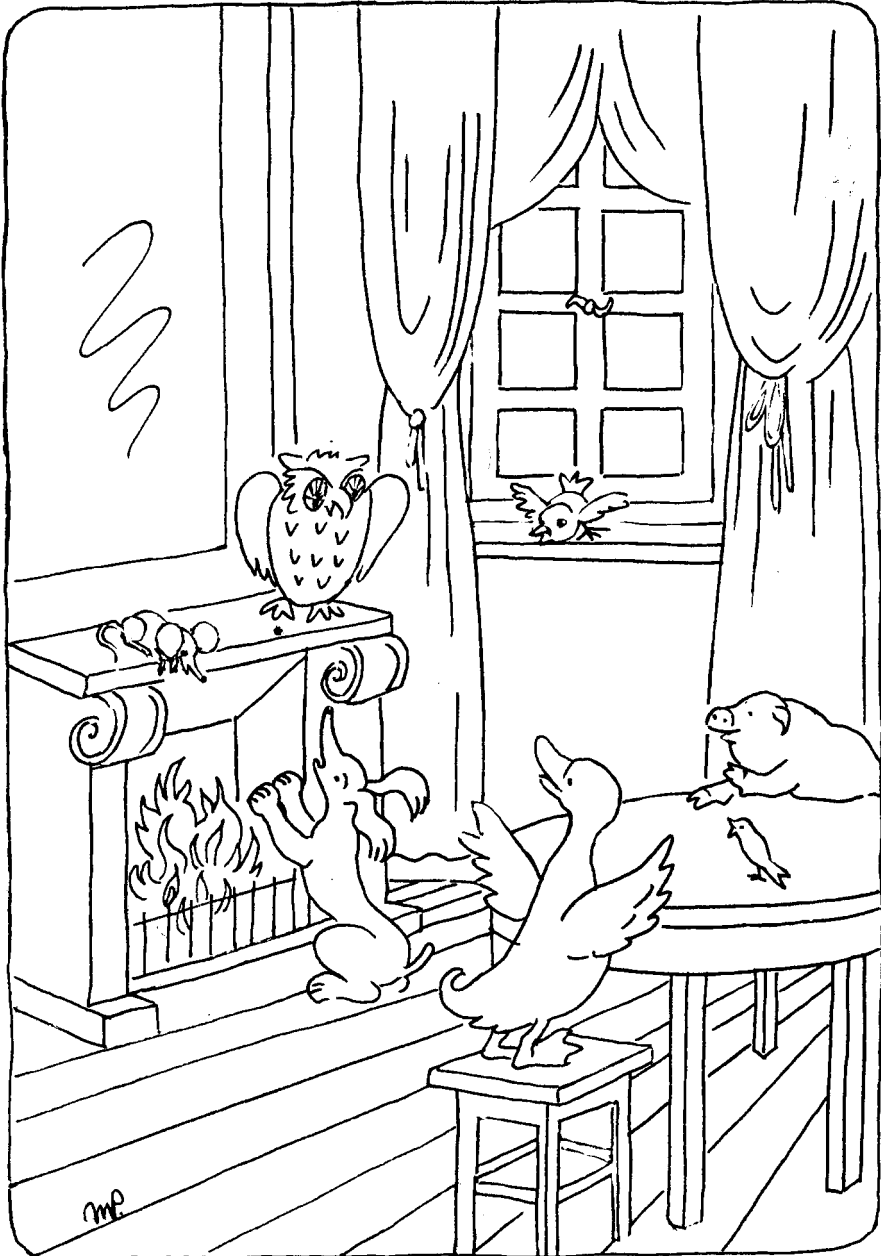
Dolittle mógłby podczas pożegnalnego wieczoru wdać się w nowe przedsięwzięcie teatralne, omal nie załała się łzami, zjawił się niespodziewanie wróbel Pyskacz z małżonką.

Znakomity kierownik chórów odbył w ubiegłym tygodniu wycieczkę do Puddleby. Ponieważ pelikany i flamingi po stu przedstawieniach umiały swoje role jak pacierz, Pyskacz doszedł do przekonania, że zarówno jemu, jak i jego żonie dobrze zrobi kilka dni na wsi. Teraz, gdy się oba wróble zjawiły, całe towarzystwo razem z doktorem zapomniało o operze gastronomicznej i zaczęło się domagać nowin.

— Na wsi jest teraz cudownie — odpowiadał Pyskacz na wszystkie pytania. — Kwiatów jeszcze naturalnie nie widać, poza kwitnącą tarniną, ale drzewa są już okryte pączkami. Wiosna nadeszła! Ogród? No, im mniej się o nim będzie mówiło, tym lepiej. Pół tuzina krokusów przebiło się wprawdzie przez trawę, choć ciężka to była praca dla tych biedaków. Serce pęka na widok tego zapuszczenia. Siano, stare, zeschłe siano zeszłoroczne, wysokie na metr, oto wszystko, co pozostało z pańskich trawników, panie doktorze. Jeśli pan czym prędzej nie wróci i nie doprowadzi ogrodu do porządku, to wkrótce nie można będzie w tym zarastającym wszystko zielsku znaleźć pańskiego domu.

Jakkolwiek to, co wróbel opowiadał o jej ukochanym miejscu rodzinnym, zasmuciło Dab-Dab, nie mogła się ona oprzeć radości na widok głębokiego wrażenia, jakie słowa te wywarły na doktorze.

— A jak się powodzi jabłoniom, Pyskaczu? — zapytał nagle Jan Dolittle po chwili milczenia.



— Dostatecznie źle, doktorku — odrzekł wróbel.  
— Dobry ogrodnik, gdyby się bez zwłoki nimi zajął, mógłby je jeszcze uratować. Od wieków nie były już przycinane i szczepione i wyglądają raczej na starych brodatych mężczyzn niż na jabłonie. Ale drozdy i kosy budują mimo to dalej swe gniazda w ich gałęziach.

— Tak, tak — mruknął doktor. — A stary, kulawy koń? Jemu powodzi się chyba dobrze, prawda?

— Owszem — odparł Pyskacz — do pewnego stopnia, ale mam panu coś przekazać od niego. Mam się wyrażać ostrożnie, żeby pana nie obrazić. Zdaje się, że cierpi z powodu swojej samotności. Dostaje, rozumie się, paszy, ile mu potrzeba, idzie na podwórko na trawkę, a odkąd pan napisał do kupca w Puddleby, dostarcza mu on tyle owsa i ziarna, ile koń może zjeść. Mimo to powiedział do mnie: „Powiedz doktorowi, że się nie skarżę, ale słyszałem o stowarzyszeniu starych koni pojazdowych, które założył na gruntach chłopskich jeden z moich starych przyjaciół, koń ze straży pożarnej. Został członkiem tego stowarzyszenia. Nie chcę narzekać, ale tutaj czuję się strasznie samotnie — nie mogę przecież z nikim porozmawiać — i jeśliby doktor jeszcze długo nie miał zamiaru wracać, to chciałbym przenieść się do schroniska. Sprzykrzyło mi się już przestawać tylko ze sobą”.

— Widzi pan, doktorze — zawołała Dab-Dab, gdy wróbel skończył opowiadanie, i sfrunęła pośpiesznie na stół. — Stracimy jednego z naszych najstarszych przyjaciół, jeśli pan nie powróci, poza tym jeden z najpiękniejszych ogrodów w zachodnich stronach Anglii zginie, a dom się rozpadnie. Jeśli pan natych-

miast nie wróci, nie będzie pan już nigdy mógł doprowadzić domu i ogrodu do dawnego stanu, nie zostanie z nich po prostu nic.

— Tak, prawdopodobnie masz rację — powiedział Jan Dolittle. — Bóg wie, jak się stęskniłem za moim starym, kochanym domem. Opera Geb-Geb musi poczekać. Może kiedyś w Puddleby, gdy już nie będziemy mieli teatru, uda nam się ją wystawić na jakimś prywatnym przedstawieniu w dniu urodzin autorki. Teraz jednak, Pyskaczu, proszę cię, polec do Puddleby i powiedz biednemu, staremu, kulawemu koniowi, że wrócę jak najprędzej. Musimy jeszcze to i owo załatwić, zanim stąd odjedziemy. Trzeba pomyśleć o tym, aby zwierzęta z menażerii dobrze umieścić, ale gdy tylko wszystko załatwię, wrócimy do Puddleby.

Rozdział IX

## Podanie o duchach z Jobberiih

Zwinięcie cyrku nie jest wcale drobnostką. Trzeba wówczas troszczyć się o mnóstwo rzeczy. Mimo postępujących przygotowań biedna Dab-Dab wciąż jeszcze nie mogła wyzbyć się obawy, że w ostatniej chwili zdarzy się coś, co powstrzyma Jana Dolittle od porzucenia życia cyrkowego.

Tym razem jednak wszystko wskazywało na to, że Jan Dolittle postanowił nie dać się odwieść od swej decyzji. Rozumie się, trudno było wymagać, aby przy tak olbrzymim przedsięwzięciu obyło się bez „mar-

notrawstwa" — jak to nazywała Dab-Dab. Najważniejszą pozycję na jego liście wydatków stanowiły dzikie zwierzęta z menażerii. Pozostali w niej tylko trzech mieszkańcy: słoń, lampart i lew, sami Afrykanie. Trzeba było słyszeć ich radość, gdy Jan Dolittle oznajmił zwierzętom, że ma zamiar wysłać je z powrotem na swobodę do kraju rodzinnego. Lampart skakał w klatce i wył z radości, lew ryczał tak, że ludzie z sąsiedztwa byli pewni, iż nadszedł dzień sądu ostatecznego, a słoń trąbił najgłośniej, jak mógł, i tańczył swój taniec sceniczny z takim zapałem, że o mało nie rozwalił swojej zagrody. Geb-Geb oświadczyła, że ten hałas przypomina jej ową noc, w której zwierzęta z menażerii, uknuwszy spisek, dopomogły focie Zofii w ucieczce.

Wysyłka zwierząt do Afryki sama przez się nie była taka droga, ale Jan Dolittle, chcąc wynagrodzić członków trupy cyrkowej za ich wierną służbę, postanowił, że mają podróżować luksusowo, jak najwygodniej i najprzyjemniej. Nie pochwalał on bynajmniej sposobu, w jaki zwierzęta zwykły jeździć, i mówił, że żadne z nich, od kurczęcia do słonia, nie wędrowało nigdy w przyzwoitym pomieszczeniu, jego zwierzęta jednak miały mieć cały statek dla siebie, do swej dyspozycji.

Biedna Dab-Dab! Nie wiedziała dokładnie, ile ma kosztować statek, w którym może się pomieścić słoń, lew i lampart, ale wiedziała, że będzie to bardzo drogo. Toteż nastroszyła pióra z przerażenia.

— Dlaczego, na Boga, nie mogą one jechać zwykłym statkiem, który krąży między Londynem i Afryką?

— Dlatego, że żaden zwykły statek, jeśli poza tym wiezie ładunek i pasażerów, nie może zapewnić zwierzętom swobody ruchów. Poza tym statki towarowe i osobowe zatrzymują się tylko w wielkich portach, w których zwierzęta zostałyby z pewnością schwytane albo zastrzelone, gdyby wyszły na ląd. Po tak długiej, wiernej służbie pragnę, aby miały w podróży wszelkie wygody i aby je wysadzono na ląd tam, gdzie chcą wysiąść.

I mimo wszystkich sprzeciwów gosposi Jan Dolittle dał ogłoszenie do pism londyńskich, że poszukuje statku.

Dostał dziesiątki ofert, ale wybierał statek, kapita-  
na i załogę bardzo troskliwie. Wielu z tych, którzy zgłosili się z ogłoszenia, cofnęło swoje oferty, gdy się dowiedzieli, jaki ładunek mają zabrać i pod jakimi warunkami płynąć. Jan Dolittle żądał mianowicie, aby zwierzęta mogły na całym statku swobodnie się poruszać i tylko przy burzliwej pogodzie przebywać pod pokładem. Pod każdym względem należało zapewnić im wygodę.

Jednak gdy kilku kapitanów dowiedziało się, że Fred, dozorca menażerii, ma towarzyszyć zwierzętom — doktor wysyłał go po to, aby być pewnym, że zwierzęta będą właściwie traktowane — oświadczyli swą gotowość podjęcia się przewozu. Teraz należało przekonać się, czy samym zwierzętom podoba się statek i jego załoga.

Jan Dolittle zwiedził więc kilka statków i gdy wybrał dwa czy trzy najlepsze, zarządził, aby słoń, lew i lampart przewiezione zostały w podróжным wozie cyrkowym do portu, gdzie będą mogły obejrzeć swo-

je przyszłe pomieszczenie i zawrzeć znajomość z kapitanem i załogą.

Drugi statek, który zwierzęta obejrzały, spodobał im się bardzo. Jan Dolittle uważał go również za najlepszy.

Kapitan był starym, poczciwym wilkiem morskim; kiedy zaznajomiono go ze zwierzętami i oświadczone, że nie mają one zamiaru komukolwiek na pokładzie przeszkadzać, powiedział, że sam osobiście dbać będzie o to, aby je traktowano jak pasażerów pierwszej klasy i dawano wszystko, co najlepsze.

Jan Dolittle opracował z Fredem i ze zwierzętami system rozmowy na migi, za pomocą którego będą mu one komunikowały swoje życzenia.

Dobrze się stało, że Jan Dolittle zarobił tyle pieniędzy na cyrku i na „Ptasiej Operze”, gdyż, jakkolwiek się spodziewał, że wynajęcie statku będzie bardzo drogo kosztowało, to jednak suma, której za to zażądano, przeszła jego oczekiwania. Już samo urządzenie na nowo i przystosowanie statku do transportu tak dużych zwierząt, jak lew i słoń, wymagało dwutygodniowej pracy cieśli, zanim statek mógł wyruszyć.

Pośrodku statku wybudowano bardzo wygodną i obszerną stajnię ze specjalnie wyściełanymi, mocnymi ścianami dla słońca, aby przy burzliwej pogodzie nie obijał sobie boków.

Na przodzie statku urządzono dla niego olbrzymi basen z prysznicem, aby nawet podczas największego upału mógł się ochłodzić. Podobnie kabiny dla lwa i dla lamparta zostały zaopatrzone w najnowsze urządzenia podróżnicze.





Również zaprowiantowanie statku na tak długą podróż stanowiło trudne zadanie, tym bardziej że doktor życzył sobie, aby zwierzęta podczas tej ostatniej podróży, którą będą odbywały pod opieką ludzi, mogły otrzymywać wszystkie smakołyki, jakich zapragną.

Na szczęście Jan Dolittle był teraz tak bogaty, że mógł z łatwością i to zapłacić. Ijakkolwiek Dab-Dab bezustannie zamęczała buchalterkę Tu-Tu rachunkami, zarówno doktor jak i sowa uspokajali ją, że wciąż jeszcze zostaje mnóstwo pieniędzy.

Fred po powrocie doniósł doktorowi, że podróż minęła doskonale, ku zadowoleniu wszystkich. Pogoda sprzyjała podróżnym przez cały czas za wyjątkiem kilku burzliwych dni podczas przeprawy przez Zatokę Biskajską, które zresztą słoń spędził w swojej wysłanej, luksusowej kabinie; lew tymczasem przewracał się w salonie na specjalnie przystosowanym łożu i popijał rosołek z kury.

W pozostałe dni podróży zwierzęta przebywały cały dzień na pokładzie. Ich apetyt wzrastał na powietrzu morskim ogromnie i zapasy ledwie wystarczyły, chociaż zgromadzono olbrzymią ilość prowiantu.

Jeśli chodzi o miejsce przybicia do lądu, to zwierzęta nie potrafiły określić dokładnie — choć doktor starał się z opisu ich ojczyzny to wywnioskować — w którym miejscu wybrzeża należy je wysadzić na ląd, gdyż rozumie się, że ich wiadomości z zakresu geografii były bardzo ograniczone. Okazało się więc, że najlepiej jest zatrzymać się w różnych miejscach wybrzeża afrykańskiego, wypuszczać zwierzęta na ląd i czekać, czy rozpoznają swoje strony ro-

dzinne. Doktor przypuszczał, że lampart schwytyany został gdzieś w zachodniej Afryce, i polecił kapitanowi zatrzymać się najpierw w Sierra Leone i sprawdzić, czy to nie jest kraj rodzinny tego drapieżnika.

I rzeczywiście lampart z radosnym wyciem rzucił się z portu wprost w puszcę i odtąd nikt go już nie ujrzał.

Nie tak proste okazało się odszukanie ojczyzny lwa i słonia. Lew opisał swoje miejsce pochodzenia jako górzystą część Afryki, w której lasy przecinają zarośla i liczne rzeczki o smacznej wodzie. Słoń przypominał sobie, że trawa w jego krainie była bardzo wysoka, sięgała mu do ramion i że łąd był przeważnie płaski, gdzieniegdzie tylko falisty. Doktor doszedł do wniosku, że obaj pochodzą z krainy między rzekami Zambezi a Dżuba. Ponieważ wybrzeże to ciągnęło się wiele kilometrów, trzeba było często przybijać do brzegu, zanim zwierzęta upewniły się, że są w swoim miejscu rodzinnym.

Wysadzenie słonia na łąd bez odpowiedniego pomostu było bardzo trudnym przedsięwzięciem, dlatego też za każdym razem tracili dużo czasu.

Fred opowiedział doktorowi, że gdy się zatrzymywali i zajęci byli wciąganiem olbrzymiego cielska słonia w pętli za pomocą dźwigaru w górę, często przybywali urzędnicy rządowi i dozorczy wybrzeża, aby sprawdzić, co się dzieje. Gdy im tłumaczono, że zamożny właściciel cyrku wysłał statkiem tresowane zwierzęta z powrotem do ich ojczyzny, urzędnicy stwierdzali, że jest on nie tylko bogaty, ale i obłąkany. I odchodzili.

Fred, rozumie się, także wychodził na łąd, aby

sprawdzić, czy zwierzęta trafiły do swojej ojczyzny. W końcu, około stu mil na południe od ujścia Zambezi, lew i słoń głęboko wciągnęły powietrze i, gdy znalazły się na lądzie, zaczęły się tak zachowywać, że Fred zrozumiał, iż przybyli do właściwego miejsca. Był tym zdumiony, gdyż z ich opisów wynikało, iż pochodzą z dwóch różnych części Afryki. Kiedy jednak zwierzęta wydostały się na wzgórek, z którego mogły spojrzeć na otaczającą je okolicę, były już zupełnie pewne, że to jest kraj, którego poszukiwały. Zanim rozstały się z Fredem, chciały mu prawdopodobnie podziękować za jego życzliwą opiekę; miał również wrażenie, że chcą przekazać pozdrowienia doktorowi Dolittle. Wiadomości Freda z tej dziedziny były jednak tak ubogie, że nie mógł dokładnie zrozumieć, co usiłują mu powiedzieć. W końcu, gdy nafiłowały się jak małe rozbawione kotki, zbiegły ze wzgórzka i znikły w gęstej puszczy.

Fred przypuszczał, że była to raczej ojczyzna lwa, nie słonia, chociaż oba zwierzęta zamieszkują często te same okolice. Przypuszczał także, że słoń, którego łączyła długa przyjaźń z lwem, postanowił nadal mu towarzyszyć.

Zapewne stąd pochodzą te dziwne podania, które doktor później słyszał od mieszkańców tej części Afryki. Wielu myśliwych i traperów opowiadało, że widywali często w dżungli lwa i słonia idących razem, jak gdyby byli nierozłącznymi towarzyszami, i że nocą zwierzęta te schodziły razem do kopalni soli, gdzie zbierało się wiele dzikich zwierząt, zwabionych tym szczególnym smakołykiem.

Tutaj, przy tajemniczym afrykańskim księżycu,

lew i słoń dawali dziwne przedstawienia, zabawiając innych mieszkańców dżungli — słoń wykonywał niezwykły taniec, stawał na pniu drzewa i wywijał trąbą, jak gdyby w takt muzyki, podczas gdy lew popisywał się skokami przez grzbiet słonia. Tę niezwykłą parę artystów czarni nazwali „duchami z Jobberriich”.

Biali, którzy przybywali w te strony na wielkie polowania, nie zwracali uwagi na te tajemnicze zabawy i uważali je za dzikie wymysły bojaźliwych, przesądnych tuziemców. Ale Jan Dolittle wiedział, że to jego cyrkowe zwierzęta, które na arenie cyrku Dolittle swoje numery wykonywały bez bata albo ludzkich rozkazów, przeniosły teraz swoją sztukę w serce puszczy afrykańskiej.

Rozdział X

## Cyrk Dolittle zwija namioty

Podczas swego pobytu w Londynie doktor zbadał, jak to już powiedziałem, wielką liczbę zwierząt, które przychodziły bezustannie, odkąd rozeszła się wieść o jego przybyciu. Były to naturalnie przeważnie zwierzęta miejskie, jak psy, koty, szczury i różne ptaki, budujące swe gniazda w pobliżu ludzkich mieszkań.

Psy interesowały Jana Dolittle najbardziej. Jip biegał chętnie, najczęściej sam, po bocznych ulicach i dzielnicach zamieszkałych przez biedaków i kiedy tylko spotkał chorowicie wyglądającego **kundla** albo

zabłąkanego psa, który zdawał się nie mieć domu, zaczynał z nim rozmowę; kończyła się ona zawsze tym, że dawał mu adres doktora Dolittle. Jip był na wskroś demokratycznie i dobroczynnie nastawiony, był przekonany, że kolegom psom, którym się źle powodzi, należy podać pomocną łapę.

Rozumie się, było to godne pochwały, ale Dab-Dab nie podobało się wcale. Za każdym razem, gdy doktor wracał do swego wozu cyrkowego, wejście obłęzione było przez włóczęgów i wypędki psiego rodu.

Większość z nich przychodziła tylko po to, aby rzuścić okiem na wielkiego człowieka i otrzymać posiłek albo kość, ale wszystkie miały skrytą nadzieję, że doktor je zaadoptuje i włączy do swego sławnego towarzystwa.

Jana Dolittle zawsze cieszył ich widok, choć miał tyle pracy i ograniczony czas. Żałował, że nie może, jak się tego Jip spodziewał, przyjąć każdego z nich do swojej rodziny. Jip uważał bowiem, że Jan Dolittle powinien mieć więcej psów.

— Dlaczego nie mieć ich dużo — zwykł mawiać — przecież psy są najmądrzejszymi stworzeniami, które można chować w domu. Podczas gdy doktor zajęty był przygotowaniami do zlikwidowania życia cyrkowego i powrotu do Puddleby, Jip zaproponował pewnego dnia, by otworzyć dobroczynne jadłodajnie dla psów we wschodniej części miasta; chciał na to poświęcić swoje własne pieniądze, ale doktor wytłumaczył mu, że utrzymywanie jadłodajni jest dużo kosztowniejsze, niż mu się wydaje.

— Musiałbyś trzymać stale kucharza — powiedział Jan Dolittle — i już sama jego pensja, nie li-

cząc prowiantów, wyniosłaby rocznie poważną sumę.

— Może dałoby się obejść bez kucharza — rzekł Jip — wiele psów je również chętnie niegotowane pożywienie. Kości smakują najlepiej na surowo.

— Hm — powiedział doktor — gdybyś chciał się zadowolić składem kości i przyjął do tego chłopca, który by pobierał małą pensję, może dałoby się to zrobić; na stałe utrzymywanie takiego składu nie jesteś dość bogaty, wiem doskonale.

Jip był bardzo zawiedziony. Zdecydował jednak, że na mniejszą skalę też warto stać się dobroczyńcą psów. Dowiedziawszy się od doktora, ile należy płać małym chłopcom, zaczął z Tu-Tu obliczać poszczególne pozycje i koszty. W końcu obliczył, że swój skład kości może utrzymać przez tydzień, jeśli nie chce zostać żebrakiem.

Wziął się więc do roboty i przyjął silnego, zdrowego chłopca. Potem wynajął piwnicę w Whitechapel i otworzył sobie rachunek u rzeźnika, który miał go co dzień zaopatrywać w świeże kości. Te handlowe sprawy załatwiał, rozumie się, przy pomocy doktora, ale pilnował, aby wszystkie wydatki płacone były z jego własnych pieniędzy.

W ten sposób zostało przynajmniej na krótki czas otwarte bezpłatne wydawanie kości fundacji Jipa dla niezamożnych psów. Cieszyło się ono wielkim powodzeniem. Jip sam stał przez cały dzień u wejścia do piwnicy. Dzień i noc ciągnęła tam procesja na wpół zagłodzonych psów, które dostawały kości wielkie jak kotlet cielęcy lub barani.

Jeśli psy miały piękne obroże albo wyglądały na wypielęgnowane, Jip poznawał, że były własnością bogatych ludzi i przyszedł tylko z ciekawości; wówczas odpędzał je. Natomiast dla każdego pospolitego kundla był bardzo gościnny i uprzejmy, a najbiedniejsze psy obsługiwał często sam.

Gdy w garkuchni Jipa dowiedziano się, że rodzina doktora Dolittle opuści wkrótce Londyn i powróci do Puddleby, psy zaczęły błagać doktora, aby je zabrał ze sobą.

Dab-Dab gniewało najbardziej to, że Mateusz, który bardzo lubił psy wszelkich ras, popierał Jipa i również prosił Jana Dolittle o przyjęcie każdego kundla, który tego pragnął.

— Chciałabym tylko wiedzieć, Jipie, gdzie, na Boga, pomieścilibyśmy te wszystkie zatracone stworzenia, gdyby doktor chciał zabrać ze sobą chociażby połowę z nich. Uważałam cię za rozsądniejszego. Nasz dom w Puddleby jest już przepełniony, a ty i ten głupi Mateusz wstawiacie się za każdym kundlem, który prosi, aby go zabrać, jak gdyby nasz dom był olbrzymim zajazdem.

— Ogród jest dostatecznie duży — powiedział Jip. — Jeśli dom jest za mały, mogłyby obozować w ogrodzie w psich budach albo w czymś podobnym.

— Tak — zakwakała Dab-Dab gniewnie — nie ma co, to byłby piękny ogród z setkami wałęsających się po nim kundli. Ogród przeznaczony jest na kwiaty, nie dla szumowin ulic londyńskich.

W końcu doktor oświadczył, że może później, gdy znowu osiadzie na stałe w Puddleby, dokupi kawał ziemi i urządzi przytułek dla nierasowych psów, po-

dobnie jak urządził schronisko dla starych koni powozowych i dorożkarskich.

Jip musiał się tym zadowolić.

Umieszczenie pozostałych zwierząt z cyrku nie sprawiło doktorowi tyle trudności, ile miał ze zwierzętami z menażerii. Od swego bogatego przyjaciela, przyrodnika, który mu wypożyczył pelikany i flamingi, dowiedział się o pewnym panu Wilsonie, bardzo odpowiedzialnym człowieku, mającym wkrótce wyjechać do Ameryki. Doktor umówił się z nim, że zabierze ze sobą oposa, pokazywanego niegdyś przez Blossoma jako słynne Hurri-Gurri, oraz sześć czarnych amerykańskich żmij, które Fatima pokazywała jako królewskie kobry.

Chociaż podróż z tymi stworzeniami nie należała bynajmniej do łatwych, udało się umieścić je wygodnie w specjalnie urządzonych dla nich skrzyniach, dość małych, aby można je było zabrać jako bagaż pasażerski.

Pan Wilson nie był przyrodnikiem, ale z życzliwości dla doktora obiecał mu, że będzie dokładał starań, aby węże i opos miały w podróży wszelkie wygody. Jan Dolittle nie zdawał sobie wcale sprawy z tego, że obarczył pana Wilsona niezbyt łatwym zadaniem.

Zwierzątka te, zanim powróciły do swojej ojczyzny, stały się przyczyną kilku drobnych, lecz burzliwych przygód. Pewnego dnia, gdy opos pod opieką stewarda zażywał na pokładzie świeżego powietrza, wziął maszt za pień drzewa, wdrapał się z niebywałą szybkością i zawisł na ogonie wśród zwojów lin. Steward, który oczywiście nie umiał się wspinać, wołał,



aby zszedł, ale opos nie miał zamiaru. Wielu pasażerów zebrało się na pokładzie i podziwiała te sztuki. W końcu kapitan wysłał marynarza na maszt, aby schwycił oposa. Nie było to jednak łatwe, zwierzęciu podobał się widok z wierzchołka masztu pośród zwoju lin i chciał tam spędzić resztę podróży.

Gdy ujrzał, że marynarz chce go złapać, zaczął przeskakiwać z masztu na maszt i biegać po linach, jak gdyby po ziemi. Chociaż marynarz był dobrym akrobatą, nie udało mu się pochwycić oposa i zmuszony był żądać pomocy. Wysłano więc drugiego marynarza, ale i temu wymknęło się małe, żywe stworzenie. W końcu zwołano całą załogę, w każdym razie tych, których można było zwolnić od obowiązków, ale nawet gdy sześciu marynarzy urządziło polowanie na oposa, umknął im i cieszył się dalej pięknym widokiem.

Przyszła noc, a opos wciąż jeszcze siedział wśród lin, sześciu marynarzy zaś zmęczyło się bardzo skakaniem po linach. Nie osiągnęli więcej nic ponad to, że dostarczyli pasażerom zabawnego widowiska. Gdy nastały ciemności, zaprzestano pogoni.

W nocy zerwał się zimny wiatr i opos poczuł, że jego przewiewne mieszkanko jest nieco chłodne. Zszedł więc z własnej woli; steward znalazł go drżącego z zimna na wentylatorze. Kiedy wsadzono go z powrotem do skrzyni w kabinie pana Wilsona, był bardzo rad, że wrócił do swego wygodnego, ciepłego pomieszczenia.

Jednak kłopoty pana Wilsona jeszcze się nie skończyły. Gdy statek dopłynął do Nowego Jorku i celnicy otworzyli jego bagaż, na pokład z radością wy-

pełzło sześć czarnych węży, szczęśliwych, że mogą się rozprostować po tak długiej podróży. Wszyscy bali się ich dotknąć i trzeba było sprowadzić dozorcę z zoologicznego ogrodu, aby je na nowo wsadził do skrzyni.

Kiedy dozorca przyszedł, i węże zmiarkowały, że chce je schwytać, przestraszyły się i wpełzły między kufry i walizy, usiłując się tam schować. Jeden z nich wśliznął się do torby pewnej starszej pani; kiedy celnik kazał jej otworzyć torbę, właścicielka zemdłała na widok czarnego węża, długiego na cztery metry, wijącego się wśród szalów i koronek.

W końcu wszystkie udało się złapać i pan Wilson polecił dozorcę, aby zarówno węże, jak i oposa zabrał na ląd i puścił wolno.

Tymczasem opera kanarków dała już swoje ostatnie przedstawienie i została rozwiązana. Drozdy, kosi i inne ptaki, które brały w niej udział, odleciały do swoich rodzinnych miejsc. Jan Dolittle wymówił swoje mieszkanie w mieście i polecił specjalnie wynajętym kobietom, aby je wyszorowały; służyło ono przecież przez pięć długich miesięcy za jedną olbrzymią klatkę dla ptactwa.

Łąka cyrkowa opustoszała. Większość namiotów i bud została sprzedana na licytacji i rozebrana. Karuzelę i teatr marionetek doktor Dolittle ofiarował ochronce dla podrzutków. Z całego niegdyś tak wesołego i kolorowego cyrku pozostały jedynie: własny wóz doktora, który niegdyś Blossom kazał dla niego sporządzić i pomalować, oraz wóz państwa Mugg wraz ze stoiskiem dla dwugłowca.

Mateusz mówił, że po prostu nie może znieść tego

widoku, przyprawia go on o melancholię. Jego żona Teodozja nie mogła zrozumieć, na co się Mateusz uskarża. Nawet jeśli dni cyrku Dolittle się skończyły, to państwu Mugg powodzi się teraz lepiej, niż im się kiedykolwiek w życiu powodziło.

Setki dzieci, mieszkających w sąsiedztwie, które odwiedzały często cyrk, przeznaczony przez doktora Dolittle przede wszystkim dla młodych widzów, były jeszcze smutniejsze niż Mateusz na myśl, że cyrk zamyka na zawsze swoje podwoje.

W dniu poprzedzającym wyjazd doktora zjawiło się wiele dzieci z ogromnym bukietem kwiatów, aby pożegnać Jana Dolittle. Kiedy doktor zszedł ze stopni swego wozu i rozdał dzieciom po raz ostatni torebki z miętówkami, poczuł — jak to później powiedział Mateuszowi, gdy już znajdowali się w drodze do Puddleby — że jedynie dlatego żał mu jest rozstawać się z życiem cyrkowym.